

CUDOWNE LATA W MITFORD

JAN KARON

Przybieżeli
pasterze

Mam nadzieję, że niniejsza opowieść będzie dla czytelników kojącą ucieczką przed gorączkową świąteczną atmosferą, która nieodmiennie towarzyszy nam o tej porze roku.

Jan Karon

Od lat chłopięcych, gdy dorastał w Missisipi, ojciec Tim żył, jak twierdzi, głównie „głową”. Z wyjątkiem gotowania, prac ogrodowych i kąpienia psa nigdy nie nauczył się delektować pracą własnych rąk. I nagle znajduje przypadkiem figurki szopki betlejemskiej, zaniedbane i zniszczone z upływem lat.

Czy potrafi tchnąć w tę małą gromadkę życie? Dać nowe ucho wielbłądowi, pomalować ponownie każdą figurkę, odtworzyć brakujące skrzydło anioła? „Czy nie jest już za późno na odkrywanie w sobie nowych talentów?” – napomina się. Poza tym, to jego żona jest artystką w rodzinie. Jednak kiedy wyobraża sobie zachwyty w oczach Cynthii, podejmuje się niełatwego zadania, rozpoczynając prawdziwą podróż w wierze, która poruszy wszystkie bliskie mu osoby.

Ojciec Tim i Cynthia odkrywają po raz kolejny to, co wiedzą już miliony czytelników: święta nigdzie nie smakują tak jak w Mitford!

Dodatkowe informacje o Jan Karon i jej książkach znajdziesz na:
www.mitfordbooks.com

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

ISBN 83-7298-880-3

Cena 29 zł 90 gr



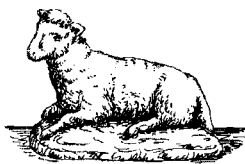
www.zysk.com.pl



Jan Karon

**PRZYBIEŻELI
PASTERZE**

Przełożyła Mira Czarnecka



**ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO**



W tej samej okolicy przebywali w polu pasterze i trzymali straż nocną nad swoją trzodą.

Naraz stanął przy nich anioł Pański i chwała Pańska zewsząd ich oświeciła, tak że bardzo się przestraszyli.

Lecz anioł rzekł do nich: „Nie bójcie się! Oto zwiastuję wam radość wielką, która będzie udziałem całego narodu: dziś w mieście Dawida narodził się wam Zbawiciel, którym jest Mesjasz, Pan.

A to będzie znakiem dla was: znajdziecie Niemowlę, owinięte w pieluszki i leżące w żłobie”.

I nagle przyłączyło się do anioła mnóstwo zastępów niebieskich, które wielbiły Boga słowami:

„Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom Jego upodobania”.

Gdy aniołowie odeszli od nich do nieba, pasterze mówili nawzajem do siebie: „Pójdźmy do Betlejem i zobaczymy, co się tam zdarzyło i o czym nam Pan oznajmił”.

Udali się też z pośpiechem i znaleźli Maryję, Józefa i Niemowlę, leżące w żłobie.

Gdy Je ujrzeli, opowiedzieli o tym, co im zostało objawione o tym Dziecięciu.

A wszyscy, którzy to słyszeli, dziwili się temu, co im pasterze opowiadali.

Ewangelia według św. Łukasza 2, 8-18



Deszcz zaczął padać punktualnie o piątej rano, chociaż tylko nieliczni już nie spali i mogli to stwierdzić. Był delikatny i przypominał letni deszczyk, który oparł się upływowi czasu czy też bezwzględnemu następstwu pór roku i zawitał do Mitford z kilkumiesięcznym opóźnieniem.

O szóstej rano, gdy zdecydowana większość tysiąca i siedemdziesięciu czterech obywateli miasteczka wyjeżdżała do pracy w Wesley, Holding czy też za granicą stanu Tennessee, krople stały się duże i ciężkie, jakby obciążone rtęcią; ci, którzy biegli do swoich samochodów i półciężarówek bez parasoli, wyraźnie czuli uderzenie każdej kropli.

Pędząc do półciężarówki załadowanej malarskimi drabinami, ktoś na Lilac Road krzyknął: "Jaa aacie!", co wywołało lawinę poszczekiwań wśród okolicznych psów.

Tu i tam, na pozór równie przypadkowo jak pojawiające się o zmierzchu gwiazdy, w domach w miasteczku zaczęło rozbłyskiwać światło, głosy w telewizji i radiu zaczęły obwieszczać, że front atmosferyczny przemieszczający się nad wschodnim wybrzeżem zatrzyma się tutaj na dwa dni.

Wielu z nich miało to szczęście, że mogło leżeć w łóżku i słuchać deszczu bębniącego o dach. Mogli cieszyć się tym, że nie muszą wstawać, aż będą mieli na to ochotę.

Inni dziękowali Bogu za czas, który im jeszcze pozostał do wylegiwania się w ciepłym i bezpiecznym miejscu, gdzie nie trapiły ich doczesne smutki, podczas gdy niektórzy natchmiast zaczęli się martwić tym, co może przynieść dzień.

Ojciec Timothy Kavanagh, jeden z rannych ptaszków

w Mitford, dzisiaj rano nie wstał zbyt wcześnie. Leżał nadal w swoim łóżku w żółtym domku przy Wisteria Lane i przysłuchiwał się arii świszczącego chrapania swojej żony, którego dźwięki mieszały się z odgłosem szumiącego w rynnach deszczu.

Gdyby złożył przysięgę małżeńską przed ukończeniem sześćdziesiątego drugiego roku życia, być może traktowałby kwestię łoża małżeńskiego jako coś naturalnego, po tych siedmiu latach. Ponieważ stało się jednak inaczej, rzadko budził się, czując ciepłą obecność swojej żony i nie będąc przy tym lekko zaskoczonym i bezgranicznie wdzięcznym. Cynthia była jego najlepszą przyjaciółką i towarzyszką, zesłaną chyba z nieba wprost do jego życia, które następnie zupełnie odmieniła.

Wstanie już niedługo i zajmie się swoimi sprawami, na początek śpiesząc ze swoim ukochanym psem, Barnabą, wprost na ulewny deszcz, a następnie, w czasie gdy będzie parzyła się kawa, czytając poranne oficjum brewiarzowe, jak czynił to przez ponad czterdzieści lat jako najpierw czynny zawodowo, a teraz emerytowany ksiądz.

Czując lekki chłód w pokoju, przysunął się do swojej śpiącej żony, otoczył ją ramieniem i przytulił się do niej, czując delikatny i znajomy zapach wisterii, który zawsze miał na niego kojący wpływ.

Lew Boyd, który lubił wstawać codziennie wraz ze słońcem i który zawsze spał z zegarkiem na ręce, spojrział na fosforyzującą tarczę swojego timeksa i zauważył, że jest pierwszy października.

Październik! Nie mógł się nadziwić, kiedy uciekł mu czas. Wczoraj był lipiec, a dzisiaj jest październik. W rzeczy samej, kiedy uciekło mu całe życie?

Wpatrywał się w sufit sypialni i zaczął się zastanawiać nad pytaniem, nad którym nigdy nie lubił zbyt długo rozmyślać, chociaż teraz wydawało mu się, że nadszedł odpowiedni moment, by to zrobić i mieć w końcu sprawę z głowy.

Jednego dnia był naiwnym, beztroskim dzieciakiem, a potem, zanim zdążył się obejrzeć, nagle widzi, że jest starym dziadkiem z nową i sekretną żoną, która mieszka aż w Tennessee ze swoją mamą, a on leży tutaj w tym zimnym, pustym łóżku, dokładnie tak samo jak przez wszystkie lata swojego wdowieństwa.

Usiłował przypomnieć sobie, co dokładnie działo się pomiędzy jego młodością i wiekiem dojrzałym, ale bez co najmniej filiżanki kawy nie był w stanie niczego przywołać do pamięci.

Mimo że ciężko pracował, odkładał pieniądze i czcił pamięć zmarłej żony, spoglądając na jej zdjęcie w każdą niedzielę i płacąc za utrzymanie w porządku jej grobu, nie był pewien, czy dobry Bóg był z niego zadowolony, czy też nie.

Za tych kilka razy, gdy oszukał kogoś w swojej stacji benzynowej Exxon, prosił o wybaczenie, chociaż nigdy nie oszukał na więcej niż parę dolarów. Prosił też o wybaczenie za tych kilka razy, gdy bez powodu złościł się na Juanitę, i za parę innych rzeczy, do których już nigdy nie chciał wracać.

Na dodatek, dwanaście lat temu rzucił palenie i skończył z brzoskwińówką, która stała się jego przyjaciółką po śmierci Juanity, zwiększył też kwotę, którą dawał na tacę w te nieliczne niedziele, gdy pokazywał się w kościele baptystów.

Wydawało mu się, jakby wszystko — dobro i zło, sukcesy i porażki, radość i smutek, przemknęło obok niego niczym Dale Earnhardt Junior* w Talladega.

* Dale Earnhardt Junior — kierowca rajdowy, który kilka ze swoich dotychczasowych sukcesów odniósł na torze wyścigowym w Talladega w USA. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Westchnął głęboko, podniósł się ciężko z łóżka i wsunął zimne stopy w niezasnurowane, brązowo-białe półbuty, które nosił w domu. Gdyby żyła Juanita albo gdyby była tutaj Earlene, włączyłby zapewne piec, ze zwykłej ludzkiej przyzwoitości. Tak długo jednak, jak sam decyduje o termostacie, będzie kierował się zasadą, że ogrzewanie olejowe to wyrzucone pieniądze i poczeka do pierwszych silnych mrozów, by się ogrzać.

Siadając na brzegu łóżka i okrywając gołe nogi kocem, podrapał się w głowę i ziewnął, następnie sięgnął po telefon bezprzewodowy i przycisnął ponowne wybieranie numeru.

Gdy jego żona, która obecnie mieszkała ze swoją umierającą mamą w domu na południowych obrzeżach Knoxville, odebrała telefon, przywitał ją:

— Dzień dobry, pączusiu.

— Dzień dobry, słodki. Jak się masz dzisiaj rano?

— Wspaniale! — odpowiedział. — Po prostu wspaniale!

Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że jego słowa są wierutnym kłamstwem, ale zaraz potem zdał sobie sprawę, że to szczerą prawdą. Radosny głos Earlene sprawił, że ze starego mężczyzny, który obudził się w zimnym łóżku, przystoczył się w energicznego młodzika, który właśnie sobie przypominał, że dzisiaj wieczorem jedzie swoim nowym Dodge'em do Tennessee.

#

O szóstej trzydzieści Hope Winchester śpieszyła Main Street, chroniąc się pod czerwonym parasolem. Deszcz wydobywał się z bulgotem z rynien budynków, które mijają, i płynął wzdłuż krawężników szerokim i wartkim strumieniem.

Kierowcy kombi jadącego w dół ulicy przemykająca obok baru Main Street Grill postać wydawała się zaled-

wie czerwoną plamką na tle ponurego, szarego ranka. Niemniej jednak była to plamka, która na chwilę rozweseliła kierowcę.

Hope zręcznie ominęła fontannę wody, która wydobyła się spod kół samochodu, i jeszcze mocniej ścisnęła torebkę zawierającą trzy koperty, których zawartość mogła na zawsze zmienić jej życie. Ułoży je na swoim biurku w pokoju na tyłach księgarni i z nabożeństwem będzie studiowała te cuda, raz po raz. Potem, pod koniec dnia włoży je z powrotem do torebki i zabierze do domu, ułoży na kuchennym stole, żeby zrobić to samo jeszcze raz.

Spóźniony wiele godzin kurier UPS przyjechał wczoraj z książkami, które mają zostać wykorzystane w promocji w tym miesiącu, co znaczy, że straciła cenny czas potrzebny na ukończenie wystawy i musi się do tego zabrać dzisiaj rano, zanim otworzy księgarnię o dziesiątej. Był przecież pierwszy października — czas na zupełnie nowe okno wystawowe i doroczną wielką wyprzedaż.

Wszystkie tytuły zaczynające się na literę „P” będą sprzedawane z dwudziestoprocentową zniżką. Studenci i wykładowcy z Wesley oszaleją z radości! Wrześniowa wielka wyprzedaż tytułów na literę W poprawiła przecież wynik końcowy w zeszłym roku o dwanaście procent, a wszystko dzięki temu, że ona — zazwyczaj powściągliwa Hope Winchester — nakłoniła właścicielkę, by zgodziła się na obniżkę, która naprawdę „będzie coś znaczyła”. Żyjemy w czasach Books-A-Million, B&N i Sam's Club, przekonywała Hope, i kapanie pięcioprocentowymi zniżkami tu i tam już nie wystarczy, nawet w Mitford, które wcale nie jest tak senne i niewinne, jak niektórzy lubią myśleć.

Wbiegła pod markizę, postawiła ociekający deszczem parasol i zaczęła przekręcać klucz w zamku drzwi starej apteki Willarda Portera, obecnie znanej jako Księgarnia Szczęśliwych Zakończeń.

Jedynie zamek wyprodukowany w czasach tak odległych jak 1927 rok mógł wymagać takiego sprytu przy otwieraniu. Helen, właścicielka, postanowiła go nie wymieniać, twierdząc, że żaden włamywacz nie byłby w stanie poradzić sobie z jego niezliczonymi kapryсами.

Przekręcając uważnie klucz, Hope zdała sobie sprawę, że ma zupełnie zimne i mokre stopy. To zapewne słuszna kara za to, że nosi sandały po Święcie Pracy* — jej mama często ją za to ganiła.

Gdy znalazła się w środku, wbrew serdecznym życzeniom Helen, która mieszkała na Florydzie i wołała odkładać ogrzewanie sklepu do pierwszego śniegu, Hope przecisnęła się do termostatu i sprawdziła temperaturę: dziesięć stopni. Kto chciałby czytać książkę, nie mówiąc już o kupnie, w temperaturze dziesięciu stopni?

Gdy Margaret Ann, kot z księgarni, owinał się wokół jej nóg, Hope przekręciła tarczę do pozycji „włączony”.

Wytarta drewniana podłoga zadrżała lekko i kobieta natchmiasz usłyszała, że ogromny bojler w piwnicy wita, jak co roku, głuchym pomrukiem kolejną jesień w Mitford.

Wujaszek Billy Watson leżał z mocno zaciśniętymi oczami i słuchał deszczu dudniącego o dach Muzeum Miejskiego w Mitford, którego tylną część nazywali z Rose domem.

Z dwóch powodów był zadowolony, że pada.

Po pierwsze, pomyślał, dzięki temu ziemia będzie miękka i odpowiednia do posadzenia trzech cebulek żonkili, które przyniosła mu Dora Pugh. Cebulki, jeśli są takie jak nasiona, nie nadają się do posadzenia, da jej jednak jeszcze jedną

* Święto Pracy — Labor Day — święto państwowe w Stanach Zjednoczonych obchodzone w pierwszy poniedziałek września.

szansę, aby mogła mu udowodnić, że istotnie może ręczyć za towary, które sprzedaje.

Posadzi je, gdy będzie się czuł silniejszy i lekarz pozwoli mu kręcić się trochę na zewnątrz, znalazł doskonałe miejsce, aby się okazałe prezentowały — na dole przy tylnych schodach, po lewej stronie, tam gdzie nie będzie się szarogęsił listonosz przywożący pocztę.

Czując, jak robi mu się gęsia skórka na rękach i nogach, podciągnął kołdrę pod podbródek.

Drugi plus deszczu — jeśli nie przestanie padać — polegał na tym, że gdy Betty Craig przyjdzie go dzisiaj doglądać, będzie przyrządzała dla niego przepyszne różności, na widok których ślinka mu napłynie do ust. Nie mógł sobie wyobrazić nic przyjemniejszego niż odgłos deszczu stukającego w dach i jednoczesny zapach smacznych potraw gotowanych w kuchni.

Leżał bez ruchu, słuchając bicia swojego serca.

Serce już mu nie skakało niespokojnie. Pigułki chyba działały.

Po chwili przekręcił się na bok i zakrył uszy, żeby nie słyszeć chrapania żony, która spała w łóżku obok.

Być może stracił prawie zupełnie wzrok i częściowo kontrolę nad pęcherzem, niestety, ale — na Jowisza — nadal słyszał cykanie świerszcza w trawie, Bogu za to cześć i chwała.

— Sprawdź to — polecił J.C. Hogan, wydawca „Mitford Muse” i od lat klient baru Main Street Grill.

Cisnął ponad ich głowami egzemplarz „Muse”, jeszcze ciepły z drukarni, i podsunął go pod nos ojcu Timowi.

— To o zdjęciach? — upewnił się ojciec Tim.

SPODZIEWAJCIE SIĘ WIDOWISKA

Jako że burmistrz Mitford, Andrew Gregory nie powróci ze swojej podróży handlowej do Anglii do czasu kolejnego wydania gazety, „Muse” zwróciła się do poprzedniej pani burmistrz, Esther Cunningham, aby ta wydała oficjalny, doroczny werdykt na temat parady jesiennych liści.

- Kolory jakie tylko sobie zamierzycie! - stwierdziła pani Cunningham.

Meteorolodzy w całej zachodniej Karolinie Północnej są w tej sprawie jednomyślni. Twierdzą, że barwy tej jesieni będą „najpiękniejsze od wielu lat”, ze względu na gorące, suche górskie lato, po którym nastąpiły obfite opady, wy-

stępujące z dużą częstotliwością od 7 września.

Włóżcie więc filmy do aparatów i czekajcie na osławione mitfordzkie cukrowe klony, posadzone na całej długości od kościoła baptystów do Little Mitford Creek, by się prezentowały w całej krasie. Barwy powinny być najpiękniejsze pomiędzy 10 i 15 października.

Zalecamy film z czułością 100 ASA i proszę nie robić zdjęć pod słońce. Zalecane stanowisko do zdjęć porannych: ze schodów kościoła baptystów, w kierunku południowym. Zalecane stanowisko do zdjęć popołudniowych: chodnik przed kościołem, w kierunku wschodnim. Porada gratis zespołu fotografów „Muse”.

- To, co widzisz — wyjaśnił J.C.
- Myślałem, że masz funkcję sprawdzania pisowni.
- Mam.
- Nie działa.
- Gdzie? Co? — J.C. chwycił gazetę.
- Słowo „meteorolodzy” jest źle napisane.

Były pastor miejskiego kościoła episkopalnego przez lata pomijał milczeniem błędy w pisowni wydawcy „Muse”, ale od kiedy gazeta zainwestowała w moduł sprawdzania pisowni, wydawało mu się, że może wyrazić swoją krytykę, nie dopuszczając się w ten sposób ataku osobistego.

J.C. cisnął przez zęby słowo, które nie padało zbyt często w tylnym boksie.

— Powinieneś ogłosić konkurs fotograficzny — poradził ojciec Tim, dmuchając na parujący kubek kawy. — Jesienne barwy, nagroda główna, nagroda za drugie miejsce... coś w tym stylu.

— Jeśli nie przestanie padać, nie będzie nic, co warto byłoby zgłosić do konkursu. Poza tym, musiałbym wydać kilkakaset dolców, żeby coś z tego wyszło.

— Gdzie jest Mule? — zapytał ojciec Tim.

Były miejski pośrednik handlu nieruchomościami spotykał się z nimi w tylnym boksie od dwudziestu lat, jedynie wyjątkowo tracąc okazję wspólnego śniadania o ósmej rano.

— Rozłożyła go mitfordzka zaraza. Prawdopodobnie przechodzi teraz z suchej, rozpalonej fazy do mokrej i zimnej.

Velma Mosely w srebrnych nike'ach zatrzymała się przy nich z impetem.

— Wygląda na to, że drużyna kogutów spotyka się dzisiaj w osłabionym składzie. Go zamawiacie?

To był ostatni rok Percy'ego i Velmy Mosely jako właścicieli baru Grill. Po czterdziestu latach zawieszali działalność z końcem grudnia i nie przedłużali umowy najmu.

Na wiosnę zamierzali pojechać autobusem do Waszyngtonu i obejrzeć, jak kwitną wiśnie*. Następnie planowali osiąść na emeryturze w Mitford, gdzie Percy chciał założyć po raz pierwszy od wielu lat ogród warzywny, a Velma adoptować krótkowłosego kota ze schroniska.

Ojciec Tim kiwnął do J.C.

— Ty pierwszy.

— Jajecznicza z trzech jajek, z kaszą, bekonem i dwoma bułkami! I dużo masła!

* Na przełomie marca i kwietnia każdego roku w Waszyngtonie odbywają się uroczystości upamiętniające dar Tokio dla Waszyngtonu w postaci drzew wiśni, które od tej pory są sadzone w mieście i w tym okresie kwitną.

Wydawca „Muse” wyczekująco spojrział na Velmę.

— Twoja żona mówiła mi, żebym nie dawała ci kaszy i bekonu, nie mówiąc już o bułkach i dużej ilości masła.

Żona J.C., Adele, była pierwszym — i jak na razie jedynym — policjantem kobietą w Mitford.

— Moja żona?

— Zgadza się. Adele zajrzała tutaj dzisiaj rano w drodze na posterunek. Mówiła, że doktor Harper powiedział, iż od dzisiaj masz całkowity zakaz jedzenia tych rzeczy.

— Od kiedy ta instytucja zajmuje się kwestionowaniem zamówień klientów?

— Jak ci się nie podoba, to trudno — odparła Velma.

Miała już dość tego, jak J.C. Hogan rządzi nią i poucza od lat.

J.C. opadła szczęką.

— Zamówię, podczas gdy on się będzie zastanawiał — zaproponował ojciec Tim. — To co zwykle.

Velma obrzuciła wydawcę gniewnym spojrzeniem.

— Gdybyś zamawiał jak ojciec, pożyłbyś dłużej.

Rozpierała ją duma, gdy tak bez strachu mówiła temu zręczliwemu ladaco, co o nim myśli. Powinna to była zrobić wieki temu.

— Nie zjadłbym jajka z wody, nawet za dopłatą. Daj mi jajecznicę z trzech jajek, z kaszą, bekonem... — J.C. powtórzył swoje zamówienie głośno i wyraźnie, jakby Velma nagle ogłuchła. — ...i dwie cholerne bułki.

Ojcu Timowi wydawało się, że z twarzy jego współtowarzysza można odczytać bezbłędnie jego ciśnienie krwi — j a - kieś 300 na 190.

— Jeśli chcesz się przewrócić na ulicy, to twój problem — zawyrokowała Velma. — Ale ja się do tego nie przyczynię. Przyniosę ci jogurt, świeże owoce i suchy tost.

— To, do licha, jawne łamanie prawa! Nie możesz mi mówić, co mam zamawiać.

— Rób, co chcesz. Obiecałam Adele i mam zamiar do-
trzymać słowa.

J.C. spojrzął na ojca Tima, żeby upewnić się, czy dobrze
słyszcy. Ojciec Tim zerknął na Velmę. Może to żart...

Velma jednak była niczym ściana, wóz opancerzony. Ko-
niec dyskusji.

J.C. podniósł się i sięgnął po asa z rękawa.

— Czy muszę ci przypominać, że to demokratyczne
państwo?

Velma spojrzała na wydawcę znad swoich połówkowych
szkieł — wszystkie głowy zwróciły się w ich stronę.

— Gdzie jest Percy? — zażądał odpowiedzi J.C. Wezwie
na pomoc posiłki i zdusi ten absurd w zarodku.

— Złożony mitfordzką zarazą! — rzuciła gniewnie Velma.

Młody mężczyzna przy grillu odwrócił się plecami do
całego kramu, żeby ktoś przypadkiem nie wciągnął go do
sprzeczki.

— W takim razie zjem dzisiaj śniadanie na końcu ulicy!

J.C. chwycił swoją teczkę i wyleciał z tylnego boksu ni-
czym kula armatnia. Kawa ojca Tima zawirowała w kubku.

Mijając z impetem ladę, wydawca „Muse” rzucił wią-
zankę nie nadającą się do druku i zatrzymując się w drzwiach,
otworzył je gwałtownie, odwrócił się i krzyknął:

— I, co może cię ucieszy, będę to robił od dzisiaj co-
dziennie!

Do środka wdarł się chłodny powiew wilgotnego wiatru,
drzwi zamknęły się z hukiem, zadzwonił dzwonek.

— I bardzo dobrze! — zawołała z przekonaniem Velma.

Przy ladzie Coot Hendrick wrzucił cukier do kawy i za-
mieszał.

— Nie wiedziałem, że jest jakieś miejsce na końcu ulicy,
gdzie można zjeść śniadanie.

— Przypuszczam, że miał na myśli kafeterię — wyjaśnił
Luke Taylor, nie podnosząc wzroku znad gazety.

Chichoty. Pohukiwanie. Ogólna wesołość pośród stałych klientów. W Mitford Chelsea Tea Shop był zdecydowanie teatrzyk, w istocie twierdzą, płci pięknej. Pojawienie się mężczyzny w tamtym lokalu należało do rzadkości, wyjątek stanowili nieliczni, niczego nie podejrzewający turyści.

Ojciec Tim odchrząknął.

— Naprawdę wydaje mi się, że to niezgodne z prawem
— zwrócił się do Velmy. — Odmówić... no wiesz...

Velma poprawiła okulary i gniewnie spojrzała na niego z góry.

— Od kiedy ratowanie komuś życia jest niezgodne z prawem?

Najwyraźniej Velmie Mosely należała się już emerytura.

#

To był jeden z tych nielicznych dni, gdy miał wrażenie, że cały świat stoi przed nim otworem, że należy do niego.

Po wyjściu z baru Grill stał pod zieloną markizą, nie mogąc się zdecydować, w którą stronę skręcić. Mimo że chłodny deszcz nie przestawał padać i kłótnia pomiędzy Velmą a J.C. była zdecydowanie nieprzyjemna, czuł się lekko; jakby w ogóle nie stąpał po ziemi. Jak ktoś w jego wieku może czuć się tak pełen nadziei i tak spokojny? Jak, zaprawdę? To łaska Boga.

— Panie, spraw abym był dzisiaj dla kogoś błogosławieństwem!

Wypowiedział na głos modlitwę swojej babci, podniósł do góry parasol, przy odgłosach deszczu bębniącego o czarny nylon, skręcił w lewo i skierował swe kroki do Lord's Chapel, żeby pożyczyć tom Jonathana Edwardsa z kościelnej biblioteki.

— Ojczy! — Głowa Andrew Gregory'ego wysunęła się z drzwi Oksfordzkich Antyków. — Zapraszam na gorące kakao!

Gorące kakao!

Nie delektował się smakiem kakao od niepamiętnych czasów. Prawdę powiedziawszy, słowa te rzadko można było usłyszeć z czyichś ust — na porządku dziennym było dzisiaj przesłodzone i syntetyczne kakao w proszku, które nie miało nic wspólnego z oryginałem.

— Co za szczęście! — stwierdził ojciec Tim.

Zawsze gdy odwiedzał Oksfordzkie Antyki, czuł się odrobinę bardziej osiemnastowieczny. Wrzucił parasol do metalowego stojaka, który stał w pogotowiu przy drzwiach, i ruszył do jednego z ulubionych miejsc w Mitford.

— Przepraszam za nieład — rzucił Andrew.

Mimo iż prawdopodobnie odczuwał jeszcze skutki długiej podróży samolotem, sam zawsze wyglądał nieskazitelnie. Prawdę powiedziawszy, niezwykle elegancka kaszmirowa marynarka Andrew wyglądała na świeżo wyprasowaną, jeśli nie zupełnie nową.

— Towar z mojej poprzedniej wyprawy został dostarczony wczoraj, tuż po moim przyjeździe. Obecnie wygląda to wszystko jak wielka wyprzedaż staroci, ale doprowadzimy całość do porządku, prawda, Fred?

Fred Addison podniósł wzrok znad orzechowej komody, której uważnie się przyglądał, i uśmiechnął się.

— Tak, proszę pana, jak zawsze. Dzień dobry, ojczy. Czy nie za dużo tego deszczu?

— Mnie nie przeszkadza, ale moim różom tak. W tym roku zamiast chrząszczy japońskich mamy szarą pleśń. A jak udały się twoje uprawy?

Ogród warzywny, który Fred Addison uprawiał co roku, słynął ze swoich rozmiarów i godnych podziwu pomidorów.

Ojciec Tim kilkakrotnie smakował owoców tego urodzajnego kawałka ziemi.

— Musiałem go zaorać — wyznał Fred ze smutkiem.

— Miejmy nadzieję, że za rok sprawy przybiorą lepszy obrót.

— Tak, proszę ojca, tak właśnie trzeba myśleć.

Andrew zaprowadził go do znajdującego się na tyłach pokoju, gdzie firmowa kuchenka i dzbanek do kawy sąsiadowały z takimi wspaniałościami jak odświętna paczka świeżych, słodkich babeczek przywiezionych prosto z Londynu.

— Proszę ostrożnie stawiać kroki — upomniał Andrew ojca Tima. — Właśnie rozpakowuję szopkę, którą znalazłem w Stow-on-the-Wold. Trochę zniszczona. Niektóre figurki pomalowane są na wyjątkowo brzydkie kolory i gdzieś tam trochę poobijane...

Ojciec Tim spojrzał na zbieraninę owieczek wysypujących się z pudełka, anioła, który zamiast jednego skrzydła miał za ledwie kikut, pomarańczowego wielbłąda i — leżące w żółbku z folii pęcherzykowej — samotne Dzieciatko...

— Dwadzieścia części, wszystkie z gipsu i prawdopodobnie francuskie. Ktoś złożył tę scenkę z dwóch, może trzech różnych szopek.

— Aha.

Andrew wlał z dzbanka gorące mleko do kubka.

— Nie jest to coś, co przywoziłbym z wielkiej wody, ale jakoś do mnie przemówiły.

— No cóż... mają pewien urok.

— Pomyślałem, że może ktoś chciałby spróbować przywrócić im dawną świetność. — Andrew wręczył mu kubek. — Proszę! Z dodatkiem wrzącego mleka i gwarancją na dobre samopoczucie oraz optymizm.

Kawa i kakao, wszystko w przeciągu za ledwie kilku godzin. Ojciec Tim przypuszczał, że po takiej ilości kofeiny

starczy mu adrenaliny aż do Bożego Narodzenia. Czuł się jak zając w kapuście.

Ceniony burmistrz Mitford, restaurator i sprzedawca antyków obdarzył go jednym ze swych słynnych, promiennych uśmiechów.

— Zapraszam, ojcze, pokażę ojcu kilka najnowszych zdobyczy. A ojciec opowie mi o wszystkich najnowszych skandalach w Mitford.

— To nie powinno zająć dużo czasu — stwierdził ojciec Tim.

Czuł ciepło trzymanego w dłoniach kubka i widział deszcz zacinający w okno wystawowe. W każdym miejscu tego dużego pokoju, który pachniał olejkiem cytrynowym i pszczelim woskiem, znajdowało się coś godnego podziwu — patyna starego orzecha i mahoni, krzesło z wysokim oparciem, obite gobelinowym materiałem, skąpane w świetle lampy, a obok stos oprawionych w skórę książek wyciągniętych właśnie ze skrzyni.

Poczuł głęboką wdzięczność i ogarnęło go dziwne, przyjemne uczucie, że za chwilę stanie się coś ważnego...

Tak, ale co?

Coś... *innego*. No właśnie.



Dzień po wizycie w Oksfordzkich Antykach zdał sobie sprawę, że anioł poruszył jego wyobraźnię.

Był zaskoczony tym, jak wyraźnie pamiętał jego twarz, która wydała mu się piękna, i nabożeństwo, z jakim złożone były jego ręce i skromnie spuszczonego wzrok.

A jeśli chodzi o brakujące skrzydło, czyż nie była to jakże prawdziwa alegoria stanu, w jakim znajduje się zdecydowana większość rodzaju ludzkiego, nie wyłączając jego samego?

Obraz Dzieciątka również przyszedł mu na myśl. Szaleństwo i komercja Bożego Narodzenia, tak zupełnie odległe od istoty jego znaczenia, sprawiły, że zawinięta w pęcherzykową folię figurka nabrała dodatkowego, jakże wymownego, metaforycznego znaczenia.

Szopki betlejemskie w ostatnich latach nie zajmowały ważnego miejsca w jego życiu. Raz czy dwa wykorzystali szopkę, którą odziedziczył po swojej babce ze strony mamy, ale pospolite figurki z nieszlachetnego metalu wydawały mu się tak posępne, że spakował je i odłożył. Zazwyczaj z Cynthią radzili sobie, korzystając z jej zestawu, który w jakiś cudowny sposób udało się jej ocalić z tułaczego dzieciństwa. Była to dziwna i symboliczna zbieranina postaci, które zrobiła z kawałków przędzy, filcu i słomy. Byli wśród nich pastarze z kłamek do bielizny, którym w wieku czternastu lat uszyła jedwabne szaty.

Przed przyjazdem do Mitford ojciec Tim używał swojej rodzinnej szopki, która powstała w Irlandii, przestrzegając

anglikańskich tradycji wpojonych mu przez dawno już zmarłego ojca.

Mimo że Matthew Kavanagh był zdecydowanie wrogi Kościołowi i wszystkiemu, co się z nim łączy, świętował Boże Narodzenie, i tylko Boże Narodzenie, z pewnym uczuciem. Pragnąca pielęgnować u męża najmniejsze nawet przejawy czułości wobec Boga, Madelaine, jego żona, ze szczególnym zapałem zajmowała się kultywowaniem tradycji adwentu i Bożego Narodzenia.

Jako jedyne dziecko, on, Timothy, miał przywilej i przyjemność rozkładania szopki bożonarodzeniowej w pierwszy dzień adwentu. Zaczynał zawsze, zgodnie z poleceniem ojca, od umieszczenia Marii i Józefa oraz pustego żłóbka na szczycie niskiej biblioteczki w ich salonie. Następnie stawiał dwa osły, smutnego konia, krowę, cielątko i dwie owce po jednej stronie, gdzie stały w zgodnym oczekiwaniu.

Jego matka i ojciec siedzieli z nim w salonie, podczas gdy on układał z ręcznie rzeźbionych i malowanych figurek scenkę, której każdego roku starał się nadać świeży i nowy wyraz. Jednego roku stawiał konia tak, że spoglądał z góry na żłóbek. Inny razem to uprzywilejowane miejsce przeznaczał dla krowy i cielęcia.

Czuł się szczęśliwy, mogąc tchnąć w tę małą scenkę życia, a jeszcze bardziej dzięki temu, że jego zazwyczaj ponury i nieprzystępny ojciec przejawiał zainteresowanie staraniami syna.

— Koń będzie wyglądał tam bardzo dobrze — rzucał Matthew Kavanagh.

Albo:

— W żłóbku powinno być trochę mniej słomy.

— Ojcu podoba się szopka — powiedział mamie.

— Tak — przyznała mama — zawsze ją uwielbiał. Twoja prababcia przywiozła ją z Irlandii i nauczyła twojego tatę ją rozkładać, dokładnie tak, jak on teraz uczy ciebie.

Pamięta, jak cieszyła go ta nowo odkryta więź z dzieciństwem jego ojca, a nawet z prababcią, której nigdy nie widział. Odwrócił się, żeby jego mama nie widziała dumy, która malowała się na jego twarzy, zdradzając skryte uczucia.

W czasie magicznych dni adwentu, z jego wianuszkami, świecami i wypiekami, które przygotowywała mama i Peggy, dom przenikały cudowne zapachy. Te aromaty, włącznie z wszechobecną wonią kawy z cykorii, parzącej się na kuchni, były intensywne i bogate — czasami czuć je było aż w zagrodzie, gdzie razem z najlepszym przyjacielem, Tommym Nolesem, który przychodził mu pomóc, karmili króliki.

— Popatrz, takie małe kuleczki wchodzi i takie same małe kuleczki wychodzą, tylko w innym kolorze — zauważył Tommy.

— Tak.

— Co dostaniesz?

— Mam nadzieję, że rower. A ty?

Tommy wzruszył ramionami, wyglądając na zasmuczonego.

— Chyba nic.

— Każdy coś dostaje na Boże Narodzenie — próbował go pocieszyć.

— Nie, jeśli jest biedny.

— Wy nie jesteście biedni.

— Becky mówi, że jesteśmy.

— Ale wy macie dom i stodołę, i mnóstwo innych rzeczy, nawet konie, a my mamy tylko króliki.

Zawsze chciał mieć konie.

— Mamy też krowę i cielaka — przypomniał mu Tommy.

— Poza tym, ona jest tylko twoją młodszą siostrzyczką. Jest głupia, że tak mówi. Macie nawet ciężarówkę, my nie mamy ciężarówki, tylko buicka.

Zawsze chciał mieć ciężarówkę.

Tommy wyglądał na przekonanego.

Czterech pasterzy czekało tymczasem w jadalni na orzechowym kredensie, aby w bożonarodzeniowy poranek wyruszyć w drogę do żłóbka. A w maminym pokoju do szycia, wiedział, że czekały prezenty. Jego mama spędzała wiele godzin w tym pokoju, zawsze przy zamkniętych drzwiach, przewiązując prezenty całymi metrami swojej wyjątkowej białej atłasowej tasiemki i chroniąc z wyjątkowym zapałem te cudowne sekrety, które on tak usilnie próbował rozszyfrować.

W czasie długich dni przed Bożym Narodzeniem nie mógł się już doczekać, kiedy włoży Dzieciątko do żłóbka i często podchodził do szuflady ze srebrem w kredensie, żeby spojrzeć na niemowlę spoczywające bezpiecznie we wgłębieniu chochli do sosu.

Podczas gdy jego przyjaciele przestali wierzyć w świętego Mikołaja, on nadal wierzył w potężną prawdę małej scenki, podobnie jak — przypuszczał — mały chłopiec wierzy, że jego plastikowi bohaterowie żyją, a bitwy rozgrywane na podłodze salonu są prawdziwe.

Wiele lat później przechowywał irlandzką stajenkę w piwnicy położonego nad rzeką domu w Hastings, gdzie był pastorem przez dziesięć lat, zanim przybył do Mitford. Pamiętał, jak podczas przeraźliwej burzy wracał samochodem do domu z konferencji diecezjalnej. Gdy otworzył drzwi do piwnicy, zobaczył, że woda przykryła ostatni stopień.

Na powierzchni małej, wewnętrznej rzeczki, która powstała w dolnej części jego domu, pływały figurki z szopki — wielbłądy bez jeźdźców, pasterze bez kijów, stajenka ze spiczastym dachem i przytwierdzoną gwiazdą, miniaturowa bela mokrej słomy i — tu i tam — owieczka lub osioł razem z innymi śmieciami uwolnionymi z tekturowych pudeł i rzucenymi na fale powodziowe południowej Alabamy.

Wyłowił je i włożył do pudełka, a w rozgardiaszu, który nastąpił po powodzi, zupełnie o nich zapomniał. Gdy wiele

miesiący później otworzył pudełko, figurki zniszczone były przez cuchnącą wilgoć, która sprawiła, że skleiły się w spleśniałą i nieprzyjemną bryłę.

Poczuł ogromny żal, jak również ulgę, gdy wiele miesięcy później odkrył, że firma przeprowadzkowa nie zapakowała tego pudełka na ciężarówkę jadącą do Mitford.

Droga Hope!

W związku z tym, że moja propozycja jest poważnej natury, nie wysyłam Ci e-maila ani też nie dzwonię. W zamian chcę Ci dać wystarczająco dużo czasu na rozważenie mojej propozycji, żebyś mogła podejść do niej w pozytywny i odpowiedzialny sposób, który zademonstrowałaś, przekształcając Księgarnię Szczęśliwych Zakończeń w bardziej rentowną firmę.

Mitford ma wiele uroku, ale — jak na pewno zdajesz sobie sprawę — ma też pewne namacalne ograniczenia. Z całej liczby mieszkańców zaledwie jedna dziesiąta znajduje przyjemność w porywającej lekturze albo przejawia jakkolwiek chęć otworzenia książki. Musieliśmy dokładać coraz to nowych starań, żeby opłacić czynsz i zapełnić półki, a żadna kawiarnia ani galeria tak zwanych zabawnych kartek nigdy nie będzie w stanie zmienić tych przykrych okoliczności.

Twój sprytny sposób reklamowania księgarni w lokalnych społecznościach, Twoje ofiarne wysiłki na rzecz rady do spraw czytania i pisania oraz rozwinięcie segmentu sprzedaży rzadkich książek przez Internet z pewnością się opłaciły. Ale tylko w zakresie pozwalającym na pokrycie co miesiąc czynszu, opłat i Twojej pensji, nie pozostawiając prawie nic na zakup nowych pozycji.

Innymi słowy, mimo że pracujesz bardzo ciężko i idzie Ci to dużo lepiej niż mnie, gdy mieszkałam w Mitford, zysk pozostaje

niewielki i niepewny. Piszę to z ciężkim sercem, ale najlepiej mówić wprost, jak się sprawy mają.

Termin dzierżawy księgarni upływa z końcem grudnia i zdecydowałam, że po prostu nie chcę kontynuować interesów w Mitford. W zamian zapraszam Cię, abyś dołączyła do mnie w sklepie na Florydzie i pomogła mi rozwijać interes tutaj.

Naprawdę, moja Droga, nie widzę żadnego powodu, abyś miała pozostawać w Mitford. Zapewniam Cię, że Twoje nudne i samotne życie tam zamieni się w niezwykle ekscytujące życie tutaj. Mamy z Peterem czarujący domek dla gości, w którym możesz mieszkać bardzo wygodnie, dopóki nie staniesz na własnych nogach!

Nie będę do Ciebie dzwoniła przez tydzień, ponieważ wyjeżdżamy z Peterem do Keys — będziesz miała sposobność, żeby to przemyśleć i dać mi odpowiedź, którą mam nadzieję — a w rzeczywistości — oczekuje usłyszeć!

Serdeczne pozdrowienia
Helen

PS: Pokryjemy, oczywiście, koszty przeprowadzki, które powinny być minimalne, zważywszy na Twoje mikroskopijne mieszkanie nad kafeterią.

PPS: Skontaktuję się jutro z prawnikami Edith Mallory w sprawie sześćdziesięciodniowego wypowiedzenia. Jak wiesz, w wyniku tego strasznego pożaru w Clear Day doznała ona licznych obrażeń, a mimo że okazała się chciwą i niemiłą właścicielką, muszę przyznać, że mam dla tego nieszczęsnego biedactwa trochę współczucia.

Nie mów nikomu, dopóki Boże Narodzenie nie minie — wszyscy chcieliby coś za nic, a ja nie zamierzam urządzać wyprzedaży z powodu zamknięcia sklepu; pozostałe książki przewieziemy tutaj.

Gdy Hope przeczytała ten list po raz pierwszy, jej serce zaczęło bić szybciej z radości. Teraz czuła jego szybkie bicie z zupełnie innego powodu.

Biło ze strachu przed tym, co ją czeka.



Wszystko przemawiało za tym, żeby się tego nie podejmował.

Po pierwsze, nigdy wcześniej nie próbował robić nic podobnego. Nic choćby w przybliżeniu podobnego.

Po drugie, był to rodzaj zadania, którego mogła się podjąć Cynthia i ukończyć z ogromnym sukcesem, ale on nie posiadał takiego talentu ani umiejętności — w istocie poza pewną dozą umiejętności w zakresie prac ogrodowych i gotowania miał, jak to się mówi, dwie lewe ręce.

Po trzecie, nie pozostało już wystarczająco dużo czasu w tym roku, żeby doprowadzić zadanie do końca, chociaż gdy rozmawiał o tym przez telefon, Andrew obiecał, że będzie mu służył na bieżąco pomocą i w razie potrzeby zwróci się o radę do swoich ekspertów.

Po czwarte, cała ta rzecz była za duża, zbyt przytłaczająca jak na kącik w salonie — niektóre figurki były z pewnością wysokie na co najmniej trzydzieści pięć, czterdzieści centymetrów.

A pomijając wszystko inne, i bez tego miał co robić. Zmagał się obecnie z jeszcze jednym zajęciem, do którego prawdopodobnie nie miał żadnego talentu ani predyspozycji — pisał tom esejów. Szczerze mówiąc, to cholerne zadanie jak na razie nie dało mu ani chwili przyjemności — miał ochotę wyrzucić wszystko do kosza i nigdy więcej do tego nie wracać. Ale nie, zainwestował już tak wiele czasu...

Nałożył kurtkę i otworzył drzwi żółtego domku, wdychając ostre poranne powietrze.

I jeszcze jedno... obiecał przyjąć przed końcem roku zastępstwo w kilku kościołach — razem w pięciu, włącznie z nabożeństwem wigilijnym w Lord's Chapel w związku z wyjazdem ojca Talbota do Australii.

A co z przygotowaniem do jego własnego wyjazdu? Razem z Cynthią w połowie stycznia mieli jechać do Meadowgate, żeby dopilnować farmy podczas rocznej nieobecności Hala i Marge Owenów. Ponieważ farma oddalona była zaledwie o piętnaście minut drogi, mogli z łatwością przyjechać w każdej chwili do Mitford. Niemniej jednak...

Andrew Gregory polerował komodę w stylu późnoelżbietańskim, gdy ojciec Tim przybył do Oksfordzkich Antyków.

Podszedł prosto do Andrew, po czym bez formalnego przywitania i dalszego zastanawiania się stwierdził:

— Biorę je.

Wydawało się, że głos zadrżał mu lekko, gdy wymawiał te słowa, ale nie miało to większego znaczenia.

W drodze do domu postanowił, że nikomu nie piśnie ani słowa o tym, co zrobił. Andrew zaproponował mu tak atrakcyjną cenę za tę szopkę bożonarodzeniową, że doszedł do wniosku, iż nie może odrzucić takiej propozycji. Ponadto czek, jaki otrzymał ostatnio za sprzedaż swojego wiekowego buicka, pokrył koszty zakupu i jeszcze mu dużo zostało.

Co za ulga. Ogromna! Bez tego niespodziewanego dochodu musiałby zdradzić swój pomysł Cynthii, ponieważ postanowili ostatnio, że żadne z nich nie wyda bez wcześniejszego uzgodnienia kwoty większej niż pięćset dolarów.

Jednakże — czyż jego żona nie kupiła mu mustanga kabrioletu, który kosztował dużo więcej niż pięćset dolarów, i nie powiedziała wcześniej ani słowa? I jego pióro marki Montblanc — które, jak się dowiedziało, kosztuje dużo wię-

cej niż niejedna miesięczna rata kredytu hipotecznego — było dla niego również kompletnym zaskoczeniem. Najwyraźniej żona uważała, że jeśli coś ma być niespodzianką, to nie ma powodu uprzedzać o tym bezpośrednio zainteresowanego. Dlatego właśnie nie miał zamiaru czuć się winnym z powodu, który — jak gorliwie wierzył i w którego intencji się modlił — przyniesie szczególną radość tej, która uwielbia niespodzianki.

Ponadto, cojeszcze cenniejsze, Andrew obiecał udostępnić mu południową część tylnego pokoju Oksfordzkich Antyków na pracownię — „tuż obok kranu”, ponieważ będzie potrzebował wody do pracy z gipsem.

Do pracy z gipsem!

Przyszło mu do głowy jedno z bardziej pesymistycznych powiedzeń: „Starych drzew się nie przesadza”.

Wróg już próbował zdobyć nad nim władzę — nieomal czuł zapach siarki — ale nie zamierzał połknąć haczyka. Poza tym, gdyby to przysłowie było prawdziwe, Grandma Moses już dawno byłaby bez pracy, z pewnością.

Migotliwe październikowe światło pokryło cętkami chodnik, gdy przechodził pod drzewem...

A skoro już o tym mowa, co ze słowami Michała Anioła wypowiedzianymi w wieku zaledwie osiemdziesięciu siedmiu lat?

Ancora imparo! Nadal się uczę.

Powiedział to na głos: „Nadal się uczę!” i ruszył szybszym krokiem, nućąc cicho.

#

Droga Hope!

Modłę się za Ciebie niezmiennie, tak jak obiecałem, gdy wyjeżdżałem z Mitford. To ogromna strata, wiem o tym i dlatego dzię-

kuję Bogu, że teraz jest dla Ciebie wsparciem w życiu. Zobaczysz sama w ciągu dni i miesięcy, które nadejdą, że pomoże Ci znieść smutek i otoczy czułością oraz łaską w opłakiwaniu straty. Ze swojego strasznego doświadczenia jednoczesnej utraty trojga moich dziadków, mogę z całą pewnością powiedzieć, że nadejdą chwile, gdy będzie Cię błogostawił szczególną radością.

Moja babcia, Leila, jest niczym nigdy nie gasnące światełko i dodaje otuchy wszystkim w domu opieki, gdzie mieszka. Oczywiście, tuż po przyjeździe zabrałem się do pracy i urządziłem tańce w środę, pieczenie pizzy w czwartek i konkurs talentów w piątek. Szkoda, że nie mogłaś zobaczyć pewnego dziesięcioletniego mężczyzny, który grał na harmonijce — był naprawdę świetny. Wszyscy są już wyczerpani aktywnością towarzyszącą mojej wizycie, podobnie Luke i Lizzie, które pracują w dwójnasób, jestem naprawdę zadowolony, że przyjechałem, i opowiem Ci wszystko, gdy wrócimy. Dziękuję za Twoją modlitwę w intencji naszej wyprawy, szczerze to doceniam.

Dużo o Tobie myślę. Pamiętaj o tym, żeby zarezerwować dla mnie czas na wspólną kolację, gdy wrócę do Mitford w następnym tygodniu.

*Z Jego łaski
Scott*

W pokoju na tyłach Księgarni Szczęśliwych Zakończeń, Hope skończyła czytać drugi list i przycisnęła go na chwilę do serca. Nigdy wcześniej nie dostała listu miłosnego.

Była, oczywiście, jedyną osobą, która uznałaby go za list miłosny, ponieważ nie było w nim żadnej wzmianki o tym uczuciu. Mimo to czuła miłość tętniącą w każdym słowie, w każdym pociągnięciu pióra, tak jak tętniła ona w sercu i duszy kapelana Domu Nadziei i znajdowała wyraz we wszystkim, co robił.

Scott Murphy zdobył prawdziwą sławę jako inicjator cudownych projektów — do których realizacji mobilizował pensjonariuszy domu opieki — takich jak praca w ogrodzie warzywnym i przekazywanie plonów do banku żywności dla okolicznych kościołów. Były też jego teriery Jack Russell, Luke i Lizzie, które skutecznie rozśmieszały starszych pensjonariuszy.

Hope nie miała pojęcia, dlaczego Bóg sprawił, że przytrafiła się jej ta cudowna rzecz — kobiecie, która nieomal nigdy nie czuła się piękna, chociaż często mówiono jej, że tak jest, kobiecie, która w wieku trzydziestu siedmiu lat nigdy dotąd nie była zakochana, chociaż zawsze tego pragnęła i dwa razy, omyłkowo, wydawało się jej, że jest.

Ale być może wyciągała zbyt pochopne wnioski, umówiła się przecież ze Scottem do tej pory zaledwie trzy razy.

— A więc jak myślisz? — zapytał Mule'a Skinnera przy śniadaniu w barze Grill.

— Nie mam pojęcia — odparł Mule. — j e s t e m pewien, że nie jeździ do Wesley, żeby zjeść jakiś nieziemsko drogi lunch.

— Spotkałem go wczoraj na ulicy. Zaproponował, byśmy się spotkali w kafeterii.

— J.C. bywa w kafeterii? — Brwi Mule'a uniosły się ze zdziwienia.

— Prawdę mówiąc, nie odważył się tam jeszcze pójść — zabiera ze sobą kanapki — ale powiedział, że to zrobi, jeśli z nim pójdziemy.

— Percy nie będzie zadowolony, że chodzimy na drugi koniec ulicy.

— Zgadza się. To prawda.

Właściciel baru Grill uważał, że stali klienci są jego wła-

snością. Jeden potajemny posiłek w innym lokalu był niechętnie tolerowany, dwa jednak stanowiły zdradę i na wybaczenie trudno było liczyć.

— Idę o zakład, że się nie odważysz — rzucił Mule.

Ojciec Tim zamoczył tost w jajku i zastanowił się przez chwilę. Kupno szopki bożonarodzeniowej sprawiło, że poczuł się bardziej bez troski...

— Odważ się, jeśli i ty to zrobisz — odparł, uśmiechając się.

W Oksfordzkich Antykach, razem z Fredem rozpakowali ostatnie figurki i ustawili je wzdłuż tylnej ściany pokoju na zapleczu sklepu.

— I co myślisz? — zapytał Freda.

Spoglądając poważnie na całą kompozycję, Fred zastanowił się przez chwilę nad odpowiedzią.

— No cóż, proszę ojca, to bardzo trudne zadanie.

Dwa anioły, jeden bez skrzydła. Wielbłąd z jednym uchem. Dwie owce pozbawione ogonów i całe stadko pomalowane na przeraźliwy, biały jak kreda kolor. Osioł pomalowany na czarno, z oczami i całą resztą, przypominający bryłę węgla. Jeden pasterz w przyzwoitym stanie, z wyjątkiem uszkodzenia dłoni, które pozbawiło go trzech palców, drugi pasterz w koszmarnym, stalowoszarym kolorze — skóra, szaty, buty, wszystko.

Trzej królowie nie mieli dużo więcej szczęścia. Podczas trwającej — co do czego większość uczonych w piśmie była zgodna — dwa lata wędrówki do Dzieciątka jeden pocziwiec stracił nos, drugiemu brakowało fragmentu korony, a wszyscy poфарbowani byli na ciemny, cętkowany, zielonobłękitny kolor. Jak Andrew mógł tego nie zauważyć?

Jasnoczerwona szata Najświętszej Maryi Panny, nałożo-

na na pomarańczowy strój, była zdecydowanie przeróbką, a odzienie aniołów — w istocie — było niewiele lepsze: obydwaj mieli szaty w przeraźliwym, szafranowym kolorze, jedynie o ton ciemniejsze od koloru skóry. Nie trzeba było być Leonardem da Vinci, żeby wiedzieć, iż cała gromadka potrzebowała ratunku, z wyjątkiem Dzieciątka, którego figurka, w znajdującym się w zestawie żłóbku, pozostała w cudowny sposób nieuszkodzona i była całkiem nieźle pomalowana.

— Rzeźbione drewno — stwierdził Andrew, przyglądając się przez lupę fragmentowi małej figurki. — Nie gips, jak mi się wydawało. Oryginalna malowana powierzchnia, z pozłotą. Zważywszy na jej zużycie, być może połowa lub koniec dziewiętnastego wieku.

— Co więc myślisz? — zapytał ojciec Tim, szukając w jego głosie otuchy.

— Myślę, że jak tylko odezwie się mój ekspert z Anglii, powinniśmy zacząć... od początku!

— Aha — odparł, odnosząc wrażenie, że kolana się pod nim uginają.

Razem z Mule'em zmierzali w południowym kierunku, do kafeterii, czując, jak rośnie im adrenalina. Cynthia Kavanagh wiedziała, co mąż zamierza dzisiaj zrobić, i już zdążyła się z tego pośmiać. Tylko patrzeć, jak zaczną się z nich wyśmiać całe miasteczko — z wyjątkiem, oczywiście, Percy'ego Mosely.

Tymczasem byli niczym Lewis i Clark, wyruszyli na podbój ogromnego i niezbadanego terytorium.

— Ty będziesz Lewitem — zaproponował ojciec Tim. — Ja będę Clarkiem.

— Co?

— A nasze zainteresowanie przyszło w samą porę! Cynthia mówi, że w kafeterii serwuje się teraz prawdziwe jedzenie, nie tylko małe kanapki bez skórki. Jest zupa dnia i deser przygotowywany na miejscu.

Mule nie wyglądał na przekonanego.

— Próbujać pozyskać męską klientelę, tak słyszałem.

— I widzisz? — zawołał ojciec Tim. — Działa!



Droga Hope!

Byłam taka szczęśliwa, gdy się urodziłaś. Ze szpitala do domu przywieźliśmy Cię w małym, białym ubranku, które zrobiłam na drutach.

Wszystkie bardzo cierpiałymy w ciągu lat po śmierci waszego ojca i musiałyście, moje dziewczęta, obejść się bez wielu rzeczy, których pragnęłyście, ale nigdy nie narzekałyście.

Pamiętasz, jak wygrałaś ten konkurs na najlepsze ciasto i kupiłaś mi obrączkę, ponieważ zawieruszyłam swoją z praniem tak wiele lat temu? Wydaje mi się, że nigdy nie kochałam Cię dość mocno, i bardzo tego żałuję. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Powiedziałaś, że znasz teraz Boga i dlatego mam nadzieję, że będziesz potrafiła.

Zostawiam każdej z was, dziewczęta, 5000 dolarów i dom. Matka waszego Taty umierając, zostawiła mi trochę pieniędzy i nie tknęłam ich, nawet wtedy gdy były niezbędne na wasze studia. Zawsze wydawało mi się, że będą wam potrzebne na coś ważniejszego.

Obawiam się, że nie wyzdrowieję, ale proszę, nie płaczcie po mnie. Bądźcie dla siebie dobre, moje dziewczęta.

*Z wyrazami miłości, Mama
Zapisała Amanda Rush, Pielęgniarka Dyplomowana*

— Zostawiłem okulary w biurze — rzucił J.C. — Może ktoś mi przeczyta, co jest w tym różowym menu.

— Niech no zobaczę. — Mule poprawił okulary. — Sałatka z kurczakiem z winogronami i orzechami. Podają ją z trójkątami tostów.

— Z trójkątami tostów? Nie będę jadł trójkątnych tostów, nie mówiąc o czymś z winogronami i orzechami.

— A tutaj, proszę bardzo, francuski crepe — obwieścił ojciec Tim. — To specjalność kuchni.

— Co to jest francuski krep? — chciał wiedzieć Mule.

— Rodzaj cienkiego naleśnika, zrolowanego, z nadzieniem.

— Z jakim nadzieniem?

J.C. otarł czoło papierową serwetką.

— Z paskami kurczaka, w tym przypadku.

— Zrolowany naleśnik z paskami kurczaka? Dlaczego kurczak jest w paskach? Gdyby Bóg chciał, żeby kurczak był w paskach...

— Mógłbym zjeść nogę stołu — rzucił Mule. — Pośpieszmy się.

— Nie mogę tego jeść. Religia mi nie pozwala.

— Chwileczkę! Proszę bardzo — przerwał im ojciec Tim. — Mają płastugę!

— Płastugę! — poweselał J.C.

— Świeży filet z płastugi, zrolowany, z nadzieniem z żurawin z Maine, smażony. To całkiem przyzwoite menu.

— To miejsce wydaje mi się bardzo podejrzane. Wszystko tutaj jest zrolowane i podane z jakimś nadzieniem. Odpada.

— Spójrz — zawołał ojciec Tim. — Galareta! Z selerem i cebulami. Polej to majonezem i będzie bardzo pyszne.

J.C. przewrócił oczami.

— Zawsze bardzo lubiłem galaretę — stwierdził ojciec Tim.

— Wcale mnie to nie dziwi — warknął J.C. — Przejdźmy do rzeczy. Czy jest tam jakiś burger?

— Nie. Nie widzę burgera... Chwileczkę... Organiczny burger z indykiem! Proszę bardzo, przyjacielu.

Mule wyglądał na niezmiernie zadowolonego z siebie.

— No to spadam — rzucił J. C, chwytając swoją teczkę.

— Chwileczkę! — sprzeciwił się Mule. — To ty chciałeś, żebyśmy się tutaj spotkali. To był twój wspaniały pomysł.

— Nie mogę tego jeść.

— Ależ oczywiście, że możesz. Po prostu zamów coś, a my poprosimy, żeby w kuchni wylali na to miskę tłuszczu.

— W tej kuchni na pewno nie mają miski tłuszczu, ale dobrze — ten jeden raz. Z pewnością nie zrobię tego nigdy więcej.

— Świetnie! — zawołał Mule. — Wspaniale! Jutro wracamy do baru Grill i wszyscy będą zadowoleni. Osobiście nie byłem zbyt zachwycony tą zmianą. Źle działa na mój żołądek.

— Nie zamierzam tam wracać, żeby rządziła mną ta wiedźma na miotle.

— Dzień dobry, witam panów.

Odwrócili się i ujrzeli młodą kobietę w fartuchu, z notese-
sem na zamówienia w ręce. Ojcu Timowi jej uśmiech wydał się olśniewający.

— Dzień dobry — odwzajemnił jej powitanie.

— Jestem Lucy i będę dzisiaj podawać panom lunch.

— W porządku! — odparł Mule.

— Co pan zamawia? — zwróciła się kelnerka do J.C.

— Chyba płastugę — odparł niechętnie wydawca. — Ale tylko, jeśli zabierzecie żurawiny.

— Tak proszę pana, z przyjemnością. Podajemy ją z py-

szną sałatką i bułką. A ponieważ zabierzemy żurawiny, może miałby pan ochotę na ziemniaki z masłem?

Ojcu Timowi wydawało się, że J.C. wybuchnie płaczem.

— Bardzo proszę! — wykrzyknął wydawca „Muse”. — A czy mógłbym prosić odrobinę masła do bułki?

— O, tak, proszę pana, bułkę podajemy z masłem.

— Alleluja! — zawołał Mule. — ja poproszę to samo, z tym że dziękuję za masło do bułki.

— Jak wyżej — złożył zamówienie ojciec Tim. — Z odrobiną galarety.

— Nie, chwileczkę — zawahał się Mule. — Może wezmę z żurawinami. Ale tylko, jeśli są słodkie jak na Święto Dziękczynienia...

— Proszę się w to nie bawić — poradził J.C. — Proszę im przynieść to samo, co zamówiłem dla siebie.

Ojciec Tim nie powiedział swoim towarzyszom, z którymi spożywał lunch, że na drugim końcu sali siedziały Hesse Mayhew i Esther Bolick, wpatrując się w nich z otwartymi szeroko ustami.

— Sądzę — zauważył Mule, gdy maszerowali Main Street w północnym kierunku — że jeśli chcą pozyskać męską klientelę, to powinni zmienić te różowe firanki.

Wydawało mu się, że powinien zacząć od owcy, może tej z domalowanym uśmiechem...

— Różowy wcale nie jest taki zły, jak się nad tym zastanowić. My mamy różową sypialnię.

— Nie wierzę, niemożliwe.

— Cynthia mówi, że to wypłowiwała terakota...

...Te małe figurki mogłyby pomóc mu odkryć u siebie talenty, o których nic nie wiedział...

— Różowy to różowy — stwierdził Mule. — Mogliby przynajmniej zrezygnować z tych falbanek.

— To jest myśl.

...Jakiej farby użyją? I jakich pędzli? I skąd wezmą takie rzeczy? Miał niekończącą się listę pytań...

— I być może zmienić kolor menu, na — powiedzmy — kolor mojego swetra.

— Brązowy z wyprzedaży? Nie wydaje mi się.

...Albo może powinien zacząć od pasterzy, żeby ich postawić już pierwszego dnia adwentu...

— Wydaje mi się, że jedzenie było całkiem niezłe — ocenił Mule.

— Jateż tak myślę... Będzie się musiał pośpieszyć...

— Ale za drogie. Zdecydowanie za drogie. To dlatego męska część populacji trzyma się z daleka od tego miejsca. Mamy dość rozumu, żeby nie wydawać sześć dziewięćdziesiąt pięć za kawałek płastugi.

— Właśnie to zrobiliśmy.

...Widział wyraz zaskoczenia na twarzy Cynthii — była osłupiona, niczym porażona piorunem...

— Tak, ale nie zamierzam tego robić ponownie, a wy?

— Zobaczymy.

— Co więc chcecie zrobić z resztą dnia?

Co mógł powiedzieć? Że zaczynał pracę nad szopką bożonarodzeniową? Nie mógł tego powiedzieć. Tak samo jak nie mógł powiedzieć, że wieczorem będzie pracował nad swoimi esejami. Mule Skinner nie miał pojęcia, co to esej.

— To i owo. Jak zwykle.

— Ja też — odparł Mule, który na pewno nie chciał, aby ktokolwiek wiedział, że idzie do domu na długą drzemkę.

Spojrzał na zegarek. Jeśli się pośpieszy, zdąży odwiedzić Księgarnię Szczęśliwych Zakończeń i wrócić do Oksfordzkich Antyków na półtorej godziny, zanim pojedzie po Cynthię do salonu samochodowego w Wesley.

— Jakież książki z szopkami betlejemskimi albo o szopkach betlejemskich ogólnie, albo... o czymś takim?

— Nie, proszę ojca, obecnie nie — odparła Hope. — Ale nasze bożonarodzeniowe zamówienia właśnie zaczynają spływać.

Margaret Ann, która w zamian za wikt i opiekę przepędzała myszy, podniosła się z lady i przeciągnęła, następnie podeszła do niego i polizała mu dłoń. Mimo że nie przepadał za kotami, one zdawały się go uwielbiać.

— Chciałbym zobaczyć na przykład, jakiego koloru są szaty aniołów.

Czyż przez te wszystkie lata nie otrzymał dosłownie tysięcy kartek bożonarodzeniowych, które często przedstawiały anioły? Tak. Ale czy pamiętał detale ich stroju? Nie.

— Szaty aniołów — powtórzyła na głos Hope, robiąc notatki. — Coś jeszcze, ojczu?

— Chciałbym też zobaczyć kilku mędrców ze Wschodu, skoro już przy tym jesteśmy. Kilka wielbłądów i osłów też by nie zaszkodziło.

— Przygotowuje ojciec bożonarodzeniową scenkę w swoim kościele?

— Scenkę tak, ale niekoniecznie w kościele.

Już od początku widział, że zachowanie wszystkiego w sekrecie będzie najeżone licznymi trudnościami. Będzie musiał się starać zawsze mówić prawdę, nawet jej unikając.

— Wydaje mi się, że wiem dokładnie, czego ojciec potrzebuje. To piękna ilustrowana książka, z licznymi podobiznami świętej rodziny i scenek bożonarodzeniowych, autorstwa różnych artystów. Kolorowa. Czy mam ją dla ojca zamówić?

Oczy Hope pojaśniały za szklami okularów w szylkretowych oprawkach.

— Proszę! Czy mogłabyś? Potrzebna jest mi w trybie pilnym.

— Załatwione! — odparła, cytując jedno z jego ulubionych słówek. — Każą ją przysłać pocztą lotniczą, w dwa dni.

— Skoro już przy tym jesteśmy, Hope, chciałbym ci powiedzieć, że bardzo cenimy z Cynthią tę wspaniałą pracę, jaką wykonujesz w księgarni. Zmieniłaś Księgarnię Szczęśliwych Zakończeń w instytucję, z której jesteśmy wszyscy bardzo dumni.

Do jej oczu nagle napłynęły łzy.

— Dziękuję — szepnęła.

— Modłę się nieustannie za ciebie i twoją siostrę, Louise — zapewnił ją. — Przykro mi z powodu śmierci waszej matki.

— Dziękuję — powiedziała jeszcze raz.

— Pozwól, że odmówię za ciebie modlitwę.

— Tak.

Wyciągnął rękę przez ladę, ujął jej dłoń i przytrzymał.

#

Przerzucał kartki swojego kalendarza palcami prawej dłoni, jednocześnie trzymając w lewej kubek gorącej herbaty. Zerwał się zimny wiatr, sprawiając, że gałąź klonu zaczęła mocno uderzać o rynnę.

Co my tutaj mamy? Nabożeństwo w St. Paul's w następną niedzielę, potem za kolejne dwa tygodnie w St. Stephen's. Przydałaby mu się odrobina pomocy ze strony jego byłej sekretarki. Jest jednak obecnie w Atlancie, aż do Bożego Narodzenia, pomagając swojej córce dotrzeć szczęśliwie do końca zagrożonej ciąży.

W zastraszającym tempie zbliżali się do świątecznego

okresu, kiedy to Dooley przyjedzie do domu z University of Georgia, a dawno zaginiony młodszy brat Dooleya, Sammy, dołączy do nich na uroczystą kolację z okazji Święta Dziękczynienia, którą urządzają w żółtym domku. Oparł się wygodnie, zamknął oczy i ogrzała obydwie dłonie na kubku.

Przypomniawszy sobie pierwszy raz, gdy zobaczył Dooleya Barlowe'a — bosego, brudnego i szukającego „ustronnego miejsca”. Zachichotał. Nigdy by nie przypuszczał, że ten odrzucony chłopiec, wtedy jedenastoletni, teraz dwudziestoletni mężczyzna, zmieni jego serce, jego życie, na zawsze. Dooley jednak nie był jedynym odrzuconym dzieckiem z rodziny Barlowe'ów — ich matka pozwoliła odejść trójce braci i siostrze. Już od dawnajego osobistą misją stało się odnalezienie ich wszystkich, dopilnowanie, aby zniszczone gniazdo znowu stało się całością.

W Święto Dziękczynienia czwórka z piątki rodzeństwa połamie się chlebem przy stole Kavanaghów. Jedynie Kenny pozostawał nadal zaginiony i tylko Bóg wiedział, gdzie go szukać.



Wujaszek Billy Watson wolno przesunął się do krzesła przy oknie kuchennym i wyjrzał na swoje podwórko położone na północnym krańcu Main Street.

Chłopcy z urzędu miasta zajrzeli, żeby skosić trawnik, ale wskoczyli z powrotem do ciężarówki i odjechali z hukiem, zanim zdążył do nich krzyknąć i zaprosić do wysłuchania nowego dowcipu. Znalazł go w magazynie, który przyniosła Betty Craig, i przestudiował w nocy, gdy nie dawało mu spać chrapanie żony.

Mrużąc oczy, spojrzął przez górną szybę okna.

Przekłęci nicponie przelecieli przez ogród i zostawili trawę leżącą beładnie w rzędach. Lekceważąco — tak właśnie traktowało go miasto. Tygodniami nie zjawiali się, żeby skosić trawę, a potem za bardzo im się śpieszyło, by zgrabić pozostałości.

Nie opowiedziałyby im swojego nowego dowcipu, za nic w świecie.

Chwycił się za serce. Trzepotało mu jak ryba złowiona w sieć.

— Boże, dałem z tymi chłopcami za wygraną, wie Bóg, ale Bóg tego nie zrobił. Mam nadzieję, że nie da Bóg za wygraną ze mną, amen.

Przez chwilę manipulował przy oknie i w końcu udało mu się je podnieść na mniej więcej trzydzieści centymetrów, potem opadł na krzesło i oparł swoją łaskę o ścianę. Pomyślał, że jeśli posiedzi tu dość długo, ktoś będzie przechodził ulicą; przywoła go do siebie i zaskoczy nowym dowcipem.

Problem w tym, że w dzisiejszych czasach prawie nikt nie chodził już ulicą. Wyglądało na to, że wszyscy, co do jednego, mieli pojazdy, którymi okrążali pomnik, jakby śpieszyli się na piknik urządzany przez demokratów. Obecnie jedynymi osobami, które można było zobaczyć na spacerze, byli księża — ksiądz Kavanagh, z dużym czarnym psem i ksiądz Sprouse ze swoim nowym psem, który chodził bokiem, jak krab. Więcej osób powinno albo sprawić sobie psy, albo zdecydować się na karierę duchownego.

Oto jest październik i drzewa po deszczu zaczynają przybierać piękne kolory. Już wkrótce nadejdzie Święto Dziękczynienia, potem Boże Narodzenie i tak dalej.

Przypomniał sobie skarpety z prezentami, jakie dostawali razem z Maisie. Zaprzagnął dostać jeszcze jeden raz skarpetę z pomarańczą, słodkim cukierkiem i na przykład małym konikiem wystruganym z kawałka sosnowego drewna. O tak, to byłaby prawdziwa przyjemność.

W tym roku nie miał żadnego pomysłu, co dać Rose na Boże Narodzenie. Każdego roku, mniej więcej o tej porze, miał już wszystko przemyślane, zyskiwał więc ponad dwa miesiące na własnoręczne zrobienie prezentu.

Przez dłuższy czas budował jej karmniki dla ptaków, widząc, że ma dla nich dużo czułości. Na całym podwórku zdołał przybić szesnaście albo siedemnaście karmników przez te wszystkie lata, ale miasto wszystkie ściągnęło, gdy przekształcało dwa przednie pokoje w ich domu na swoje muzeum.

— Zgniłe! — stwierdzili chłopcy z urzędu.

Człowiek idzie do Dory Pugh na końcu ulicy, kupuje trochę drewna, gwoździe i tak dalej, niesie to wszystko do domu i buduje elegancki karmnik, maluje mu dach i mocuje mały kołeczek pod okrągłym otworem, żeby ptak miał gdzie sobie usiąść, i co się dzieje? Gnije! Nie ma sensu tego wszystkiego robić.

To dziwne, jak nieprzyjemna potrafiła być Rose nieomal we wszystkim, co robiła, a potem, jak przychodziło Boże Narodzenie, oczy robiły się jej szerokie, niczym u małej dziewczynki.

Często podchodziła do niego i chwyciła go czule za szyję.

— A to za co? — pytał ją wtedy.

— Za bycie Billem Watsonem! — odpowiadała, uśmiechając się rozkosznie.

Mówiła też oczywiście:

— Tylko nie rób mi już więcej karmników, Billu Watson, słyszysz?

W przeciwieństwie do niego, Rose była wykształcona. Gdy ustanawiała jakieś zasady, zawsze jej słuchał i starał się ich przestrzegać. Dlatego równie dobrze może zapomnieć o karmnikach i zacząć myśleć o czymś takim jak... no właśnie, jak co?

Zanim jego artretyzm tak bardzo się nasilił, jednego roku wyplótł z trzciny siedzenie kuchennego krzesła, innym razem zrobił mały pojemnik na chleb, z gałką w kształcie wieiórki, którą wystrugał z drewna.

Rozmyślał długo o tym, co zrobić w tym roku.

Ale nie, nic nie przychodziło mu do głowy. Potrząsnął głową, by sprawdzić, czy coś poczuje — może rozpadł mu się mózg.

Wymyśli coś, jakoś; coś zaplanuje. Bardzo uradowałoby się jego stare serce, gdyby Rose znowu uścisnęła go za szyję.

Za chwileczkę wstanie i zeskrobie trochę rdzy — narosła na tym sękatym drzewie, które zasadził, gdy się ożenił. Odgoni lekarza, tak zawsze powtarzała jego mama. A jeśli było coś, czego pragnął jeszcze bardziej na Boże Narodzenie niż skarpety z prezentami i uścisku Rose, to właśnie odgonić lekarza.

Hope myślała na początku, że to gorąca, jaśminowa herbata albo nawet list od Scotta. Potem zdała sobie jednak sprawę z prawdziwego źródła ciepłego, nieomal pozbawiającego ją tchu uczucia. Mimo że podobne do tego, którego doświadczyła, gdy odmówiła modlitwę przez telefon z George'em Gaynorem, nie było nawet w części tak silne czy obezwładniające. Mimo to lekko kręciło się jej w głowie...

Postawiła filiżankę na spodku i wyglądała przez okno, błędząc wzrokiem. Narastało w niej przekonanie, że to rozpalające uczucie było, w rzeczywistości, pomysłem... pomysłem, który powstawał nie tylko w jej głowie, ale i w sercu, i być może — j a k się wydawało — w głębi jej duszy.

#

Przemyślał to wszystko i tak — chciał rozpocząć porę adwentu od ustawienia pasterzy na własnym kredensie, od czegoś, co, jak mu się wydawało, mógł zrobić bez zdradzania się z całym pomysłem.

— Możemy zacząć od pasterzy? — zapytał Freda, który, mimo iż był młodszy od niego, stał się nagle przedstawicielem mądrej starszyny, prawdziwym mędrcom prowadzącym lud.

Fred ujął palcami podbródek, zamyślony.

— Ja nie brałbym ich na pierwszy ogień. — Wskazał na figurki ustawione rzędem pod tylną ścianą. — Jednemu z pocziwców brakuje części dłoni, drugi stracił kawałek palca u nogi, a sposób, w jaki zostali pomalowani, nadaje im złowrogi wygląd.

— Tak, oczywiście, masz rację.

Jak uformować z gipsu dłoń? Wydawało mu się, że będzie mógł wykorzystać drugą jako model — ale te wszystkie palce. I w jaki sposób uda mu się zmienić ten złowrogi wygląd? Nigdy wcześniej niczego nie malował.

Opanował go nagły smutek; poczuł, jakby zaczynało mu brakować powietrza w płucach. Dlaczego miał takie piekielne skłonności, żeby rzucać się w przepaść bez żadnego zabezpieczenia, które zamortyzowałyby upadek?

— Czy jest coś, co mógłbym zrobić dzisiaj w — powiedzmy — jakąś godzinę? Mam wizytę u dentysty w Wesley.

— Wydaje mi się, że przydałoby się im porządne szorowanie. Farba będzie się trzymać lepiej na czystej powierzchni. Co przypomina mi, że pan Gregory powiedział, iż zamówione przez ojca farby i cała reszta powinny przyjść jutro, łącznie z poradami tego angielskiego eksperta, jak to wszystko zrobić.

Porady, jak to wszystko zrobić! Poczuł wyraźnie, że z serca spada mu ogromny ciężar. Przeznaczy na to cały jutrzejszy dzień; to i tak dużo, zważywszy na drobne spotkania tu i tam.

Usłyszeli dzwonek przy drzwiach wejściowych.

— Mydło jest pod umywalką — rzucił Fred, pośpiesznie opuszczając pokój.

Ojciec Tim przykucnął i znalazł mydło, nieprzyjemnie pachnącą bryłę ciężaru cegły i koloru torfu. Od czego zacząć? Od początku, oczywiście.

Podszedł do figurek i podniósł osła, który znajdował się na początku rzędu. Szedł właśnie z powrotem do umywalki, gdy w drzwiach pojawiła się głowa.

— Ojczy?

Zamarł, złapany na gorącym uczynku. Zapomniał powiedzieć Fredowi, że to potajemne zadanie.

— Hope!

— Spotkałam właśnie pana Skinnera i powiedział, że poszedł ojciec do Oksfordzkich Antyków, więc zrobiłam sobie krótką przerwę, by doręczyć ojcu książkę. — Przycisnęła ją do serca, nadal w opakowaniu. — Mam nadzieję, że o to ojcu chodziło.

— Jestem pewien, że tak. Hm, słuchaj, Hope...

— Ależ interesująca szopka bożonarodzeniowa! Wielkie nieba, z ilu części się składa?

— Proszę, Hope, to tajemnica. To znaczy, nie chciałbym, żeby ktokolwiek się dowiedział... Zamierzam spróbować odnowić cały ten kram... To niespodzianka dla mojej żony... *niespodzianka*.

— Ależ oczywiście, nie powiem ani słowa, obiecuję. — Sekrety nie były dla Hope żadną nowością... — Czy zamierza ojciec odnowić wszystkie?

— Tak — odparł. — Z Bożą pomocą.

— Czy chciałby ojciec, żebym rozpakowała książkę? Już wiem, po co jest ojcu potrzebna!

— No cóż, tak, dziękuję, a ja będę kontynuował pracę. Odetchnął z ulgą; mógł zaufać Hope.

Gdy rozrywała opakowanie książki, on wstawił osła do umywalki, odkręcił ciepłą wodę, zmoczył szmatkę i natarł ją mydłem, a potem zaczął myć brudną figurkę.

— Proszę bardzo! — zawołała, wyglądając na zadowoloną. — Przytrzymam ją i będę przewracała strony, żeby mógł ojciec zobaczyć.

— Świetny pomysł! Im więcej rąk do pracy, tym lepiej! Mył dalej, a woda robiła się coraz czarniejsza.

— Interesowały ojca szaty aniołów, o ile sobie przypominam. Ten anioł jest śliczny, prawda? Jego szata wygląda, jakby została namalowana w kilku odcieniach błękitu, i proszę spojrzeć, pod spodem ma taki śliczny strój w różowym kolorze...

— Na dodatek ma białe skrzydła. Wydaje mi się, że białe skrzydła podobają mi się najbardziej.

Jego gromadka wydawała się posępnie przyziemna, ze swoim anielskim atrybutem w szafranowym kolorze.

Przewróciła stronę.

— Tutaj jest anioł ze złotymi skrzydłami. Zgadzam się, ojczu. Zdecydowanie białe! Trudno byłoby fruwać z całym tym złotem na skrzydłach.

Spojrzał z uśmiechem na swojego księgarza.

— Muszę przyznać, że sama wyglądasz anielsko. Pro-
miennie, byłoby właściwym słowem.

Opłukał osła; brudna woda spłynęła z bulgotem.

Zarumieniła się.

— Dziękuję, ojcze. Ja też mam pewien sekret.

— Aha.

— Ale nie mogę ojcu powiedzieć, co to takiego.

— Oczywiście, że nie możesz, bo wtedy przestałby być
sekretem.

— Chciałabym, żeby się ojciec za mnie modlił.

Skończył osuszać osła papierowym ręcznikiem.

— Załatwione.

— Bóg właśnie podsunął mi precudowny pomysł.

— Rzeczywiście, czasami tak robi.

— Ale to przerażające. To znaczy przerażające, jednak
z drugiej strony... takie ekscytujące, że nie mogę spać.
To wydaje się takim ogromnym przedsięwzięciem, nigdy
przedtem nie robiłam czegoś tak dużego. — Wzięła głęboki
oddech. — Zawsze robiłam... małe rzeczy.

— Rozumiem.

— Naprawdę?

— Ależ tak.

— Wydaje mi się to nieomal niemożliwe.

— Ach.

— Czy mógłby ojciec poprosić Boga, żeby obdarzył mnie
mądrością? Czy mógłby go ojciec poprosić, by... poprowa-
dził mnie i pokierował mną w tej sprawie?

— Muszę przyznać, że jak na kogoś, kto dopiero się na-
wrócił, masz bardzo klarowną wizję tego, o co należy prosić.
Tak, będę się modlił.

— Nie wiem, czy potrafię to zrobić — wyznała z niepo-
kojem. — Wiem tylko, że chcę to zrobić... bardzo.

Stał przy umywalce, trzymając osła.

— „O nic się już zbytnio nie troskajcie, ale w każdej sprawie wasze prośby przedstawiajcie Bogu w modlitwie i błaganiu z dziękczynieniem. A pokój Boży, który przewyższa wszelki umysł, będzie strzegł waszych serc i myśli w Chrystusie Jezusie”.

— Cudownie — odparła. — Dziękuję!

— To nie są moje słowa. List świętego Pawła do Filipian, cztery, werset sześć i siedem.

— Cztery, sześć i siedem — powtórzyła. — Zapamiętam.

Rozejrzała się po pokoju, a potem znowu popatrzyła na niego.

— Podoba mi się ojca sekret.

Uśmiechnął się.

— Wydaje mi się, że mnie spodoba się twój.

— Muszę wracać, ojczec. Zapraszam na naszą wyprzedaż! — Położyła jego książkę na krześle. — Dwadzieścia procent taniej na wybrane książki.

— *Stary człowiek i morze?* — Nigdy nie czytał tej powieści, powinien się tego wstydzić. — Czy można liczyć na ten tytuł?

— Niestety, nie mamy już ani jednego egzemplarza. College, rozumie ojciec. Ale mogłabym ją zamówić.

— Nie, nie. Niech no pomyślę... *The Original Christmas Gift?*

— Albert Lawrence junior?

— No właśnie!

— Mam jeden egzemplarz.

— Wspaniale! — zawołał z radością. — I pamiętaj: „O nic się nie martw, w każdej sprawie zanoś modlitwę”. — Przeczytał tę sentencję na jakimś przykościelnym pulpicie — niezłe kazanie zaledwie w kilku słowach i wspaniała egzegeza fragmentu z Listu do Filipian.

Gdy wyszła, poczuł, że zrobiło mu się lżej na sercu.

Podszedł do rzędu figurek, odstawił osła i wziął pasterza.

Szedł z garażu, pogwizdując.

Podwinięcie rękawów i wykąpanie całej gromadki pomogło mu w zyskaniu pewności, której mu brakowało. Gdy zajmował się figurkami, jedną po drugiej, stawały się bardziej znajome, mniej onieśmielające.

Otwierając drzwi, zacytował na głos Horacego: „Ten, kto zaczął, zrobił już połowę”.

Risotto! Poczuł ten zapach od razu.

Było to obecnie jego ulubione danie na pocieszenie, chociaż zdecydowanie lokowało się o stopień niżej niż kawałek gorącego, złotego chleba kukurydzianego z chrupiącą skórką i dużą ilością masła.

Mógł jadać risotto tylko od czasu do czasu i — niestety — w niedużych ilościach. Jak dowiadują się diabetycy, a wiedzę tę zdobywa się w bólach, ryż, makaron i ziemniaki natychmiast po znalezieniu się w krwiobiegu, zmieniają się w cukier. Barnaba szedł za nim korytarzem do kuchni, gdzie Cynthia była pochłonięta gotowaniem.

— Timothy!

Widok jego żony przy kuchence zawsze go poruszał — nie dość, że była popularną autorką książek dla dzieci i ilustratorką, świetnie gotowała, a jeszcze na dodatek była niezwykle piękna. I tylko pomyśleć, że wytworny Andrew Gregory starał się o nią, podczas gdy on — wiejski pastor i prowincjusz — ostatecznie ją zdobył...

— Wyjdź za mnie! — zawołał, stając za żoną i zanurzając twarz w jej włosach.

Zajrzała do garnka i — zadowolona — przykryła go na powrót pokrywką.

— Cudownie, że pan mnie o to prosi, ale zdecydowanie się pan spóźnił. Jestem szczęśliwą żoną emerytowanego pastora.

— Życie z tym starym pocziwcem musi być niezwykle nudne.

— Zdecydowanie nie jest nudne — szepnęła, odwracając się, żeby pocałować go w policzek.

— Jakie wobec tego jest?

— Spokojnie! Widzi pan, przez większość czasu go nie ma, gdzieś wychodzi, ale pracuje w swojej pracowni. Zawsze coś robi ten facet.

— A skoro mowa o robieniu czegoś, jak rozwija się projekt Drzewa Aniołów*?

— To pierwsze ekumeniczne Drzewo Aniołów w Mitford i pierwsze, którego zadaniem jest zbieranie wyłącznie jedzenia na bożonarodzeniową kolację. Każda rodzina dostanie dwie torby produktów spożywczych, włącznie z indykiem. Wszystko zostanie zgromadzone przy remizie i stamtąd będzie rozdzielane.

— Dobry plan.

— Setki rodzin w tej części okręgu będą miały zagwarantowany cudowny posiłek, ale Bóg jeden wie...

Przewróciła oczami.

— Bóg jeden wie co?

— Potrzeba nadludzkiego wysiłku, by nakłonić wszystkie nasze kościoły do wspólnego działania.

— No to mam szczęście!

— Poza tym, powinniśmy byli zacząć rok temu. Przez kilka tygodni będziemy mieć pełne ręce roboty.

— Jestem z ciebie dumny — wyznał, ściskając ją najczulej jak potrafił.

Risotto!

— Uch, czuć od ciebie zapach jakiegoś okropnego mydła. Co robiłeś?

* Drzewo Aniołów — Angel Tree — program charytatywny w Stanach Zjednoczonych, polegający na dostarczaniu żywności potrzebującym rodzinom w okresie Bożego Narodzenia.

— To i owo. Jak zwykle.

Spojrzała na niego, unosząc brwi.

— Jak zwykle?

Wyciągnie to z niego, jeśli nie będzie się miał na baczności. No dobrze, w takim razie uchylą rąbka tajemnicy, ale tylko odrobinę i tylko ten jeden raz.

— No wiesz, zbliża się Boże Narodzenie.

Roześmiała się.

— Co oczywiście wszystko tłumaczy!

#

Gdy zadzwonił telefon, zrobił co w jego mocy, żeby szybko się przy nim znaleźć — mógł przecież dzwonić do niego chłopiec, który czasami lubił się z nim skontaktować pomiędzy porannymi zajęciami.

Dobry Boże, jest ósma rano; to na pewno nie Dooley. I dlaczego, na litość boską, wyleguje się w łóżku o ósmej rano? I gdzie jest jego żona?

— Halo! — zawołał, stojąc niepewnie na nogach.

— Ojczy, mówi Andrew.

— Andrew, co się stało?

Głos burmistrza Mitford zdawał się dochodzić z głębokiej studni.

— Wiem, że chciał ojciec pracować dzisiaj w sklepie i ja oczywiście chciałem pomóc. Ale zachorowałem na coś, co mało delikatnie określa się...

— Mam nadzieję, że to nie mitfordzka zaraza?

— Niestety tak. Umówmy się więc na inny termin, dobrze? Zadzwonię do ojca, gdy będę się już dobrze czuł; Fred będzie miał pełne ręce roboty. — Andrew kichnął.

— Na zdrowie — rzucił ojciec Tim.

Podszedł prosto do swojego fotela z wysokim oparciem i opadł na niego bez sił. Dopiero teraz zauważył, że ma wra-

zenie, jakby jego głowę spowijała wata. Poczłł też bulgotanie w żołądku.

— Nie! Absolutnie nie.

Nie ma na to ochoty, żadnej! Potrząsnął słabo zwinięta w pięść dłońią.

Oparł się wygodnie, aby złapać oddech po gwałtownym przebudzeniu, potem podniósł się gwałtownie z fotela i pobiegł do łazienki.

Drzwi były zamknięte.

— Nie mogę wyjść, Timothy, czuję się strasznie!

Zbiegł pędem na dół i zbczył do toalety, no i w samą porę.

— Cześć, słodka! — zawołał Lew.

— O, hej, kochanie, cieszę się, że to ty, właśnie szłam z kolacją mamy na górę. Zadzwońię do ciebie, chciałabym, żeby ją zjadła, dopóki jest gorąca — to paluszki rybne Miz Paul's, jej ulubione, z odrobiną sosu jabłkowego, nie za słodkiego.

— Dobrze.

Nie powiedział nawet: „kocham cię”, którymi to słowami zazwyczaj żegnał się ze swoją żoną, zanim odłożył słuchawkę. Skończył rozmawiać i tyle. Był wykończony po dniu nalewania benzyny i skakania wokół całej chmary ludzi, a po powrocie do domu nie czekało na niego nic z wyjątkiem zepsutego telewizora, który miał tylko trzy programy. I nie chciał wcale uważać się nad sobą, ale jej mama jadła na kolację gorące paluszki rybne, a on odgrzewał sobie puszkę pieczonej fasoli Busha, na kuchence, która miała sprawne jedynie dwa palniki.

Jak długo jeszcze tak wytrzyma?

— Jestem żonaty, a żyję jak kawaler! — krzyknął w głąb ciemnego korytarza.

Nic się nie zmieniło od czasu, gdy zmarła Juanita. Jadalnia nadal była pełna wszystkiego, od sztucznej choinki po świętego Mikołaja, który opuszczał spodnie, gdy grała pozytywka, nie wspominając pustych pudełek ułożonych do samego sufitu i całych ton anielskich włosów. Jego kuchnia była zimna, termostat nastawiony na wysoką temperaturę, a jego żona mieszkała ze swoją mamą i każdego wieczoru, od śmierci Juanity siedem lat temu, wracał do domu z pustą kuchnią oraz pustym łóżkiem, i jaki cholerny pożytek miał z tego wszystkiego?

Westchnąwszy, rozejrzał się po pokoju, który zastygł w czasie wewnątrz domu, który zastygł razem z nim.

I wtedy poraziła go ta myśl, jak grom z jasnego nieba.

Wychodzi dzisiaj wieczorem.

O tak, moi mili, jedzie do Wesley, jak połowa mieszkańców Mitford w piątkowy wieczór!

Najpierw pojedzie do Wendy's na cheeseburgera Bacon Swiss...

Ze wszystkim! Duże frytki! Duża cola! Dodatki.

Potem wybierze się do Wal-Mart, żeby kupić telewizor i magnetowid.

Po zakupach zatrzyma się w centrum handlowym na dwie gałki lodów marki Rocky Road w rożku. A w drodze do domu wypożyczy kilka kaset wideo.

Czuł, jak podnosi mu się poziom adrenaliny.

W poniedziałek zadzwoni do firmy zakładającej telewizję kablową, być może to nic niewarte, ale zamówi wszystko, co mają w ofercie, Disney Chanel, telewizję sportową, stare filmy, co tylko sobie zamarzy.

Podszedł do wieszaka przy tylnych drzwiach, włożył futrzaną kurtkę, zasunął zamek i nasunął czapkę na głowę.

O tak, o to właśnie chodzi. Nie tyle brakuje mu żony, co brakuje mu *życia*.

Gdy Earlene zadzwoni po podaniu kolacji swojej mamie,

będzie się zastanawiała, gdzie jest. Zawsze był w domu, gdy dzwoniła Earlene. Wsunął ręce do kieszeni w poszukiwaniu rękawiczek.

— Wychodzę, Earlene! — krzyknął w kierunku kuchennego sufitu. — Wychodzę, wychodzę, wychodzę! Zostaw wiadomość!

Spośród licznych i różnorodnych owoców udanego małżeństwa absolutnym faworytem ojca Tima było posiadanie kogoś, z kim można było chorować — cierpienie przecież kochało towarzystwo.

Siedząc ze swoim kotem, Violet, na kolanach, jego żona wydmuchała nos i spojrzała na niego zaczerwienionymi oczami z opuchniętymi powiekami.

— Nigdy nie słyszałam o czymś, co byłoby jednocześnie bakteryjne i wirusowe. Wydawało mi się, że za jednym razem może się przydarzyć tylko jedno nieszczęście.

— Myślę, że zaraza zawdzięcza swoje miano właśnie temu podwójnemu charakterowi choroby.

— W każdym razie dowiedziałam się w końcu, jakie to uczucie być chorym na to cholerne paskudztwo.

— Mów — odparł, leżąc na sofie, wyciągnięty na plecach i zupełnie pozbawiony sił.

— To tak, jakby się właśnie zjadło przygotowany przez pannę Rose tygodniowy, nie przechowywany w lodówce pudding bananowy i jechało się na pogotowie w części transportowej półciężarówki, w której przeżyło długą, ciężką zimę siedem chartów rosyjskich, które to, biedactwa, mają świerzb...

Jęknął. Wierny opis.

— A na dodatek, ma się ten straszliwy ból głowy — pulsujący, co nie jest bez znaczenia — i wrażenie, że oczy są

małymi soczewkami wypełnionymi potłuczonym szkłem, coś zbliżonego do śmiercionośnych kawałków butelki po coli, po której przejechał ciągnik pędzący z ogromną prędkością po autostradzie 1-95...

— Na północ czy południe?

— Na południe.

Podniósł się z trudem z sofy, unosząc lekko głowę.

— Nigdy bym tego tak nie opisał — stwierdził.

#

Stał przy oknie w ich sypialni i spoglądał na dachy domów, ciągnące się do kościoła baptystów i czerwone klony prezentujące dumnie swe ogniste jesienne kolory, sięgające na wschód, aż do Little Mitford Creek.

Klony były jednym z najcenniejszych atrybutów miasteczka i powodem do dumy. Zgodnie z przewidywaniami i tym razem nie miały sprawić zawodu. Pokazywały, na co je stać, biły wszelkie i wszystkie poprzednie rekordy.

Wspaniałe!

Widział jedynie wierzchołki tych dumnych drzew, ale to wystarczało, by zdał sobie sprawę, jak wiele traci. Do licha! Najlepsza część jesieni go omijała i — na dodatek — jego projekt się ślimaczył...

— Jak wyglądają drzewa? — zachrypnięty głos Cynthii dobiegł go z okolic łóżka.

— Dzisiaj prawdopodobnie jest ich najlepszy dzień — odparł z żalem.

Jak mogą nie zobaczyć klonów? Nikomu się to nie zdało.

— Musimy tam pójść, Timothy, i zrobić zdjęcia, nie przepięłam ani jednego roku, odkąd przyjechałam do Mitford.

— Ale jesteśmy chorzy — zaoponował, podchodząc wolno do łóżka i ciężko opadając na nie.

— Czuję się jak butelka coli pod kotami twojego ciągnika pędzącego na północ...

— Na południe! Opatulimy się po same uszy i założymy ciemne okulary, żeby nikt nie zobaczył, jak przerażająco wyglądamy. Nałożę zielony, filcowy kapelusz, a ty możesz włożyć tę swoją czarną, włóczkową czapkę, która sprawia, że wyglądasz jak kleryk z *Barchester Towers*.

— Musimy? — jego głos zabrzmiał płacząco. Nie znoślił, gdy mu się to przytrafiało.

— Tak, najdroższy, musimy.

Wysupłała chusteczkę z kieszeni swojego szlafroka i wydmuchała nos.

— Nie pójść obejrzeć klony to tak jak nie pójść obejrzeć królową przejeżdżającą ze świtą. Wydaje mi się, że jeśli spędzimy jeszcze ze dwa dni w tak fatalnym stanie, to w tym czasie przyjdzie burza, zerwie liście i wszystko przepadnie.

— Daj mi dziesięć minut — odparł. — Nie będę nawet mył zębów.

#

Mimo że usiłowali trzymać się z daleka od tłumu, który aż huczał od trzasku aparatów, nie mogli nie usłyszeć tego, co mówili do siebie Madge Stokes i Fancy Skinner.

— Jak długo chorowałaś? — chciała wiedzieć Fancy, ubrana w elastyczne rybaczki i szczelnie opatulona różowym futerkiem z królika.

— Trzy dni — wyznała Madge, blada i skulona.

— Trzy dni? Ty jeszcze *zarażasz*, na litość boską, odsuń się ode mnie, no nie, mitfordzka zaraza, a ty sobie chodzisz jak gdyby nigdy nic i *oddychasz na ludzi*, zaledwie po trzech dniach!

— Każ się wypchać — szepnęła Cynthia w kołnierz swojego płaszcza.

Fancy odwróciła się od Madge Stokes, która zrobiła się jeszcze bledsza, i ruszyła w głąb tłumu.

— Tak właśnie zachowują się dzisiaj ludzie, są śmiertelnie chorzy, jednak nikt, ale to naprawdę *nikt* nie kładzie się już do łóżka i nie pije dużej ilości *płynów*, wszyscy wybierają się do centrum handlowego albo pędzą do sklepów spożywczych i *kaszlą na kapustę*.

Oddalili się chyłkiem w stronę domu, zużywszy całą rolkę filmu Fuji.



4



— Patrz! — zawołał Percy. — To moje zdjęcie, o tam.

Bar Main Street Grill ogłosił swój własny konkurs fotograficzny — ściana po prawej stronie drzwi była zaklejona podobiznami klonów w Mitford, uwiecznionych z różnym poziomem sztuki.

— Widzisz tę mgłę? Według mnie, nadaje to... nadaje to...

— Aurę tajemniczości i powab! — dokończył ojciec Tim.

— Właśnie to chciałem powiedzieć. Spójrz, to zrobili Mule i Fancy. Velma mówi, że jest trochę zbyt ciemne po lewej stronie, jakby ktoś stał we własnym cieniu.

— To czyj palec, w istocie. Czyje to zdjęcie? To na samej górze.

— Lew Boyda.

— Lew ma aparat? Nigdy nie sprawiał wrażenia kogoś, kto ma aparat.

— Każdy ma aparat.

— Wspaniałe kolory. I spójrz, w jaki sposób światło pada na trawę. Ile zgłoszeń do tej pory?

— Trzyście. Umieściłem w oknie ogłoszenie, zobaczymy, co uda się zebrać do końca tygodnia.

— Jaka jest nagroda?

— Darmowy lunch dla dwojga.

— Dobry interes.

— Tylko we wtorek i zwycięzca musi zgłosić się po odbiór nagrody do Wigilii, albo nic z tego.

— Kto ocenia?

- Ja i Velma.
- Nie zamierzasz nagrodzić zwycięzcy swoją wtorkową specjalnością dnia, mam szczerą nadzieję.
- Smażone żołądki to raczej nie była nagroda...
- Mogą zamówić, co będą chcieli — wyjaśnił Percy. — W pewnych granicach.
- Jakie są granice? — pytał tak na wszelki wypadek.
- Jedna przystawka, jeden napój i jeden deser dla każdej osoby. A przy okazji, żadnych cyfrowych wydruków ani kolorowego ksero, po prostu zwykłe zdjęcia pięć na dzieśnięć, na błyszczącym papierze i na odwrocie napisz drukowanymi literami swoje imię i nazwisko.
- Wydaje mi się, że wezmę udział w tym konkursie — zdecydował.
- Percy wygładził fartuch.
- Słyszałem, że ty, Mule i taki jeden byliście w kafeterii, plotkując jak zgraja kobiet.
- Nie przesłyszałeś się! — potwierdził, przesuwając się w stronę tylnego boksu.
- Nastąpiła krótka chwila ciszy, gdy Percy zastanawiał się, czy kontynuować wątek, czy dać sobie spokój.
- A więc co zamawiasz?
- To, co zwykle.
- Wolałbym raczej, żeby ktoś dał mi kopniaka, niż żebym miał gotować dzisiaj rano jajka z wody.
- Jak przyjdzie koniec grudnia, już nie będziesz musiał gotować ani jednego jajka z wody, do końca życia. Zrób więc dla mnie wyjątek, przyjacielu.
- Percy uśmiechnął się, co było rzadkim i zadziwiającym widokiem.
- Wynoszę się stąd już przed końcem grudnia. Zamykamy bar w wieczór wigilijny, jak tylko wyjdzie ostatni klient.
- W wieczór wigilijny?

Wszystko działo się zbyt szybko...

— Amen! — powiedział Percy, który nieczęsto uciekał się do kościelnego języka.

#

Po kolejnej rozmowie telefonicznej z Helen, Hope otworzyła swoje serce przed Scottem Murphym, podczas kolacji w Wesley. Trzymał ją za rękę i modlił się za nią, na miejscu, w restauracji.

Wdzięczna i drżąca, przyszła do domu i usiadła z notesem, próbując zebrać myśli, żeby napisać do Edith Mallory, gdy nagle słowa zaczęły płynąć wprost na papier, nieomal bez żadnego uprzedzenia i namysłu.

W rezultacie było to dokładnie to, co chciała powiedzieć. Przepisze naprędce skomponowany list na kartkę papieru listowego w kolorze kości słoniowej i wyśle go pocztą poleconą — coś, czego nigdy wcześniej nie robiła z żadnym innym dokumentem.

Jedyny problem, jaki napotkała, pisząc list, polegał na dylemacie, czy wspominać o strasznych obrażeniach pani Mallory, które sprawiły, że nie była w stanie normalnie mówić, a jedynie w sposób tak nieskładny, że nawet lekarze nie mogli jej zrozumieć.

Jeśli nie wspomni w liście o takiej tragedii, może to zostać odebrane jako całkowita obojętność albo jeszcze gorzej.

Może wobec tego posłuży się plotką — że pani Mallory jest już w stanie się komunikować, chociaż niesłychanie wolno, z Edem Coffeyem, mężczyzną, który przez wiele lat woził ją czarnym lincolnem. Inna plotka mówiła, że ściągnięto bandaż z głowy Edith Mallory.

Podjmując się tego przerażającego i ekscytującego zadania, zamierzała podchodzić do wszystkiego bardzo pozytywnie.

„Droga Pani Mallory” — napisała u góry kartki w kolorze kości słoniowej...

Z dużą radością dowiedziałam się o ostatniej poprawie stanu Pani zdrowia i mam nadzieję, że będą do nas docierać jedynie dobre wiadomości o dalszych postępach.

Mam również nadzieję, że przedstawiona niżej propozycja spotka się z Pani największą aprobatą.

Jak być może Pani wiadomo, mój wieloletni pracodawca, Helen Huffman, powiadomiła ostatnio Pani prawnika, że w związku z coraz bardziej czasochłonnym prowadzeniem interesów na Florydzie nie zamierza przedłużyć umowy najmu należącego do Pani starego budynku Porterów, znanego również jako Księgarnia Szczęśliwych Zakończeń.

Ja natomiast pragnę przedłużyć umowę najmu w moim własnym imieniu i przejąć całkowitą odpowiedzialność za Księgarnię Szczęśliwych Zakończeń, jako nowy właściciel i zarządca.

Zwracam się do Pani, jako partnerki w biznesie i mam nadzieję, że doceni Pani moje pragnienie, by być całkowicie szczerą.

Koszt miesięcznej dzierżawy to obecnie 950 dolarów plus media, ale ja będę w stanie płacić przez pierwsze sześć miesięcy jedynie 800 dolarów plus media.

Oczekuję, że pierwszego lipca i przez następne miesiące już bez żadnych problemów będę w pełni zdolna płacić miesięczną kwotę 950 dolarów plus media.

W tym czasie na własny koszt pomaluję ściany wewnątrz, które są w bardzo złym stanie, i zainstaluję nową toaletę oraz zamk do drzwi wejściowych. Wartość tych prac na chwilę obecną wynosi około 2500 dolarów, a zatem już na samym początku naszej współpracy odniósłaby Pani korzyść finansową równą 1500 dolarów.

Będę ciężko pracować, aby mogła Pani z dumą zaliczyć Księgarnię Szczęśliwych Zakończeń do najbardziej wiarygodnych na-

jemców. Odkąd pamiętam, kocham wiedzę i książki i nie potrafię wyrazić radości, jaką dałoby mi podjęcie się tak wdzięcznego zadania — zadania, które jak wierzę, niezmiernie wzbogaca naszą społeczność.

Jeśli postanowi Pani przychylić się do mojej prośby, z przyjemnością jak najszybciej dostarczę referencje dotyczące mojej osoby.

*Z poważaniem
Hope Winchester
Księgarnia Szczęśliwych Zakończeń*

Przepisanie listu piórem, bez pomyłek, okazało się sporym wysiłkiem. Może powinna napisać do prawników pani Mallory, nie bezpośrednio do niej? Nie miała pojęcia o prawnikach. I czy powinna nazywać je partnerkami w biznesie? „Tak”, nalegała Helen. „Zdecydowanie, tak!”

Poczuła ogromny ciężar na ramionach, jakby właśnie przeniosła łódkę wzdłuż Little Mitford Creek.

Wsunęła złożony, dwustronicowy list do koperty, następnie zakleiła ją pociągnięciem języka i po raz kolejny przeanalizowała szczegóły planu, który — jak miała nadzieję — pomoże jej zrealizować niemożliwe marzenie.

Fundusze będą skromne, bardzo skromne, przede wszystkim dlatego, że przez pierwszy rok Helen będzie pobierała pięćdziesiąt procent zysków, jako równowartość za inwentarz i przychody z segmentu, który określiły mianem rzadkich książek. Razem z czynszem i mediami będzie to ogromny wydatek. Co do dochodów, miała jedynie zadziwiający spadek po mamie, cztery tysiące siedemset dolarów, które zaoszczędziła od czasu ukończenia college'u, i — oczywiście — pięćset dolarów miesięcznie, które będzie miała, jeśli...

Wyjęła z pudełka kolejną kartkę papieru.

Droga Pani Havner!

*Dzięki Pani ogromnej uprzejmości przez te wszystkie lata by-
łam szczęśliwa w moim gniazdku, nad Pani kafeterią.*

*Zawsze najbardziej lubiłam czwartki, jako że zapach Pani sma-
kowitych bułek z cynamonem unosił się w górę do mojego miesz-
kanka i sprawiał, że wydawało się jeszcze bardziej domem!*

*Z głębokim żalem, jak również ogromną radością piszę, aby
poinformować Panią, że z początkiem nowego roku nie będę
przedłużać umowy najmu...*

Wzięła głęboki oddech.

Ten list nie może zostać wysłany, oczywiście, dopóki nie
otrzyma odpowiedzi od pani Mallory, co — była pewna —
nie potrwa dłużej niż kilka dni.

Zauważyła złożoną kartkę papieru, którą dał jej Scott,
leżącą przy pudełku z papeterią. Gdy odprowadził ją wczoraj
wieczorem pod drzwi, podarował jej tę kartkę jak wróż-
bę z ciasteczka.

— To ci pomoże — powiedział, uśmiechając się. —
Obiecuję.

Przypomniała sobie, jak koniuszki jego palców otarły się
o wewnętrzną stronę jej dłoni...

Rozłożyła kartkę i przeczytała ponownie słowa zapisane
niebieskim atramentem.

*List do Filipian 4, 13: „Wszystko mogę w Tym, który mnie
umacnia”.*

#

Białe pudełko z ciastem zostało doręczone w czasie, gdy
razem z Cynthią robili zakupy w sklepie.

— Co to jest? — zapytał Puny.

Miał nadzieję, że nie jest to jedno z ciast pomarańczowych Esther. Ta rozpacz, że nie może go zjeść w całości, nie mówiąc już o jednym, jedynym kawałeczku...

— Ciasto owocowe! — oznajmiła z wyraźnym obrzydzeniem. — Czy ludzie nigdy się nie nauczą, że ojciec nie jada takich rzeczy?

— No tak — odparł. — Ale Cynthia jada i ty, i Dooley. Wspaniały podarunek!

— Upiekł je pan Cunningham, to ojca prezent bożonarodzeniowy. Przyniósł ciasto wcześniej, żeby mógł ojciec nasaczyć je bourbonem lub czymś innym. Powiedział, że chętnie piecze, ale umywa ręce od nasączania...

Ich gospodyni, którą kochał tak, jakby była członkiem jego własnej rodziny, i która nie przychodziła do nich, dopóki całkiem nie wyzdrowieli, za około pięć miesięcy spodziewała się kolejnej pary bliźniaków.

— Wyglądasz wspaniale, Puny. Jak się mają moje nowe wnuki?

Uśmiechnęła się.

— Kopia!

— Rób to, czym się zajmujesz. Ja położę się na chwilę w pracowni.

— Piekę szarlotkę z jabłek Sadie Baxter i używam fałszywego cukru. Postaram się nie hałasować.

— Ależ hałasuj! Tłucz się tymi garnkami! Tak właśnie powinno być w domu.

Szarlotka! Poszedł do pracowni, nieomal podskakując z radości.

Cynthia już leżała w ich łóżku na brzuchu. Tuż po zdającej się trwać wiecznie zarazie pokonanie dwóch przecznic do sklepu i z powrotem równało się nieomal przepłynięciu kanału La Manche.

Jego dobry pies wdrapał się ciężko na sofę i położył głowę na stopach swojego pana.

— Barnaba — szepnął tuż przed zapadnięciem w drzemkę. — Żebyś ty wiedział, na co się zanosi. Owce! Pasterze! Wielbłąd! Anioły! Nie uwierzysz.

— Proszę pani, czy mogę dać Timothy'emu kilka tych kandyzowanych owoców?

— Dwie wiśnie! — zawołał, wyciągając obydwie ręce.

Dlaczego Peggy musiała pytać o wszystko jego mamę. Gdyby to zależało od Peggy, mógłby mieć nieomal wszystko, czego zapragnął.

— Proszę — pamiętał, żeby powiedzieć.

— Bardzo dobrze — zgodziła się jego mama. — Ale tylko dwie.

Chciał też rodzyнки i orzecha brazylijskiego, ale o nie poprosi później. Lubił wiele z rzeczy, które dodawało się do ciasta owocowego, jakie jego mama i Peggy piekły co roku, ale nie lubił ich w cieście, lubił je bez ciasta.

Kawa parzyła się na kuchence elektrycznej, pokrywka podskakiwała na garnku, czuł zapach cynamonu i wanilii...

Przy kuchennym stole jego mama notowała z namysłem na błękitnej kartce papieru.

— Będą Andersonowie, oczywiście — powiedziała do Peggy. — I Adamsowie.

— A co z sędzią?

— To się rozumie samo przez się. Zawsze go zapraszamy.

— I wielebny Simon.

— Tak, wydaje mi się, że ma dobry wpływ na Timothy'ego.

— A czy nie zapraszają państwo Nelsonów?

— O tak, i Nelsonowie. Zdecydowanie tak!

— Ci chłopcy Nelsonów będą zjeżdżać po poręczy i wspinać się po zastłonach — narzekała pod nosem Peggy.

Nie lubił chłopców Nelsonów; gdy przychodzili, to zawsze było dwóch na jednego.

— Czy może przyjść Tommy?

Jego ojciec nigdy nie pozwalał, żeby Tommy przychodził do nich do domu, ale skoro to Boże Narodzenie...

— Nie, kochanie. Przykro mi. Może innym razem.

Jego mama zmarszczyła czoło i spojrzała na deszcz zacinający w okno. Peggy zamieszała ciasto w misce, potrząsając głową.

— Co podamy, Peggy? Z pewnością będziemy chcieć twoich wspaniałych drożdżowych bułek!

— Tak, proszę pani, a pan Kavanagh będzie chciał ambrozji i zapiekanki z ostrygami.

Jego mama uśmiechnęła się, a jej twarz na chwilę się rozjaśniła.

— Jak zawsze!

— I pani słynny buche de Noel! — zawołała Peggy. — Zawsze wszyscy się nim zachwycają.

— Co to jest buus noel? — zapytał, siadając na podłodze ze swoją drewnianą ciężarówką.

— Bjuusz — poprawiła go Peggy. — To z francuskiego. Bjuusz.

— Busz.

— Nie, kochanie.

Peggy pochyliła się i zbliżyła do niego swoją twarz. Podała mu się cera Peggy, miała dokładnie kolor piernika.

— Spójrz na moje usta... bju...

— Bu...

— Ojej... jak mam to powiedzieć? Powiedz szszsz, jakby uciszając dziecko.

— Szszsz.

— Dobrze! Teraz, bu-szsz.

— Bu...szsz.

— A teraz połącz razem, proszę. Buszsz.

— Buszsz!

— Czy to nie przednie, proszę pani?

— Bardzo dobrze!

Peggy wyprostowała się i zaczęła się znowu krzątać.

— Posłuchaj teraz, moje słoneczko, naucz się wypowiadać całą nazwę — buche de Noel.

— Buche de Noel!

— Będzie mówił po francusku, proszę pani!

Był zaskoczony tym, jak bardzo się cieszyły; bez większego wysiłku dostał rodzynki i orzecha brazylijskiego za powiedzenie dwóch słów po francusku.

— Co to znaczy, mamó?

— Gałąź Bożego Narodzenia. Bożonarodzeniowa gałąź. Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem możesz nam pomóc ozdobić ją lukrem. To bardzo wyjątkowe zadanie.

— Lukrowanie gałęzi?

— Gałęzi upieczonej z ciasta. Mieliśmy ją rok temu, ale ty prawdopodobnie jej nie pamiętasz — byłeś wtedy bardzo mały.

Mama uśmiechnęła się do niego; ujrzał iskierki tańczące w jej oczach.

— Tak, proszę pani, a teraz jestem duży.

— Nie jesteś duży — zawołała Peggy. — Jesteś moim maleństwem!

Nie cierpiał, gdy Peggy tak mówiła.

„Pośpiech jest złym doradcą”.

Słyszała to przez całe życie. Ale w sprawie, w której się modliła i co do której wierzyła, że jest możliwa do zrealizowania, chciała zacząć działać.

Dlaczego nie spędzić dni oczekiwania, tak jakby wszystko miało się zdarzyć?

Jeśli się to nie zdarzy, przeżyje ogromne rozczarowanie jako słuszną karę. Oczywiście, jeśli się to nie zdarzy, to co zrobi? Nie chciała wyjeżdżać z Mitford, w ogóle.

Jeśli Edith Mallory nie zgodzi się na wydzierżawienie jej sklepu, przyjedzie ciężarówka z firmy zajmującej się przeprowadzkami i wszystko zostanie zapakowane do skrzyń, a potem zabrane na Florydę. Sklep zostanie zupełnie pusty, w oczekiwaniu na — j a k na razie — nieznanego najemcę. Przed oczami przesunął się jej obraz jej samej, stojącej na środku dużego i pustego pokoju...

Ale nie! Nie może tak myśleć. Jak wobec tego może zacząć działać tak, jakby się to miało zdarzyć?

— Dobry Boże... — szepnęła.

Bez względu na to, co się wydarzy, duży pokój na górze, od dawna używany jako magazyn, będzie musiał zostać opróżniony. Wzięła głęboki oddech i pozwoliła sobie na ponowne przeanalizowanie cudownych możliwości rysujących się przed nią.

W tym jasnym i słonecznym pokoju znajdzie się miejsce na jej wszystkie trzy biblioteczki.

Będzie mogła zawiesić koronkowe firanki jej mamy w oknach wychodzących na Main Street — bez mierzenia wielkości, że będą pasowały.

Spłowiąły dywan Aubusson, który od lat był najcenniejszym przedmiotem, jaki posiadała, będzie pięknie wyglądał na starej, sosnowej podłodze.

Mimo że pojawili się klienci, wbiegła po schodach na górę, by ponownie spojrzeć na pokój z jego trzema pięknymi, choć brudnymi, oknami.

W połowie schodów zatrzymała się.

Jak będzie ogrzewać poddasze tego skrzypiącego, starego budynku? Odczuwając nagłe zmęczenie, westchnęła i usiadła na stopniu.

Potem oświeciła ją stara prawda: ciepło zawsze idzie do góry.

— Na Jowisza! — ojciec Tim nieomal wykrzyknął z zachwytu.

— Co się stało? — zapytał Andrew, podnosząc wzrok znad książki o scenkach bożonarodzeniowych.

— Widzisz, samo czyszczenie papierem ściernym sprawia, że ten okropny kolor staje się nieomal przyjemny dla oka.

— Rzeczywiście! Zgadzam się. To dokładnie kolor zupy z dyni mojej kochanej żony, z odrobiną śmietany, całkiem smacznej. I podoba mi się, jak na rękawach pokazuje się złoty podkład.

— Czy myślisz, że moglibyśmy zrezygnować z malowania i poprzestać tylko na czyszczeniu?

Czemu miałyby nie pomarzyć?

— Nie będziemy mogli tego stwierdzić, dopóki nie skończymy wszystkich, ale wydaje mi się, że nie, to byłoby zbyt proste. Pozwól, że spróbuję na jednym.

Andrew odłożył książkę i przyglądał się uważnie aniołowi, gdy wszedł Fred.

— A może zająłbym się tą figurką? — zaproponował Fred, który sprawiał wrażenie, jakby miał na to ogromną ochotę.

— Oto arkusz papieru ściernego, przysuń krzesło — zaproponował Andrew. — Dzwonek oznajmi nam, jak będziemy mieli gości. Prawdopodobnie nikt się nie zjawi, dopiero o drugiej przyjedzie dekorator wnętrz z Charlestonu.

— Chyba chciałbym zacząć od owcy. Mój dziadziu hodował owce, pozwalał mi karmić butelką sieroty.

— Wspaniale — zachęcił go ojciec Tim. — Zabieraj się do roboty!

— Ta figura anioła ma prawdziwie piękne oblicze — zauważył Andrew. — Jak poradzimy sobie z brakującym skrzydłem?

— Nie wydaje mi się, żebym mógł sobie z tym poradzić.

Szczerze mówiąc, był przerażony perspektywą uformowania czegoś tak istotnego z gipsu, który w obecnej chwili wydawał mu się bardzo obcym materiałem — w rezultacie mogła powstać jakaś nieszczęsna bryła zamiast łukowatego i ślicznego skrzydła. Chodziło też o pióra, które byłyby zmuszone stworzyć z mokrego gipsu. Nie, naprawdę, to był jedynie wielki wyścig o szopkę świąteczną, a nie atelier Rodina.

— Poza tym, pomyśl, jaką alegorią ludzkiego istnienia jest to brakujące skrzydło!

— Nieco ezoteryczna myśl — odparł Andrew, trzymając się za podbródek. — Niemniej jednak jestem za!

W czasie gdy mężczyźni pracowali, z przyjemnością oddając się swojemu zajęciu, ojciec Tim poczuł zapach świeżej kawy grzejącej się na płycie, usłyszał pracowite tarcie papieru ściernego i *Symfonię Pastoralną* Beethovena, sącząca się z radia Andrew.

Poczuł, jak przepełnia go uczucie szczęśliwego zadowolenia, niczym bijące potajemnie źródło.

#

Gdy po południu zadzwonił Scott, Hope podzieliła się z nim wszystkimi swoimi przemyśleniami. zaproponował, że jeśli jej to nie przeszkadza, zajrzy do niej po zamknięciu księgarni i postara się jej pomóc. Czy miałaby ochotę na pizzę ze wszystkim czy tylko z serem?

Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek jadła pizzę z czymś innym niż tylko ser.

— Ze wszystkim! — poprosiła, czując, jak nagle przepełnia ją uczucie niewypowiedzianego szczęścia.

— A niech mnie...

Avis Packard zamknął sklep i szedł właśnie do swojego samochodu zaparkowanego na ulicy, gdy spojrzał na północ, w górę ulicy, nad którą zapadał zmierzch. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej widział światło w oknie nad księgarnią.

Zauważył je również ojciec Tim, który tuż po dziewiątej szedł z Barnabą na spacer pod pomnik i z powrotem.

Ośłonił się szczelnie wełnianym szalikiem przed chłodem październikowego wiatru i zastanawiał się przez chwilę, jak światło zdaje się rozweselać cichą i pustą ulicę.



5



Platynowa poświata księżycą spowijała przeraźliwie zimny i rzeński poranek pierwszej niedzieli adwentu.

Pojedyncze porywy wiatru z jękiem omiatały domy, targając okiennicami i rynnami. Lodowaty, zachodni wiatr porrywał dym z kominów tych, którzy już wstali, i ciskał go na wschód.

W żółtym domku na Wisteria Lane ojciec Tim wypuścił Barnabę do ogrodu, a potem przywołał go gwizdem. Następnie w swojej pracowni przeczytał poranne oficjum brewiarzowe, po czym zaniósł na górę dwa kubki kawy, a Cynthia otwarła pierwsze okienko w ich adwentowym kalendarzu.

Oparta o poduszki w łóżku, przeczytała na głos błaganie proroka Izajasza.

— „A obłoki niech zleją z deszczem Sprawiedliwego; niech się otworzy ziemia i zrodzi Zbawiciela”.

— Amen! — zawołał, wręczając jej kubek. Pochylił się i pocałował ją w czoło. — Błogosławionego adwentu, kochana.

Dotknęła dłonią jego policzka.

— Wzajemnie, najdroższy.

— Rozłożyłem twoją małą szopkę betlejemską.

— Och, tę starość!

— Miałaś czternaście lat, gdy szyłaś szaty tym klamerkom do bielizny!

Z ogromną radością zaliczał to do najcudowniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek udało mu się dowiedzieć o jego żonie.

— Też mi coś, kochanie!

— Chcę ci za coś podziękować. — Usiadł na brzegu łóżka po jej stronie i wypił niewielki łyk silnego, czarnego naparu. — Chcę ci podziękować za to, że nakłaniałaś mnie do przejścia na emeryturę.

— A tak z tym walczyłeś.

— Wiem. Myślę, że większość ludzi tak postępuje. Ale przez cały czas byłem przemęczony; nigdy nie wiedziałem, jak odpocząć, jak wyjechać na urlop albo jak zregenerować siły. Wydaje mi się, że Bóg w końcu uczy mnie, jak to robić.

— Hoppy powiedział, że jeśli nie przejdiesz na emeryturę, odbije się to fatalnie na twoim zdrowiu.

— Żałuję, że nie spędziłem ostatnich kilku lat, ciesząc się emeryturą, tylko walcząc z nią. Ale teraz wydaje mi się, że nareszcie potrafię. — Uśmiechnął się. — Zamierzam zrezygnować z książki esejów. Nie cierpię jej.

— Alleluja, kochanie! Zawsze wyglądałaś tak smutno, gdy siadałaś do pisania tych esejów.

— Wydawało mi się, że powinienem się zajmować czymś ważnym, że nie mam prawa odpoczywać. Oczywiście, pragnę pozostać gotowy na wszelkie zadania, które On zechciałby mi powierzyć.

— Spójrz tylko, jak doskonale wywiązałaś się z głoszania kazań w tyłu różnych kościołach i ile istnień ludzkich zostało odmienionych podczas tego cudownego roku w Whitecap, i jak udało ci się odnaleźć Sammy'ego...

— No cóż — odparł lekko zawstydzony.

Chociaż on nie posiadał umiejętności wyliczania takich rzeczy, jego żonie z pewnością przychodziło to bardzo łatwo.

— Muszę ci coś wyznać, jeśli chodzi o te eseje — zdałem sobie z tego sprawę w ostatnich dniach. Wydawało mi się, że muszę w jakiś sposób dorównać mojej odnoszącej sukcesy żonie.

- Ale nie musisz.
- Ale nie muszę.
- Kocham cię — wyznała.
- I ja cię kocham.

Milczeli przez chwilę, szczęśliwi, podczas gdy wiatr z językiem omiatał północny róg domu.

— Kiedyś dużo rozmawialiśmy o tym, co moglibyśmy robić, gdy przejdę na emeryturę — rzucił. — Zawsze chciałaś podróżować. Prawdę powiedziawszy, zaczynam czasami myśleć, że jest to coś, co i ja chciałbym robić.

— Twój odwieczny strach przed lataniem ustępuje?

— Wiele z moich obaw zdaje się ustępować.

— Pamiętasz, jak kiedyś bałam się, że mnie zostawisz? — zapytała. — Ta obawa zupełnie odeszła.

Uniósł swój kubek kawy w zwycięskim geście.

— Po naszym roku w Meadowgate, co powiedziałaabyś na wyjazd do Irlandii?

— Do Irlandii? Byłoby cudownie pojechać do Irlandii!

— Zobaczylibyśmy zamek rodziny Kavanaghów, spędzilibyśmy trochę czasu z kuzynami, uwiecznilibyśmy na papierze kilka płyt nagrobnych... takie tam.

Od razu poweselał.

Postawiła kawę na nocnym stoliku i otworzyła szeroko ramiona przed mężczyzną, którego zawsze uważała — nawet jeśli inni tak nie myśleli — za mądrego, romantycznego, dowcipnego i uczuciowego, hojnego i odważnego; mówiąc krótko, najwspanialszego człowieka na ziemi.

Na końcu niewybrukowanej drogi, w białym domu otoczonym połową hektara sosnowego lasu Lew Boyd usiadł na łóżku i ziewnął. Nie był pewien, czy chce iść do kościoła dzisiaj rano, czy nie.

Jeśli się nie myli, dzisiaj po południu odbywa się procesja adwentowa. Cała horda mieszkańców miasteczka wyruszy z kościoła episkopalnego, następnie przemaszeruje przed kościół prezbiterian i metodystów, biorąc udział w krótkim nabożeństwie w obydwu kościołach i śpiewając przez całą drogę pieśni oraz kolędy. Impreza kończyła się zawsze w kościele baptystów, gdzie podawano gorący jabłecznik, ciasteczka i całe mnóstwo innych pyszności, jakie tylko mogły się człowiekowi zamarzyć.

Jeśli pokaże się dzisiaj rano w kościele, starszyzna będzie go namawiać, żeby dołączył do procesji po południu i uświetnił chór swoim basem. Można by pomyśleć, że kościół w miasteczku, szczególnie baptystów, mógłby dysponować więcej niż jednym biedakiem, który potrafi śpiewać basem, ale nic z tych rzeczy — Lew miał szczęście być jedynym rodzynkiem w cieście. Raz po raz próbowali zastosować sztuczkę wstąpienia do chóru, żeby nakłonić go do bardziej regularnego uczęszczania do kościoła, ale nawet on nie był tak głupi, żeby dać się zwieść temu podstępowi.

Pośród ogromnego hałasu na zewnątrz usłyszał, jak jego kosz na śmieci uderza w boczną ścianę domu.

Nie można śpiewać basem podczas wichury i w lodowatej temperaturze! Poza tym, właśnie przepracował sześć ciężkich dni z rzędu; dlaczego miałby chcieć spacerować? Jak się nad tym zastanowić, teraz — gdy miał telewizję kablową — powinien po prostu zaszyć się w domu i dać sobie z tym spokój. Oczywiście, Earlene będzie go pytać, czy chodzi do kościoła...

Sprawdził godzinę na swoim timeksie. Mniej więcej o tej porze niesie na górę nieduże śniadanie i poprawia poduszki, żeby jej mama mogła usiąść w łóżku i jeść, podczas gdy Earlene będzie jej podawała każdy kąsek. Potem, za krótką chwilę, przyjdzie sąsiadka z domu obok, żeby Earlene mogła pójść do kościoła. Będzie wyglądała ślicznie jak marzenie.

Do kościoła zabierze dwukolorowe ciasto, które upiekła poprzedniego wieczoru, na przerwę kawową.

Właśnie taka była Earlene, troszczyła się o ludzi. Prawie czterdzieści pięć lat temu, gdy zdobył nagrodę w tym konkursie na pikle, Earlene podbiegła i pocałowała go, potem uciekła śmiertelnie zawstydzona tym, co zrobiła.

Nigdy nie zapomniał owej chwili, nawet wtedy, gdy był mężem Juanity.

— Dlaczego to zrobiłaś? — zapytał, gdy spotkali się z Earlene ponownie kilka lat temu. — Prawie w ogóle cię nie znałem.

— Nie wiedziałam, że to zrobię, aż do chwili, gdy było już po wszystkim! — odparła, rumieniąc się. — Myślę, że w tajemnicy bardzo cię lubiłam i byłam po prostu taka szczęśliwa, że wygrałeś!

Głęboko w sercu miał czasami żal do Earlene, że jej tu nie ma. Ale nie cierpiał siebie z tego powodu. Nie zasługiwała na to. Opieka nad chorą mamą była tym, do czego się zobowiązała; poza tym chciała pracować jeszcze przez kilka miesięcy w fabryce mąki, żeby nabyć uprawnienia emerytalne — na samym początku powiedziała mu, że tak będzie, a on się zgodził i poślubił ją.

Były też jej siostry, które stwierdziły, że jeśli wyjdzie na jaw, iż są po ślubie, zabije to jej mamę. Bóg mu świadkiem, nie chciał przyłożyć ręki do czegoś takiego, żadną miarą. Z wyjątkiem ojca Tima nie powiedział o całym tym cholerstwie dosłownie nikomu. Dobrze wiedział, że nowiny roznoszą się bardzo szybko — zanim by się obejrzał, sekret w okamgnieniu dotarłby do samego Knoxville.

W następnym weekend weźmie sobie wolne w sobotę i pojedzie ją odwiedzić. Jak zwykle zatrzyma się u swojej cioci Bess i wykona dla swojej starszej krewnej kilka domowych napraw, jak na przykład naprawienie górnego stopnia na ganku i zamontowanie nowej półki w spiżarni.

Wieczorem sąsiadka Earlene przyjdzie, by posiedzieć z jej mamą, a on zabierze swoją żonę na przyjemną kolację, może z daniem mięsno-rybnym. Poczł delikatny dreszcz szczęścia, wyobrażając sobie, jak pomaga jej wsiąść do swojej nowej ciężarówki i jak ją całuje.

Będą trzymali się za ręce i siedzieli po tej samej stronie boksu i bardzo się postara nie wspomnieć ani słowem o tym, jak ciężko żyje mu się w ten sposób. I na pewno nie powie, jak mu się to już kiedyś zdarzyło: „Wiesz, kochanie, jak myślisz, długo potrwa, zanim umrze twoja droga mama?”

O nie, już nigdy więcej tego nie zrobi. Powinni go za to powiesić za nogi.

Wciągnął nosem zimne powietrze w sypialni. Nowy ekspres do kawy z minutnikiem uruchomił się w kuchni.

Po wypiciu dwóch kubków czarnej smoły i pochłonięciu kilku tostów śniadaniowych, być może spędzi dzień wyciągnięty w łóżku, oglądając, jak Titans pokonują New York Giants.

Brzdęk. Kosz na śmieci uderzył w poręcz na ganku.

— Do boju, Titans! — wykrzyknął.

Około godziny dziesiątej wiatr się nasilił; podmuchy ostrego, zimnego powietrza targały liśćmi, które opadły w czasie silnego listopadowego deszczu, niczym stadkiem zaskoczonych przepiórek.

Na Main Street wiatr zerwał z ramion idącej do kościoła kobiety czerwoną chustkę i porwał ją do góry, to unosząc, to opuszczając niczym chiński latawiec, zanim wylądowała na zielonej markizie cukierni Sweet Stuff Bakery.

Państwo Kavanagh obserwowali cud latającej chustki, jadąc do Wesley na nabożeństwo o dziesiątej w St. Paul's.

— To z pewnością nie będzie procesja adwentowa — zauważyła Cynthia. — Raczej bieg adwentowy!

— Mogę odłączyć się od procesji odrobinę wcześniej dzisiaj po południu.

— Naprawdę?

— I mogę się spóźnić troszkę na kolację.

— Dlaczego?

Uśmiechnął się, patrząc na drogę.

— No wiesz, zbliża się Boże Narodzenie.

Spojrzała na niego, rozpromieniona.

— Oczywiście, najdroższy! To wszystko tłumaczy!

*Przyjdź, długo czekany Jezu,
By uwolnić ludzi swych;
Wybaw nas od łez i grzechu,
Spokój w Tobie nam daruj.
Siłą, pociechą Izraela,
Nadzieją ziemi jesteś;
Pragnieniem narodu każdego,
Radością tęskniących serc...*

Uczestnicy procesji gromko śpiewali, wychodząc z inspirującego nabożeństwa w kaplicy metodystów i skręcając na północ na Main Street. Znajdowali się zaledwie przy straży pożarnej, gdy Lew Boyd zauważył, jak ojciec Tim szybko przeciska się wzdłuż procesji, kierując się na południe.

— Idzie ojciec w złą stronę! — zawołał Lew, na wypadek gdyby ojciec nie wiedział, że będą wracać do kościoła baptystów na gorący jabłecznik i wszystkie inne smakołyki.

— Błogosławionego adwentu! — zawołał ojciec Tim.

W geście pozdrowienia uniósł do góry dłoń w rękawiczce i poszedł przed siebie, pchany wiatrem.

#

Z okna nad Księgarnią Szczęśliwych Zakończeń Hope Winchester przyglądała się wysiłkowi uczestników procesji podążających do kościoła baptystów i starających się ze wszystkich sił utrzymać melodię.

*Unieście głowy, potężne wrota;
Ujrzyjcie, Bóg chwały czeka;
Król królów się zbliża;
Zbawiciel świata przybywa!...
Otwórzcie serca w podzięcie;
Świątynię z nich uczynicie...*

Była szczęśliwa, że słyszy większość słów, a szczególnie podobały się: „Otwórzcie serca w podzięcie”.

W melodii, która do niej docierała, szczególnie poruszył ją jeden głęboki, donośny głos, który wyraźnie łączył wszystkie pozostałe. Spojrzała, by znaleźć jego źródło, ale nie była w stanie i właśnie odwracała się od okna, gdy ktoś spojrział w górę i pomachał do niej.

Odmachała w odpowiedzi, szczęśliwa, że ktoś ją zauważył, i stała, przyglądając się włóczkowemu czapkom oraz powiewającym połom płaszcza, które znikwały pod zieloną markizą.

Odwróciła się, by zejść na dół, ale zatrzymała się i spojrzała na duży pokój, teraz opróżniony z pozostałości po ponad dwudziestu latach. Był pusty, czysty i jaśniał blaskiem zimowego światła.

Minęło już sześć długich tygodni, odkąd wysłała list, ale nie miała żadnych wiadomości od pani Mallory. Możliwe, że

zamierzała ona wydzierżawić budynek komuś innemu i nie poinformowała jej o tym, a Helen też nic nie wiedziała. Jeśli wynajęta przez Helen firma zajmująca się przeprowadzkami ma przyjechać i wszystko zabrać, należy natychmiast rozpocząć pakowanie; jedynie zapasy, które gromadziła na sprzedaż bożonarodzeniową, mogą pozostać do ostatniej chwili.

Był też list do właścicielki jej mieszkania, która musi natychmiast się czegoś dowiedzieć...

Zauważyła, że załamuje ręce. Był to nawyk, z którym — jak do tej pory — walczyła bezskutecznie.

Ale nie! Nie podda się.

Nawet w przypadku trosk, które ją czasami przerastały, nie poddawała się i nie traciła wiary, że wszystko potoczy się dobrze.

„O nic się już zbytnio nie troskajcie — powiedział do niej ojciec Tim. — Ale w każdej sprawie wasze prośby przedstawiajcie Bogu w modlitwie i błaganiu z dziękczynieniem...”

— „...A pokój Boży, który przewyższa wszelki umysł, będzie strzegł waszych serc i myśli w Chrystusie Jezusie!”

Margaret Ann znalazła się przy jej stopach. Podniosła ją, przytuliła i pogłaskała po pomarańczowym futrze.

Będzie musiała wyjawić swój sekret pani Havner. Pójdzie i porozmawia z nią natychmiast...

...potem zadzwoni do Louise i powie, że być może wprowadzi się i zamieszka w domu ich matki, z ogrodem, w którym rosły dziko malwy i naparstnica...

...i zadzwoni do Scotta, zapyta, czy nie chciałby przyjść na spaghetti z pulpetami mięsnymi dzisiaj wieczorem — było to jedyne danie, które potrafiła przygotować na spotkanie towarzyskie...

Serce zabiło jej mocniej na myśl, że będzie gotować dla Scotta i nakrywać do stołu dla dwojga. Zważywszy na wszystko inne, co ją czekało, ta myśl nieomal przerażała,

ale Hope pamiętała, jak się poczuje w jego towarzystwie — będzie szczęśliwa i opuści ją strach.

Zatrzymała się na chwilę, opierając się o słup u podstawy krętych schodów; bicie jej serca potęgowało rytmiczne mruczenie przytulonej do niej Margaret Ann. Mimo że nie rozmawiała na ten temat z Helen, obydwie wiedziały, że Margaret Ann znajdzie nowy dom u Hope. „Bez względu na to, co się wydarzy — pomyślała — muszę niezmiennie wierzyć w pomyślny obrót spraw, ale muszę się również przygotować na wszystko, co może mnie czekać”.

Nagle poczuła, że kontroluje sytuację, i odetchnęła z ulgą, jakby ktoś zdjął z jej ramion ogromny ciężar.

#

— Sporządzam listę i sprawdzam ją dwa razy — oznajmił Fred.

Fred zaoferował mu tego dnia swoją pomoc, a oferta ta może nie być aktualna w żadną inną niedzielę miesiąca.

— Ma ojciec gotowych swoich pięć owiec, swojego osła i swojego pierwszego pasterza — zaznaczył Fred. — To załatwia siedem, pozostaje nam ponad dziesięć.

Skończyli czyszczenie papierem ściernym i gruntowanie, siedem gotowych figurek stało rzędem na półce nad zlewozmywakiem.

— Alleluja! — zawołał ojciec Tim, zawiązując na szyi zielony fartuch. — Czas płynie jak woda!

Nie założył sobie, że ustawi dzisiaj pasterzy i owce na kredensie. Teraz planował wystawienie całej szopki betlejemskiej w Wigilię.

Napar ze świeżo zmielonej kawy kapał do dzbanka; dwa kawałki tarty z dynią, zamrożone niczym cegły od kolacji na Święto Dziękczynienia w żółtym domku, nabierając pokojowej temperatury, leżały na ociekaczu zlewozmywaka.

— Zostały ojcu dwie owce i baran. Chce ojciec, żebym nadal zajmował się owcami?

— Tak, zostań przy owcach! — zdecydował ojciec Tim.
— I niech cię Bóg za to błogosławi!

Podwinął rękawy i usiadł przy swoim roboczym stole naprzeciw Freda.

— Od kilku lat wydaje mi się, że w bożonarodzeniową porę Bóg zsyła mi bożonarodzeniowego anioła. Kogoś, kto zawsze zjawia się we właściwym momencie, żeby mi pomóc albo żeby pomóc mi pokonać przeszkodę. Wierzę, że jesteś moim bożonarodzeniowym aniołem w tym roku, i bardzo ci za to dziękuję.

Fred opuścił nieśmiało głowę.

— I ja dziękuję ojcu za to, że pozwolił mi ojciec nad tym pracować. Moja żona jest zadowolona, że może się pozbyć mnie z domu. Musi skończyć dwie kapy.

— Czy mógłbyś mówić mi po imieniu?

— Nie, proszę ojca, nie mogę.

— Dlaczego nie?

— Nigdy nie zwracam się do kaznodziei po imieniu.

— Czy to znaczy, że muszę zwracać się do ciebie „panie Addison”?

Fred roześmiał się.

— Nie, proszę ojca, tak zeszłej wiosny zwrócił się do mnie urząd podatkowy, od tamtej pory mam niechęć do tej formy.

— Co ja bym zrobił, gdybym miał tepować całe to stadko? — Ojciec Tim uniósł do góry ręce. — Siedziałbym tutaj do pory jagnienia się.

— Lubię tepowanie, ale nie chciałbym się bawić skrzydłami ani szatami — a szczególnie nie chciałbym mieć do czynienia ze skórą; o nie, proszę ojca, to ojciec jest fachowcem od skóry. Proszę spojrzeć na tego pasterza na półce! Jest jak żywy!

I, na niebiosa, był. Ojciec Tim nie mógł uwierzyć, że na początku pasterz wyglądał, jakby chorował na paskudny przypadek żółtaczki, a teraz był zaledwie mocno opalony, czego z pewnością należało się spodziewać u kogoś wykonującego taką pracę.

Uszkodzona ręka to jednak zupełnie inna historia. On sam, Fred i Andrew, wszyscy próbowali swoich sił i ten kolektywny rodzaj wysiłku był z pewnością widoczny. Nie było już jednak odwrotu. Ręka została wykonana. Żaden z nich nie był Michałem Aniołem.

Ojciec Tim zdjął drugiego pasterza z półki i przyglądał mu się uważnie, obracając go w dłoniach.

— Myślę, że zacznę od szat — jakieś sugestie?

Fred podrapał się w głowę.

— Można by pomyśleć, że pasterze byliby raczej trochę obdarci. Wydaje mi się, że sypiali pod krzakami czy skałami, czy jakoś tak.

— Prawdę powiedziawszy, pasterze wokół Betlejem mieszkali w jaskiniach. Jaskinie były bezpiecznym schronieniem dla ich stad w nocy.

— Może coś koloru jutowego worka?

— To może być trudne. — Wziął głęboki oddech. — Ale zobaczę, co mi się uda zrobić.

Wycisnął na spodek po odrobinie farby z trzech tubek i plastikowym nożem pomieszał kolory. Miał ochotę zanurzyć w tej masie palce, ale zdradliwe znaki olejowego lase-runku były trudne do usunięcia i jeszcze trudniejsze do ukrycia przed dociekliwą żoną.

Pokazał zawartość spodka Fredowi.

— Co myślisz?

— Zdecydował się ojciec na worek jutowy?

— Tak, zdecydowałem się na worek jutowy.

— Przydałoby się trochę więcej brązu.

— Załatwione!

Pracowali przez chwilę w milczeniu, nieświadomi koncertu Mozarta płynącego z radia.

— Te ogony są znacznie dłuższe niż te, które zostawiliśmy owcom u mojego dziadzia. Przycinaliśmy je dość krótko, gdy przyjeżdżałem.

— Ile owiec mieliście?

— Czterysta!

— A niech mnie! — zawołał z uznaniem, cytując Dooleya.

— Hodowaliśmy głównie rasę dorset i kilka blue face. Można powiedzieć, że sam bywałem od czasu do czasu pasterzem.

Ojciec Tim przypomniał sobie, że pewnego Bożego Narodzenia, gdy sam miał siedem czy osiem lat, postanowił zrobić to, co zrobili pasterze z Betlejem.

Wielebny Simon, pasjonat i znawca Pisma Świętego oraz ukochany kaznodzieja kościoła baptystówjego mamy, wyjaśniał fragment z Ewangelii według św. Łukasza klasie ośmio-, dziewięcio- i dziesięciolatków w szkole niedzielnej. Wszyscy spijali słowa z ust wielebnego Simona. Był postawnym mężczyzną z potarganymi włosami i w okularach, które w przerażający sposób powiększały mu oczy. Ktoś mówił, że zniszczył sobie wzrok, czytając Pismo Święte, i że wiedział więcej niż ktokolwiek inny o wszystkim, co się w nim znajduje. Nauczał w ich klasie, tak jak nauczał na kazaniu w kościele, używając żywej gestykulacji, wystudiovanych przerw i wybuchów pieśni śpiewanych barytonem, od którego drżały szyby w oknach.

— Kim byli pasterze? — grzmiał.

Wzrok jego powiększonych, brązowych oczu błędził po małej klasie, jakby domagając się odpowiedzi, ale nikt nie podnosił dłoni.

— Byli zaledwie chłopcami z okolicy, zza wzgórze! Chłopcami takimi jak ty, Tom, i ty, Chester, i ty, Timothy!

Gdy otrzymali słowo od niebiańskiego zastępu i już ochłonęli z przerażenia, co zrobili? Nie ociągali się, nie odkładali tego do rana, nie czekali, aż usmażą sobie bekon, śpieszyli się. „I udali się też z pośpiechem” — święty Łukasz opowiada nam, że pędzili co sił w nogach, w stronę tej jasnej i błyszczącej gwiazdy, by zobaczyć cud Zbawiciela, by przeżyć Jego chwałę, by zobaczyć Jego tajemnicę. Słuchajcie, dzieci, jak wam się wydaje, jak się tam dostali?

Mimo że wielebny Simon wcale nie zamierzał uzyskać odpowiedzi, Mary Jane Mason podniosła do góry rękę, drżąc z obawy, i wymieniła jedyny znany jej środek transportu.

— Dodge'em sedanem?

— Moje drogie dziecko, oni nie mieli dodge'a sedana ani nawet buicka, nie mieli mułów ani wołów, ani osłów, ani wozów, ani furmanek. W istocie, nie mieli żadnego środka transportu z wyjątkiem własnych *nóg!*

Wielebny Simon uniósł do góry wyjątkowo dużą stopę, odzianą w czarny jak smoła but, żeby im to zademonstrować.

— Zaprawdę, tych kilka mil do gospody pokonali niemal na pewno na *bosaka...*

W tym momencie wielebny Simon zadrżał, udał, że owija swoją słuszną sylwetkę peleryną i spojrzał na nich sponad okularów...

— ...i w trzaskającym mrozie...

Zapadła długa chwila ciszy, gdy im się przyglądał.

— ...w trzaskającym mrozie ciemnej i zimowej nocy!

Pragnąc przeniknąć rzeźbione i nieruchome figurki szopki bożonarodzeniowej i doświadczyć w jakiś sposób samego cudu, poprosił Tommy'ego, żeby obszedł z nim stodołę wieczorem, w przeddzień Bożego Narodzenia. Był przekonany, że coś tak obarczonego ryzykiem i tak niebezpiecznego można z powodzeniem porównać do nieco dłuższej wędrówki pasterzy do gospody.

— Nie zamierzam chodzić wokół stodoły nocą — odmówił Tommy. — A już na pewno nie na bosaka.

— Ale pasterze musieli to zrobić, musieli przejść całą drogę z miejsca, gdzie wypasali owce do Betlejem, i to w ciemnościach choć oko wykol.

— Nie zrobię tego — stwierdził Tommy.

Zebrał się wtedy na odwagę i po przyodzianiu się w stare prześcieradło, które przewiązał w pasie skakanką, usiadł na ostatnim stopniu ganku i czekał, aż zapadnie noc. Przyjrzał się stopom figurek pasterzy z szopki betlejemskiej i ku ogromnej uldze zauważył, że mają na stopach buty.

W drodze do swojego domu, małego domku na końcu ulicy, Peggy przystanęła na ganku i pogłaskała go po głowie.

— Twoja mama mówi, żebyś wrócił zaraz, jak tylko to zrobisz.

Pokiwał głową.

Stojąc u stóp schodów, odwróciła się i spojrzała na niego.

— I nie pozwól, żeby jakieś duchy zabrały moje małeństwo.

Słyszał, że w Wigilię zwierzęta rozmawiają, co samo w sobie wydawało się przerażające. Zastanawiał się, czy usłyszy, jak rozmawiają ze sobą ich dwie krowy w stodole. Na samą myśl poczuł coś dziwnego w żołądku; nie mógł sobie wyobrazić rozmawiających krów ani tego, co mogłyby powiedzieć. A jeśli zaczną rozmawiać właśnie wtedy, gdy się tam pojawi, sam i po ciemku?

W ustach zaschło mu ze strachu, mimo to ponad wszystko chciał być w jakiś sposób z tymi, którym dane było być pierwszymi.

— Co robisz?

Jego ojciec pojawił się u stóp schodów, wyraźnie niezadowolony, że widzi swojego syna w prześcieradle nałożonym na ubranie i co gorsza, wydającego się nie robić nic pożytecznego.

— Zamierzam obejść stodołę, zanim zrobi się całkiem ciemno — wypowiedział te słowa głosem donośniejszym niż zazwyczaj. — Proszę ojca.

Ojciec spojrział na niego tak jak zazwyczaj — j a k b y go nie widział.

— Jak pasterze — dodał, pragnąc wyjaśnić, a jednocześnie zostać zauważonym.

— Pasterze?

— Poszli wielbić Dzieciątko Jezus. Wiem, że nie szli dookoła stodoły, ale...

Na ciężkim, ołowianym niebie pojawiły się już pojedyncze gwiazdy i srebrny księżyc. Ptak zaśpiewał gdzieś w pobliżu zagrody dla królików.

— Timothy... — głos ojca wydał się nagle inny; w oczach zajaśniała czułość, której syn nigdy wcześniej nie widział.

Ojciec patrzył na niego jeszcze przez chwilę, potem wszedł po schodach do domu.

A on siedział tam, obezwładniony mieszaniną radości i osłupienia. Przez jedną krótką i oszołamiającą chwilę zdał sobie sprawę, że był, mimo wszystko, dostrzegany — a może nawet kochany. Serce biło mu mocniej i z trudem łapał oddech.

Gdy zmierzch przeradzał się w noc, pomodlił się jeszcze raz i zszedł po schodach na zamarzniętą trawę, która skrzyphiała mu pod stopami jak suche liście.

Pojawiło się więcej gwiazd; podniósł wzrok ponad szczyt dachu stodoły i wybrał jasną gwiazdę, żeby była jego przewodniczką.

Doszedł do stodoły i dotknął jej srebrzystych ścian z niepomalowanego drewna, a wtedy usłyszał za sobą kroki. Obrócił się i w ciemności zmierzchu ujrzał postać ojca.

— Timothy...

Ojciec szedł wtedy razem z nim i żaden z nich nie powiedział ani słowa. Gdy on, Timothy, potknął się o porzucone

wiadro, instynktownie wyciągnął rękę, a ojciec ją chwycił i już nie puścił, podczas tej zimnej i aksamitnej nocy szli dookoła stodoły, a potem w stronę domu, w którym każde okno jaśniało światłem.

#

— To ciasto odtajało — rzucił Fred, wkładając palec do nadzienia.

— Przepraszam — co mówiłeś?

Timothy... Pamięć tego jedynego i zadziwiającego momentu porozumienia z ojcem czasami umykała na całe lata, a potem wracała nagle w najmniej oczekiwanym momencie...

— Ciasto odtajało. Ma ojciec ochotę na kawę?

— Oczywiście — odparł Tim głosem szorstkim ze wzruszenia.

#

Wracał do domu opustoszałym chodnikiem, który był oświetlony chórem aniołów. Zrobione z setek maluteńkich światełek, anioły jaśniały na każdym słupie latarni po obydwu stronach ich skromnej Main Street, nadając jej wygląd dużego i dystyngowanego bulwaru.

Przeznaczenie funduszy z miejskiego budżetu na zastępy aniołów, było w jego opinii najjaśniejszą godziną pełnienia urzędu przez poprzedniego burmistrza, Esther Cunningham.

#

— Jesteś ostatnio bardzo nieuchwytny — zauważył Mule.

— Zajęty — wyjaśnił ojciec Tim, opadając na siedzenie w tylnym boksie.

- Też mi coś. Wszyscy są zajęci o tej porze roku. Musiałem jadać śniadanie i lunch solo.
- Co robi J. C? Czy zamierza zagłodzić się na śmierć?
- Jedliśmy wczoraj lunch w kafeterii i śniadanie przedwczoraj.
- Właśnie powiedziałaś, że jadałaś solo.
- Mule uśmiechnął się.
- Powiedziałem tak, żeby zrobiło ci się mnie żal.
- Nie udało się.
- Ojciec Tim otworzył menu. Miał ochotę dzisiaj na coś innego. Znudził mu się już tuńczyk na suchym toście.
- Wiesz, co ci powiem? — stwierdził Mule. — Pozwolę ci zamówić dla mnie! Co ty na to? Wiesz, co lubię — zamów dla mnie, co tylko zechcesz!
- Niejestem w stanie nic dla ciebie zamówić, przyjacielu, ty sam nie wiesz, czego chcesz.
- Mule wzruszył ramionami.
- Nie mam pojęcia, co bym chciał.
- W tym problem.
- Co do niego samego, może spróbuje sałatki taco. Albo sera pimiento na chlebie pełnoziarnistym...
- Domyślam się, że słyszałaś, co będzie w tym budynku, jak wyprowadzi się Percy.
- Nie. Trochę wypadłem z obiegu.
- Sklep obuwniczy!
- Wspaniała nowina!
- To samo powiedziałem. Człowiek nie powinien być zmuszony jechać samochodem do innego miasta, żeby kupić buty.
- Ty wcale nie jeździsz do innego miasta, żeby kupić buty — zaprzeczył ojciec Tim. — Wszystkie twoje buty pochodzą z wyprzedaży rzeczy używanych w Mitford.
- Ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka. A więc co mam zjeść?

Mule pochylił się do przodu pełen nadziei, podczas gdy Velma zjawiała się przy ich boksie niczym kruk zlatujący z sosny.

— Chętnie mu powiem, co będzie jadł!

Gwałtownym ruchem opuściła okulary na nos, służbowo; nie miała całego dnia, żeby wydusić zamówienie z Mule'a Skinnera.

— Talerz zupy warzywnej z bułką kukurydzianą na ciepło! Specjalność dnia!

Mule spojrział ponuro na Velmę.

— Z czego jest ta zupa warzywna?

— Z warzyw — wycedziła przez zęby.

— Chwileczkę. Poczekajcie.

Ojciec Tim wiedział, do czego zmierza ta rozmowa.

— Przynieś mu cheeseburgera z bekonem, wszystko z wyjątkiem cebuli, z frytkami i dietetyczną colą. I...

Czy powinien to robić?

— I...

Velma uniosła do góry ołówkę.

— I ja biorę to samo! — wyrzucił z siebie.

Oniemiała Velma poprawiła okulary i oddaliła się dumnym krokiem.

— Czy wiedziałeś — zaczął ojciec Tim — że przeciętny Amerykanin zjada ponad siedem kilogramów frytek rocznie? Ponieważ przez ostatnie dziesięć lat zamawiałem frytki może jakieś trzy razy, wydaje mi się, że z grubsza licząc, należy mi się około siedemdziesięciu dwóch kilogramów.

— Jest tylko jeden problem — zauważył Mule.

— Jaki?

— Percy do smażenia frytek używa tego samego tłuszczu, co do smażenia ryb. Nie przepadam za rybami.

— Wiesz, zastanawiałem się, jak J.C. dostaje się na górę do swojej drukarni, skoro powiedział, że jego stopa więcej tu nie postanie?

- Wchodzi przez okno na półpiętrze.
- Wyrzuca go drzwiami, to wejdzie oknem.
- Podnosi dolną połowę, wślizguje się do środka jak złodziej i wchodzi na górę po schodach. Przy okazji...
Wydawało mu się, że Mule ma do wyznania coś bolesnego.
- Tak?
- Fancy nie chce, żebym jadł bekon.
- Zapomniałem zapytać Percy'ego, kto wygrał konkurs fotograficzny. Słyszałeś?
- Lew Boyd.
- Wspaniale. To było bardzo dobre zdjęcie.
- A na dodatek... — kontynuował Mule.
- Na dodatek, co?
- Na dodatek Fancy chce, żebym ograniczył ser. Powoduje zaparcia.
- A więc! Gdybyś mógł poprosić o coś, co tylko sobie zamarzysz, co chciałbyś dostać na Boże Narodzenie?
- Co tylko sobie zamarzę? Cena nie gra roli?
- Tak.
- Zegarek rolodexa!
- Aha! — odparł ojciec Tim, w chwili gdy podano ich zamówione dania, z większą niż zazwyczaj werwą.

#

Był zadowolony, że Cynthia wybrała się na popołudniową herbatę do Olivii Harper; nie było jej w domu, gdy zadzwonił Dooley.

- Hej — przywitał się Dooley.
- Hej! — odwzajemnił powitanie. — Co słysząc, przyjacielu? Kiedy zamierzasz przyjechać do domu?
- Dwudziestego grudnia.
- Nie możemy się już doczekać. Będę miał ci coś do pokazania, ale nie możesz nic powiedzieć Cynthiai.

- Nie powiem, obiecuję.
- Pracuję nad starą szopką bożonarodzeniową — dwadzieścia różnych figurek! Anioły, pasterze, mędrcy, owce — mamy dziesięć owiec razem licząc, całe stado!
- W twoim głosie słychać entuzjazm.
- Tak. Szopka jest wspaniała. Poczekaj, aż ją zobaczysz. Teraz maluję pasterzy. Potem zajmę się aniołami.
- Wydaje mi się, że to trudne zadanie.
- Jest trudne.
- Zdał sobie sprawę, że się uśmiecha.
- Ale jest też... — Zastanowił się przez chwilę. — j e s t też dużą *przyjemnością*.
- No to zostaw też i dla mnie coś do pomalowania — poprosił Dooley.
- Żartujesz?
- Nie, mówię całkiem poważnie.
- Załatwione! Czy miałeś jakieś wiadomości od Sammy'ego?
- Napisał do mnie list. Przywiozę go, żebyście z Cynthia mogli go przeczytać. Pobyt z nami na Święto Dziękczynienia miał dla niego ogromne znaczenie.
- Za tydzień jedziemy z Buckiem odwiedzić go.
- Buck Leeper był ojczymem Dooleya i gorliwym partnerem w poszukiwaniu rodzeństwa Dooleya.
- Zabierzemy Poo i Jessie. Mam nadzieję, że Sammy przyjedzie na Boże Narodzenie.
- Byłoby wspaniale.
- Usłyszał melancholię w głosie Dooleya.
- Zastanawiam się, czy mógłbyś zabrać dla niego wszystkie moje ubrania, które są w garderobie? Z wyjątkiem zielonej bluzy dresowej i ostatniej pary dżinsów, którą kupiła mi Cynthia.
- Jest trochę wyższy od ciebie, ale spróbujemy.
- Hm, nie zabierajcie włoskiego garnituru, który Cyn-

thia kazała mi włożyć w Nowym Jorku, ani paska, który wisi na drzwiach.

— W porządku.

Nastąpiła krótka chwila ciszy.

— Tato?

— Tak?

— Jak myślisz... To znaczy, naprawdę... czy znajdziemy kiedyś Kenny'ego?

— Tak! — odparł bez wahania. — Tak!

— Nie zwątpiłeś?

— Absolutnie! Nie wiem, co robić dokładnie w tej chwili, ale Bóg nas nie zawiodł. Czterech z pięciu, synu! Nie przestawajmy dziękować mu za Jego opatrność... i modlić się, i wierzyć, że doprowadzi nas do Kenny'ego. Umowa stoi?

— Tak jest — odrzekł Dooley. — Umowa stoi.

#

— Zastanawiałem się — zaczął, ujmując jej dłoń.

Leżeli w łóżku i patrzyli na sufit, na jasną plamę światła, które rzucała uliczna latarnia.

— Powiedz — poprosiła.

— Przez te wszystkie lata pamiętałem tylko przykre rzeczy o moim ojcu. Jego obojętność wobec mojej matki, jego zimny stosunek do mnie, jego gniew, jego depresję, te niezliczone razy, gdy nas ranił.

— Tak — szepnęła.

— Gdy człowiek spędza całe swoje życie, raniąc siebie i innych, trudno pamiętać o nim dobre rzeczy.

— Tak. Wiem.

— Chcę pamiętać tę chwilę, gdy spojrzał na mnie...

Głos nieomal mu się załamał i ojciec Tim leżał przez chwilę, milcząc.

— To było tylko spojrzenie, nic więcej, ale mówiło wszystko, co kiedykolwiek chciałem wiedzieć.

Zapadła długa chwila ciszy.

— A potem obeszlśmy dookoła stodołę.

Nie potrafił powstrzymać powodzi łez, ani też nie zamierzał tego zrobić.

— Opowiedz mi o tym, najdroższy.

Opowiedział.

Całym swoim sercem i całą duszą będzie się starał, żeby ta ciemna, a jednak w jakiś sposób jaśniejąca chwila, zajęła pierwsze miejsce w jego wspomnieniach o ojcu. Po tych wszystkich latach, to wystarczy.

Nareszcie wystarczy.



6



Ojciec Tim otworzył piętnaste okienko w kalendarzu adwentowym i przeczytał na głos krótką egzegezę wersetów z drugiego rozdziału Ewangelii według św. Łukasza.

— „Udał się także Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, ponieważ pochodził z domu i rodu Dawida, żeby się dać zapisać z poślubioną sobie Maryją, która była brzemienna”.

Cynthia przewracała kartki w swoim Piśmie Świętym, żeby znaleźć mapę regionu, który rozciągał się na południe od Jeziora Galilejskiego.

— Wydaje się, Timothy, że Galileę na północy od Judei na południu dzieli szmat drogi.

— Może sto pięćdziesiąt do stu sześćdziesięciu kilometrów. Na osie to będzie jakiś tydzień podróży. Mogło trwać dłużej, oczywiście, ze względu na ciężę.

— Zastanawiam się, co jedli.

— Bez względu na to, co to było, kupowali prawdopodobnie żywność od karawan wielbłądów. Z pewnością nie byli w stanie wieźć ze sobą znaczących zapasów.

— Czy większości tego terenu nie stanowią pustynie?

— Tak.

— Jaka mogła być wtedy pogoda?

— Było zimno. Bardzo zimno — odparł. — Niektórzy mówią, że zbyt zimno, by pasterze z okolic Betlejem pozostawali na pastwiskach. Zapędzali swoje stada pod dach już w październiku albo listopadzie.

— A więc narodziny mogły się zdarzyć wcześniej, zanim opuścili pola?

— Jest to bardzo prawdopodobne. Tradycja narodzin późnym grudniem liczy sobie jednak już osiemnaście stuleci i nie zamierzam w to ingerować.

— Gdyby jednak podróżowali w grudniu, nocne temperatury byłyby bliskie zeru.

Jego żona rozmyślała, potrząsając głową.

— Tylko pomyśl! Tyle cierpienia z powodu *podatkowi*

— Niektóre rzeczy — odparł — nigdy się nie zmieniają.

Harold Newland, listonosz, zdecydowanym ruchem otworzył drzwi i wszedł do Księgarni Szczęśliwych Zakończeń, niosąc pakiet listów związanych recepturką.

— Będzie mi dużo lżej! — obwieścił, kładąc go na ladzie obok Margaret Ann.

— A może filiżankę gorącego jabłecznika?

Hope wydawało się, że Harold wygląda na zmęczonego, delikatnie mówiąc. Być może to wszystkie te katalogi, a na dodatek jego żona, Emma, która była w Atlancie ze swoją ciężarną córką i miała wrócić dopiero po Bożym Narodzeniu...

— Nie mam czasu na rozrywki! — zawołał, poprawiając pasek. — Miłego dnia!

— Dzięki, dzięki, po stokroć dzięki! — wykrzyknęła Hope, cytując Szekspira.

Pocztówka była na samej górze. Zobaczyła ją od razu.

Margaret Ann przyglądała się wychodzącemu Haroldowi, podczas gdy Hope wysunęła kartkę spod recepturki i odwróciła ją. Była od George'a Gaynora, znanego w Mitford jako „mężczyzna z poddasza”. Po ośmiu latach w więzieniu i dzięki krótkiemu zleceniu pracy w Księgarni Szczęśliwych Zakończeń wrócił do systemu więziennictwa jako kapelan.

Napisana zamaszystym charakterem pisma, treść pocztówki była następująca:

Droga Hope,

Żyj na miarę swojego imienia, które jest nadzieją.

Twój brat w Chrystusie

George

Zamrugała, żeby powstrzymać łzy. Starła się żyć na miarę swojego imienia, ale z każdym dniem stawało się to coraz trudniejsze.

Był już piętnasty grudnia, a ona nadal nie miała żadnych wiadomości od pani Mallory. Helen w jej imieniu zadzwoniła do prawników pani Mallory, ale twierdzili, że nie wiedzą nic o planach ich klientki wobec tej konkretnej nieruchomości, jednej z wielu w Mitford, na Florydzie i w Hiszpanii.

Podeszła do okna wychodzącego na Main Street. Mimo że przyszłość wydawała się tak ciemna jak nisko zawieszony chmury nad miastem, będzie się bardzo starała pamiętać o wszystkim, co pozytywne i jasne.

Sprzedaż świąteczna była wspianała, nie mogła narzekać, i Helen miała razem z nią nadzieję, że Księgarnia Szczęśliwych Zakończeń będzie mogła pozostać w Mitford.

Ojciec Tim znał teraz jej sekret, co przyniosło jej ogromną ulgę. Modlił się razem z nią i zgodził się ułożyć list referencyjny do Edith Mallory, żeby był gotowy, gdy będzie potrzebny. Wzruszyło ją, że powiedział: „gdy”, nie „Jeśli”.

Mimo że wiele okoliczności było pozytywnych, była nieco zmęczona. Sprzedaż rzadkich książek przez Internet, w połączeniu ze „sprzedażą z półki”, jak powiedziałyby Helen, przyniosła oczekiwane żniwo. Pod koniec każdego dnia czuła się wyczerpana i często źle spała. Helen wyraźnie podkreślała, że sprawy nie będą szły lepiej, jeśli sklep będzie należał do niej.

— Wręcz przeciwnie — ostrzegła ją Helen.

A kiedy będzie ją stać na pomoc?

W istocie, nigdy nie chciała być „menedżerem”, aż do dnia, gdy Bóg natchnął ją tym zadziwiającym pomysłem, żeby rzeczywiście została właścicielką sklepu.

Zauważyła, że załamuje żałośnie ręce, i natychmiast opuściła je. Jak szybko popadała z euforii w rozpacz. Musi myśleć o tych wszystkich cudownych aspektach, o pomyślnym rozwoju wydarzeń, jak nauczyła się z Listu do Filipian wczoraj wieczorem.

„...wszystko, co jest prawdziwe, co godne, co sprawiedliwe, co czyste, co miłe, co zasługuje na uznanie: jeśli jest jakaś cnota i czynem chwalebny — to miejcie na myśli!”

Co najspanialsze, najcudowniejsze, zobaczy dzisiaj wieczorem Scotta. Przyjedzie prosto z pracy, a w pustym pokoju nad księgarnią, postawią choinkę i udekorują ją sznurami kolorowych światełek.

Potem przejdą na drugą stronę ulicy i spojrzą do góry, na środkowe okno, gdzie będzie stała, błyszcząca i świecąca, żeby widziało ją całe miasteczko.

Wujaszek Billy Watson przesuwiał się ciężko z jednego końca kuchni na drugi, przytrzymując się kuchenki, następnie lady, potem stołu.

Przemieszczał się nerwowo po kuchni, a przecież był człowiekiem, który z ledwością mógł zrobić krok! I gdzie była jego laska? Jak mógł zgubić swoją laskę, skoro nie wychodził z domu?

Zostało mu dwa tygodnie, żeby wymyślić prezent dla Rose, i nie przyszedł mu do głowy żaden łaskawy pomysł. Ani jeden!

Przez te wszystkie lata, tyle się nasłuchiwał o tym, co brat Rose, Willard, dał jej w prezencie.

Zanim Willard zmarł na wojnie we Francji, dał jej lalkę, dał sukienki z koronkami i marszczeniami, dał jej płaszcz z kołnierzem z królika, dał jej mały wózek i kozę, która go ciągnęła i tak dalej, ciągnęła się litania, a poza tym, Willard dał jej ten dom, w którym mieszkali, i każdy mebel na wyposażeniu.

Gdyby miał nie dać Rose prezentu na to Boże Narodzenie, zdarzyłoby się to po raz pierwszy od ponad pięćdziesięciu lat. O nie, zanim na to pozwoli, pójdzie raczej na drugi koniec ulicy i kupi coś dla niej ze sklepowej półki.

Pamiętał rok, gdy kupił Rose prezent w sklepie; kaznodzieja Kavanagh poszedł z nim i pomógł mu kupić płaszcz zimowy za pół ceny i parę czerwonych butów na obcasie. Rose była zachwycona butami, ale nigdy ich nie nałożyła. Stały nadal na półce nad kominkiem w ich sypialni jako dekoracja.

Nie mógł sobie przypomnieć, czy miał jeszcze jakieś dwudziestki ukryte w stertach gazet w jadalni. Może jedną albo dwie, nie był pewien...

— Billu Watson! Dlaczego robisz dziury w naszym linoleum?

Jego żona stała w drzwiach do kuchni, w swoim szlafroku z szenili, z głową całą w wałkach. Nie widział jej w nich od wieków. Wyglądała jak jeżozwierz.

— Próbuję wpaść na jakiś pomysł! — wykrzyknął głośno i wyraźnie, żeby na pewno usłyszała.

— Mówisz, że masz dość swojej żony?

— O tak, ale nie to powiedziałem!

— Mów głośniej, Billu Watson! Co powiedziałeś?

— Powiedziałem, że próbuję wpaść na pomysł, co ci kupić na Boże Narodzenie!

— Na Boże Narodzenie? Czy powiedziałeś, co kupić mi na Boże Narodzenie?

Jej twarz pojaśniała niczym ozdobiona świeteczkami choinka — uśmiechała się jak mała dziewczynka, a to był cud, którego nie widział już od wieków.

— To dokładnie moje słowa!

— Ależ, Billu Watson!

Podeszła i pocałowała go w policzek, tak mocno, że niemal przewrócił się do tyłu.

— To najlepsza wiadomość na całym świecie!

#

Nabierał pewności siebie, nabierał prędkości, frunął!

„Mogę to zrobić!” — myślał, zadziwiony. „Mogę to zrobić!” Nie był Rembrandtem, ale potrafił zmienić chorobliwą, ziemistą karnację w coś przekonującego i chociaż ucho osła nie stanowiło szczególnego powodu do dumy, nie było pozabawione pewnego... stylu.

Początek był powolny i czasochłonny, dodatkowo utrudniało go wiele innych rzeczy, poczynając od pięciu dni grypy, aż do całkowitej niewiedzy, co zrobić i jak to zrobić. Teraz, na Jowisza, znalazł się na fali!

Nie tylko było to zajęcie, które go uskrzydlało, pojawiło się w samą porę. Przy mniej niż pięciu dniach, które pozostały do przyjazdu Dooleya i mniej niż dziesięciu dniach, które dzieliły ich od Bożego Narodzenia, on i jego pomocnicy mieli jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia.

Zauważył, że zabiera swoją pracę do łóżka, w przenośnym sensie, i ma problemy z zaśnięciem. Potem, po godzinach wpatrywania się w sufit i planowania następnego kroku, nie mógł się już doczekać, kiedy znajdzie się następnego dnia rano w Oksfordzkich Antykach.

Część radosnej ekscytacji być może brała się z tego, że była to praca jego rąk. Poza uprawianiem ogrodu i gotowaniem było to zupełnie nowe doświadczenie dla kogoś, kto zawsze pracował przede wszystkim głową. Bez względu na powód już od lat nie czuł się tak pełen energii.

Prawdę powiedziawszy, mimo że całym sercem kochał

celebrowanie liturgii, nieomal zawsze obawiał się, czy kazanie, które przygotowuje, będzie odpowiednie i pożyteczne — wydawało mu się, że inwestuje niewspółmierną ilość czasu na bujanie w obłokach, chodzenie tam i z powrotem, upraszanie Boga i ciężką pracę, żeby jego słowa objaśniły Pismo Święte. Potem, w dni, kiedy Duch Święty zdawał się pozostawiać go samemu sobie, przychodziło wygłaszanie powiedzianych słów duszom pełnym nadziei, które potrzebowały i zasługiwały na więcej stawy duchowej, niż był im w stanie dać.

Zastanawiał się, czy nie powinien czuć się w tych dniach trochę winny za to, że — ujmując to prosto — tak dobrze się bawi.

Jego żona leżała na łóżku i udawała, że czyta, ale w rzeczywistości przyglądała mu się badawczo, gdy siedział w fotelu z wysokim oparciem i udawał, że robi to samo.

Udawał, ponieważ nie był w stanie skupić myśli na książce; myślał o aniele z brakującym skrzydłem. Wziął kolor jego wierzchniego okrycia z obrazu Adolphe'a-William'a Bouguereau; mieszał i mieszał farby, aż udało mu się uzyskać coś, co zdobyło akceptację w tylnym pokoju.

— Właśnie o to chodziło! — wykrzyknął Andrew.

— Strzał w dziesiątkę! — ocenił szef od tepowania.

Mimo że biały był zdecydowanie pierwszym wyborem, jeśli chodziło o skrzydła, doszedł do wniosku, że sama biel jest zbyt jaskrawa, za mało subtelna. Przesadził jednak, za usilnie starał się być subtelny. Chciałby zrobić to jeszcze raz i ponownie pokryć skrzydło farbą...

Praca nad tą konkretną figurą sprawiała mu szczególną przyjemność, podobało mu się, jak brakujące skrzydło nadaje figurze, którą trzyma w dłoniach, szczególną rów-

nowagę. Podobał mu się też niezmiernie cudownie spokojny wyraz jej twarzy — uważał, że jest dziełem szczególnej klasy.

Jedyny problem polegał na tym, że nie miał czasu, by się cofać i bawić drobiazgami, musiał iść do przodu...

— Kochanie?

— Mów, Kavanagh!

— Chyba pęknę.

Podniósł wzrok.

— A to z jakiego powodu?

— Z ciekawości, żeby się dowiedzieć, co knujesz. — Przechyliła głowę na bok i spojrzała na niego, uśmiechając się. — Wiesz, że kocham niespodzianki, ale naprawdę, Timothy, nie wydaje mi się, żebym mogła wytrzymać do Bożego Narodzenia.

— Daj sobie spokój, dziewczyno, nic nie uda ci się ze mnie wyciągnąć.

— Cała ta farba na spodniach, które wcisnąłeś za bojler w suterenie...

— Zaglądałaś za bojler w suterenie?

— Tak, ojczu, przyznaję się.

— Aha.

Zaczął ponownie czytać książkę. Do licha!

— I na twoich dłoniach, oczywiście.

— Co widziałaś na moich dłoniach?

Czyż nie szorował ich starannie, żeby usunąć wszelkie ślady?

— Czuję zapach, najdroższy. Farba olejna dostaje się do porów. Malujesz coś!

Cóż mógł powiedzieć?

— Ciekawość to pierwszy stopień do piekła!

#

Gdy o dziewiątej wieczorem szedł z Barnabą pod pomnik, zobaczył choinkę jaśniejącą w oknie nad księgarnią. Kolorowe światło spływało na markizę i odbijało się na zmoczonym deszczem chodniku.

W obliczu utraty wszystkiego, co się posiada, zaświecenie choinki jest prawdziwym aktem wiary. „Pogratulować!” — pomyślał, naciągając głębiej czapkę i stawiając kołnierz.

Przyśpieszył kroku, szczęśliwy, że znajduje się na cichej i oświetlonej przez latarnie ulicy, gdzie każda wystawa sklepowa jaśniała i kusiła obietnicą.

#

— „W tej samej okolicy...” — zaczęła jego mama.

— „Przebywali pasterze!”

— Bardzo dobrze, kochanie. A gdzie przebywali?

— „W polu!”

— I co robili?

— „Czymali straż nocną nad swoją trzodą!”

— Tak! — zawołała jego mama, zadowolona.

Lubił sprawiać zadowolenie mamie, ponieważ kochał ją ponad wszystko, nawet bardziej niż Peggy. Lubił też mówić „czymali”, a nie „trzymali”.

Jego mama spędziła całe godziny, ucząc go historii narodzin Chrystusa, a obrazy, którymi przepełniła jego umysł, były żywe i ekscytujące, jak film, w którym główne role grały zwierzęta — wielkie wielbłądy mozolnie przemierzające piaski pustyni, osioł, na którym prawdopodobnie jechała Najświętsza Maria Panna, z Józefem idącym obok niej, owce, krowy i konie w stajni, w której pachniało sianem...

A potem, jakby tego wszystkiego było mało, przychodziły też niebiańskie zastępy.

Gdy jako dziecko słyszał czytany na głos fragment Ewangelii według św. Łukasza, słyszał również, przy dwóch róż-

nych okazjach, jak był deklamowany przez kilka głosów jednocześnie. Mimo że Pismo Święte nie mówiło nic o tym, aby fragment ten miał być śpiewany, był przekonany, że tak jest — szczerze mówiąc, muzyka powstawała w jego sercu i głowie, a dźwięk wspaniałego chóru był tak piękny, że przechodził wszelkie wyobrażenia.

Oczywiście, nie powiedziała by nikomu, że słyszał — j a k b y na swoim własnym niebie, tuż nad swoim własnym domem — „Chwała Bogu Najwyższemu, pokój na ziemi, wszelkie dobro rodzajowi ludzkiemu...”

Już wtedy musiał pogodzić się z prostym faktem: są rzeczy, których nigdy nie będzie mógł dzielić z nikim innym, z nielicznymi wyjątkami, na przykład z mamą, która — bardziej niż ktokolwiek inny — wierzyła, że mówi ze szczerego serca.

W istocie, nie ma wątpliwości, że często był samotnym i obdarzonym bujną wyobraźnią dzieckiem, ale był z tego zadowolony; bo ze wszystkich sił wierzył w wiele rzeczy, które zasługiwały na to, żeby w nie wierzyć.

Oto siedział z nosem w książce, o szóstej wieczorem, w pokoju oświetlonym gołą żarówką, na tyłach Oksfordzkich Antyków. Nigdy nie chciał, aby to wszystko pochłonęło każdą wolną chwilę jego życia...

Wszystkie wierzchnie i spodnie okrycia sprawiały, że czuł się pozostawiony sam sobie. Teraz, gdy w końcu to ujrzał, zdawało się, że składają się z tysiąca fałd, które potrzebują światła i cienia. Przez cały czas malował ich ubrania bez światła i cienia, wiedząc, że coś jest nie tak. Ale co?

Do licha. A gdyby spakował wszystko i schował na strych, do następnego razu? Ale znał odpowiedź — już nigdy nie będzie następnego razu.

Być może był potrzebny jedynie rodzaj smugi biegnącej

wzdłuż fałdu — coś ciemniejszego niż strój, a jednocześnie coś prostego.

Z otwartą książką leżącą obok na roboczym stole, pomieszał odrobinę farby, bez zastanowienia nałożył ją na kciuk i roztarł wzdłuż lewej strony fałdu szaty anioła, następnie przesunął ponownie po linii palcem wskazującym i delikatnie usunął resztkę koloru.

Aaa...

Tak!

Dziękuję Ci, Panie...

Załatwione.

W jej sercu zasiedlił się ból i zdawał się tam tkwić jak cierń.

Na wypadek gdyby poprzedni list nie doszedł, przepisała go z pamięci i wysłała ponownie, tym razem podkreślając, że jest to niezbędne, aby pani Mallory odpowiedziała na niego szybko.

Pani Havner powiedziała, że nie musi się śpieszyć z opuszczaniem mieszkania.

— Byłaś bardzo dobrą lokatorką — stwierdziła. — I w twoim przypadku nie będę zwracała uwagi na dwutygodniowy okres wypowiedzenia. Daj mi po prostu znać, jak będziesz wiedziała.

Pani Havner dała jej małą foremkę piernika i uścisnęła ją. Miała ochotę wtulić się w szerokie i pulchne ramię właścicielki mieszkania i rozpłakać się jak dziecko.

Z wyjątkiem tego, co będzie jej potrzebne, zanim się przeprowadzi, wszystko w mieszkaniu było spakowane. Bez względu na to, czy przeprowadzi się na tę samą ulicę tylko o kilka domów dalej, czy zamieszka z Louise, i tak musiała się spakować.

Prawdę mówiąc, zaczynała wierzyć, że to będzie stary

dom jej mamy, że tego właśnie musi chcieć dla niej Bóg. Było oczywiste, że gdyby pani Mallory zamierzała pozwolić jej zatrzymać budynek, na pewno zawiadomiłaby ją o tym do tej pory.

W przeciągu tych krótkich miesięcy, odkąd odmówiła modlitwę z George'em Gaynozem, nie nauczyła się jeszcze, jak trwać w pokoju bożym. Czasami, gdy modliła się, przychodził nagle jak ptak wlatujący przez okno; siadał na jej ramieniu, a ją przepełniało uczucie ulgi i cudownej nadziei. Potem wdzierła się niepewność, a zaskoczony ptak odfrucwał...

Ale bez względu na to, co się stanie, sprzedaż bożonarodzeniowa przerosła wszelkie oczekiwania. Nigdy wcześniej nie dostała takiego dużego zamówienia jak w tym roku od Olivii Harper i wiedziała, że może liczyć na coś okazałego od ojca Tima i Cynthii...

Zadzwoił dzwonek przy drzwiach, gdy do środka wpadły cztery nauczycielki z Mitford, śmiejąc się, z czerwonymi policzkami od ostrego, dojmująco zimnego powietrza. Otworzyła sklep półtora godziny wcześniej, żeby mogły zrobić zakupy, zanim rozpoczną ostatni dzień nauki.

— Czy miałyby panie ochotę na filiżankę jabłecznika?

— O tak! — zawołała panna Griggs z pierwszej klasy. — Najbardziej w świecie!

Emily Townsend z trzeciej klasy ściągnęła z szyi gruby szal w cukierkowe paski.

— Twoja choinka jest naprawdę wyjątkowa, mam... ciarki, gdy jedziemy z Charliem nocą. Emanuje... takim ciepłem, wydaje mi się... Nie wiem, jak to wyrazić — to Sharon kocha angielski! Ach, a tutaj mam kilka kruchych ciasteczek, które upiekłam. Mam nadzieję, że lubisz pekany, sami je łupaliśmy — czy uwierzysz, jak bardzo trudno wyjąć je z łupiny?

— Ojej! — zawołała Hope, podziwiając duże ciasteczka.

Panna Wilson, również z trzeciej klasy, ściągnęła czerwone nauszniki.

— Wszyscy jesteśmy zachwyceni twoją choinką w oknie na piętrze, jest taka radosna.

— Dziękuję!

Hope zdała sobie sprawę, że i ona sama czuje się dużo bardziej radosna.

— Czy to prawda, że zamierzasz urządzić czytanie książek przez całe lato?

Nagle poczuła ogromny ciężar na sercu. Co mogła powiedzieć?

— To — zdołała z siebie wydobyć — moje najgorętsze pragnienie.

„Panie Boże, błagam” — pomyślała.

Przybył do Oksfordzkich Antyków na kilka minut przed Andrew i Fredem, a ponieważ miał swój klucz, więc wszedł do spowitego mrokiem pokoju, który pachniał pszczelim woskiem i starym drewnem.

Zawsze kochał zapach tego sklepu, ale jeszcze bardziej polubił jego mocne i różnorodne wonie. Nawet zapach materiałów na bazie olejów, których używali do figur, stał się mile widziany i przyjemny, pobudzając jego zmysły, na podobieństwo farby drukarskiej, w przypadku kogoś pracującego w drukarni.

Włączył światło i spojrzał na długą półkę na zlewozmywakiem. Obok wielbłąda, którego odłożył, by mogła się nim zająć fachowa ręka Dooleya, ustawił rzędem skończone figury.

Dziewięć owiec, baran, dwa anioły, osioł!

Trzech mędrców, dwóch pasterzy...

Zbliżali się do Świętej Rodziny.

Ściągał właśnie płaszcz i szalik, gdy usłyszał, że Fred otwiera drzwi frontowe i wchodzi do środka, najwyraźniej z jakąś drugą osobą.

— Widziałem ojca, jak wchodził tu jakieś pięć minut temu. Muszę się z nim widzieć!

— Ja bym tam nie wchodził — poradził Fred.

Ojciec Tim opuścił pośpiesznie tylny pokój i spotkał się z Mule'em usiłującym dostać się do środka.

— W końcu cię znalazłem! — wykrzyknął Mule. — Mam dylemat!

Ojciec Tim stał obok stołu do jadalni z epoki gregoriańskiej, zdecydowanie blokując dalszą drogę; Mule przecież nie słynał z dotrzymywania tajemnic.

— J.C. chce, żebyśmy zjedli dzisiaj w trójkę lunch w kafeterii, ale zastanawiałem się nad czymś. Nasz Percy zamyka swój bar za kilka dni i wydaje mi się, że jądanie teraz w kafeterii byłoby naprawdę brakiem szacunku.

— Sądzę, że masz absolutną rację.

— Byłem tam dwa razy w tamtym tygodniu, ale nie czułem się z tym dobrze.

— Powiedz J.C, że dotrzymamy mu towarzystwa w kafeterii, gdy zamkną Grill.

— Poczuj się urażony.

— Przejdzie mu.

— Co ty więc tutaj porabiasz? Słyszałem, że przychodzisz tu teraz codziennie.

— Pracuję nad specjalnym projektem.

— Robiąc co?

— To i owo. No, wiesz.

— Tak — przyznał Mule.

— A więc — zakończył ojciec Tim — muszę się śpieszyć. Do zobaczenia w Grillu? O tej, co zwykle?

Mule wyglądał na strapionego.

— Tak bardzo żałuję, że J.C wyskoczył na Velmę tuż

przed świętami i to przed samym zamknięciem biznesu przez Percy'ego.

— Ja też.

Gdy Mule był już bezpiecznie za drzwiami, Tim podrep-
tał do tylnego pokoju, żeby zmielić kawę. Świeża antigua,
sześć kopiowych miarek, cztery bezkofeinowej, dwie pra-
wdziwej.

Wsywał zmieloną kawę do koszyka, odmierzył do dzban-
ka siedem filiżanek wody, wlał je następnie do ekspresu
i uruchomił, naciskając przycisk.

W przedniej części sklepu Fred włączał jednocześnie mu-
zykę.

— Aha! — wykrzyknął ojciec Tim. — Vivaldi!

Był we wspaniałym nastroju.

Pokryje skrzydło farbą, mimo wszystko.

— Proszę bardzo...

Andrew wertował kartki książki, którą znalazł w domu.

— Popatrz tylko. Nazywa się *Vierge et enfant*... szata Naj-
świętszej Maryi Panny jest czarna. Być może przepowiadając
krzyż.

— Nie — zawyrokował. — Nie chcę czerni.

Ujął delikatnie anioła, pokrywając farbą skrzydło lekkimi,
szybkimi pociągnięciami pędzla. Zanim wyschnie, użyje ma-
łego palca, aby uzyskać efekt pojedynczych piór.

— A to — zauważył Andrew. — To jest cudowne. *Vir-
gin of Loreto* Rafaela. Spójrz na szkarłatny kolor jej szaty,
coś bardziej zbliżonego do głębokiego koralu, w rzeczywi-
stości.

— Głęboki koral. Brzmi dobrze.

Andrew wertował kartki.

— *Madonna i Dzieciątko z Aniołami* Giovanniego Battisty

Salviego. Znowu w szkarłatnej szacie z peleryną w błękitnym kolorze. Wyśmienie!

— Pozwól, że zobaczę.

Podsunał okulary wyżej na nos.

— Błękitna. Zdecydowanie błękitna. I szkarłatna. Tak! Czy mógłbyś zaznaczyć tę stronę?

W drzwiach pojawił się Fred.

— Przyniosłem z magazynu komodę z orzecha. Chcesz, żebym postawił ją na wystawie? — zwrócił się do Andrew.

— Tam, gdzie stała biblioteczka. Pomogę ci po lunchu. Jak wygląda kolor po nałożeniu warstwy wosku?

— Absolutnie doskonale! Jest już prawie dwunasta, mogę pójść po kanapki...

— Nie dla mnie — podziękował Andrew. — Wybieram się na wzgórze, żeby spróbować danie z makaronu wymyślone przez moją piękną żonę.

— A ja idę do baru Grill — wyjaśnił ojciec Tim.

Potem sobie przypominał, że to się stało przez to, jak stanął — j e g o noga jakby się wykrzywiła, sprawiając, że stracił równowagę.

Gdy chwycił się lewą ręką zlewozmywaka, zobaczył anioła wylatującego z jego prawej dłoni; wydawało się, że upadek trwa bardzo długo. Usłyszał, jak z gardła wydobywa mu się straszny krzyk — coś pośredniego pomiędzy krzykiem a jękiem — w chwili gdy figurka rozbijała się na podłodze z płytek.

Odzyskawszy równowagę, spojrział w dół z przerażeniem.

Anioł był w kawałkach. On był zdruzgotany.

Nastąpiła długa chwila ciszy, gdy on, Andrew i Fred stali nieruchomo, w osłupieniu. Zdał sobie sprawę, że nadal ma otwarte usta, uformowane do krzyku, który się z nich wydobył i który przed chwilą usłyszał.

— Dobry Boże — powiedział w końcu Andrew.

Miał ochotę wybuchnąć płaczem, ale się opanował.

— Co za niezdarny idiota...

— Proszę. — Poczł dłoń Andrew na swoim ramieniu.

— Nie ma co robić sobie wyrzutów. Głowa jest nienaruszona i skrzydło też nie wygląda tak źle. Co myślisz, Fred? Da się naprawić?

— Wydaje mi się, że zajęłoby to... — Fred odchrząknął

— bardzo dużo czasu. Tułów rozpadł się na bardzo wiele małych części.

Ojciec Tim pochylił się i podniósł głowę, nagle poczuł ogromne wzruszenie, widząc twarz tak spokojną i tak absolutnie, absolutnie zadowoloną.

Fred zostawił ich na chwilę, po czym wrócił z pudełkiem i miotłą.

— Pozamiatam. Ojciec niech idzie do baru.

— Tak — przytaknął głosem szorstkim z żalu. — Tak.

— Nie wydaje mi się, żeby ojciec chciał dzisiaj jeszcze wrócić.

— O tak. Wrócę. Jest coraz mniej czasu.

— Pozbieram wszystko do pudełka — obiecał Fred.

Andrew z powagą nałożył płaszcz i szalik.

— Możemy go zostawić i przyrzeć mu się jeszcze raz, później. Być może będziemy chcieli spróbować...

— Nie — zaproponował ojciec Tim, potrząsając głową. — Dajmy sobie spokój.

Adrenalina, która zalewała dziką falą jego ciało przez ostatnie tygodnie, opuściła go nagle, równocześnie z upadkiem anioła. Czł się zmieszany i nagle stary.

Siedzieli na sofie, z miską popcornu pomiędzy nimi. Na palenisku buzował niewielki ogień.

— Skończyłam dzisiaj wcześniej w straży pożarnej i postanowiłam poszukać cię w Oksfordzkich Antykach... — zaczęła.

- Naprawdę?
- ...chciałam cię zabrać na lunch, ale już cię nie było. Fred powiedział, że rozminęliśmy się zaledwie o sekundy.
- Skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać?
- Każdy wie, gdzie cię można znaleźć.
- Naprawdę?
- Tak, kochanie. Pamiętaj, to małe miasteczko! Szczerze mówiąc, byłam w sklepie i zapytałam Avisę, czy cię widział. Powiedział mi, że gdy wychodzi na papierosa, często widzi cię, jak się kręcisz w pobliżu Oksfordzkich Antyków.
- Aha.
- Avette z biblioteki mówiła, że kilka razy widziała cię, jak tam wchodziłeś, i oczywiście Irish Woolen Shop, który jest praktycznie obok, mówił to samo.
- Nigdy nie potrafił dotrzymać sekretu, przynajmniej nie własnego. Najwyraźniej nie nadawał się do tego i chciał, żeby uśmiech zniknął z jej twarzy.
- Przechyliła na bok głowę, jej błękitne oczy przepełnione były nadzieją.
- Przypuszczam, że nie będziesz chciał dać mi jakiejś wskazówki?
- Nie ma mowy. Absolutnie. I trzymaj się z daleka od Oksfordzkich Antyków, ty szpiegu.
- Ależ, Timothy, ja wcale nie szpiegowałam! Obydwoje byliśmy tacy zajęci, tęskniłam za tobą. Pomyślałam, że byłoby przyjemnie zjeść razem lunch.
- Akurat ci uwierzę — odparł zadowolony. — Przy okazji, chciałem dzisiaj rano zostawić liścik mojemu ulubionemu autorowi, ale drzwi do twojej pracowni były zamknięte. Nigdy wcześniej nie zamykała drzwi do pracowni.
- Więc... co takiego porabiasz?
- Wzięła garść popcornu.
- To i owo — odparła, wyraźnie z siebie zadowolona.
- Naprawdę?

- No wiesz, to co zwykle.
- Nie mogłabyś mi dać jakiejś wskazówki?
- Nie ma mowy. Absolutnie.
- Absolutnie?

Była zajęta pałaszowaniem popcornu.

- Absolutnie! Zbliża się Boże Narodzenie, no wiesz. Co, oczywiście, wszystko tłumaczyło.

#

Wsunął liścik do kieszeni jej szlafroka, gdy brała rano prysznic.

Ktoś przeprowadził badania z udziałem sześć-, siedmio- i ośmiolatków, prosząc ich, aby zdefiniowali miłość, a on natknął się na wyniki w Internecie.

Gdy kochasz kogoś, twoje rzęsy poruszają się w górę i w dół, i małe gwiazdki dobywają się z ciebie.

Gdy ktoś cię kocha, wymawia inaczej twoje imię. Wiesz, że twoje imię jest bezpieczne w jego ustach.

Zabieram Cię na kolację w środę wieczorem. Twój, dopóki śmierć nas nie rozłączy, a potem na wieki, T.

PS: On zwraca się do Swych owiec po imieniu i nasze imiona są bezpieczne w Jego ustach.



7



To, co na początku należało wyłącznie do niego, z czasem zaczęło należeć również do Andrew i Freda. Wydawało mu się, że zawiódł wszystkich, upuszczając anioła.

Pragnął jednak pozbyć się tego niepotrzebnego poczucia winy i zapomnieć o nim.

Mozna było dopatrzeć się ironii w tym, że w ostatnich latach stracił aż dwa anioły. Mimo że było to wyrzeczenie, którego podjął się z przyjemnością, pierwszego podarował swojej najbliższej sąsiadce i lokatorce w jego domu, Helene Pringle, której życie ukształtowało się kiedyś — nieomal dosłownie — wokół figury z brązu i marmuru, która obecnie zajmowała miejsce na jej półce nad kominkiem.

Bez względu jednak na wszystko zegar niemiłosiernie odmierzał czas, nie zważając na listy, które miał napisać, i inne sprawy. Siedząc przy biurku pod oknem, otworzył na końcu częściowo pusty notes, w którym gromadził i zapisywał ulubione cytaty, i zaczął pisać.

Dooley, aparat cyfrowy

Sammy, sweter w warkocze, L

Sissy/Sassy, plecaki

Wstawszy, przemierzył korytarz do pracowni Cynthii i zapukał do drzwi.

- Kavanagh, jakie książki kupimy dziewczynkom?
- *Małe kobietki!*
- Dobrze — odparł, zapisując.

- *Opowieści z Narnii. Nancy Drew.*
- A co powiesz na *0 czym szumią wierzyby?*
- Daliśmy im ją w prezencie rok temu.
- A co myślisz o *Uncle Remus?* — zawołał przez drzwi.
- Cudowny pomysł! Będą zachwycone tą książką, szczególnie jeśli będzie im ją czytał na głos ich dziadek.
- Pomyślałem, że moglibyśmy włożyć wszystkie książki do ich plecaków! Zaoszczędzilibyśmy na kolorowym papierze.
- Czy mógłbyś zadzwonić od razu do Hope? Sprawdzić, czy na pewno ma je u siebie albo czy zdążyje zamówić na czas. Och, i najdroższy — dodaj też *Anię z Zielonego Wzgórza*, wszystkie osiem tomów w zestawie.
- Załatwione!
- Z pewnością wywiązywali się ze swoich zobowiązań wobec Księgarni Szczęśliwych Zakończeń.
- A co powiesz na podomkę dla Louelli?
- Doskonale! Rozmiar ekstra duży, z rękawami i zasuwana z przodu na zamek. Zostaw listę na kuchennym stole, a ja zajmę się tym, co zostanie. Pamiętaj, żeby obciąć włosy przed nabożeństwem w Wigilię.
- Do licha. Wolałby baty...
- Słyszałam, że Joe Ivey strzyże u siebie w domu — poinformowała go.
- Nie lubił krzyżeć przez drzwi.
- Załatwię to! A przy okazji, co za zapach dochodzi z twojej pracowni?
- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, Timothy!
- Podreptał z powrotem do biurka. Sygnał zajętości w księgarni. Miał nadzieję, że to sphywające zamówienie na książki, długie na kilometr.

Puny, garnek gliniany
Siostry @ Dom Nadziei, czekoladki, 4 pudełka, zamówić
w sklepie

Szpital Dziecięcy, jw. ...

*Andrew, mój egzemplarz, wczesne wydanie Oxf'd Bk Eng Verse
Fred, łopata ogrodowa, sklep z artykułami żelaznymi Dory*

Pugh

Jonathan Tolson i rodzeństwo, zapytać Cynthię

Usłyszał, jak jego dobry pies zsuwa się ciężko z sofy na podłogę i człapie do biurka, spoglądając następnie na niego swoimi brązowymi i poważnymi oczami.

— Hej, przyjacielu.

A co mógł dać temu, który rozjaśniał jego dni, dodawał mu otuchy, wybaczał braki i słuchał jego gadaniny, wyglądając przy tym na bardzo zainteresowanego?

Podrapał psa za chętnie nadstawionymi uszami.

— Gdy znajdziemy się w Meadowgate, możesz taplać się w strumieniu, a ja nie będę krzyczał; nawet nie spróbuję powstrzymać cię przed ściganiem wiewiórek. Życie jest przecież takie krótkie, *carpe diem!*

Barnaba ziewnął.

— A tymczasem...

Wysunąwszy szufladę, dał psu jeden z przysmaków, który sprawiał, że jego biurko wraz z całą zawartością intensywnie pachniało wędzonym bekonem.

Gdy skończył spis prezentów, zaczął pracować nad listą zakupów. Lista zakupów na powitalny bankiet Dooleya nie stanowiła dużego wyzwania: stek i składniki na ciasto czekoladowe.

Głośno policzył głowy na kolację w Boże Narodzenie.

— Dooley, Sammy, Lon Burtie, Poo, Jessie, Harley, Helene, Louella, Scott Murphy, dwoje Kavanaghów... jedenaście!

Kto jeszcze?

— Panie, mamy jeszcze jedno miejsce!

Ostrygi...

Ale ile? Istnieje duże prawdopodobieństwo, że jego ulubiona potrawa nie będzie cieszyła się tak dużym uznaniem pośród gości.

Zapisał.

Kilogram ostryg

Gęsta śmietana

szynka 5 kg, z kością

...Sam ugotuje szynkę; Cynthia przygotuje swoją niezrównaną zapiekankę z ostrygami, ogromny puchar ambrozji i potrawkę ze słodkimi ziemniakami; Helene przyniesie fasolkę szparagową, a Harley obiecał foremkę swych słynnych ciasteczek z nadzieniem toffi. Co więcej, Puny ma upiec sernik i zrobić sos żurawinowy; Louella zamierza wnieść swój wkład we wspólną ucztę w postaci drożdżowych bułeczek prosto z kuchni Domu Nadziei; a wieść niosła, że Esther Bolick pracuje nad prezentem w postaci dwubarstwowego ciasta pomarańczowego...

...ogółem rzecz biorąc, istne pole minowe dla rodzinnego diabetyka, ale nabrał wprawy w negocjowaniu zgody na zakazane przysmaki.

Spojrzał z niepokojem na zegar, czując presję, by zostawić listę i wybrać się do Oksfordzkich Antyków. Ale nie! Absolutnie nie. Zmusił się do wygodnego rozparcia w fotelu, jakby rzeczywiście był zrelaksowany.

Natychmiast opanowało go poczucie winy, że powinien kontynuować prace nad homilią na pasterkę w Lord's Chapel, poszukać w suterrenach stojaka na choinkę, zatelefonować do sklepu, żeby zamówić czekoladki, zadzwonić do Hope z pytaniem, czy ma wszystkie książki z listy, i upewnić się, czy będzie mógł kupić sweter dla Sammy'ego w Irish Woolen Shop...

Do licha! Nie! Nie pozbawi się słodkiej przyjemności delektowania się tą rzadką chwilą spokoju.

Wziął głęboki oddech, wypuścił powietrze i zamknął oczy.

„Dziękuję Ci, Panie, za łaskę spokojnej duszy i za błogosławieństwa, którymi nas obdarzasz w ilości zbyt wielkiej, by je policzyć albo nawet dostrzec...”

Siedział przez chwilę, wznosząc podziękowania, a potem wcale tego nie zamierzając, nie pamiętając...

Najakiś czas przed Bożym Narodzeniem zauważył, że zazwyczaj spokojna twarz jego mamy zrobiła się blada i wymi zerowana; prawie w ogóle nie przypominała siebie. Potem pojawił się straszny ból w boku.

— Biegnij! — polecił ojciec. — Sprowadź Peggy!

Z mocno bijącym sercem, pobiegł najszybciej jak potrafił do małego domku za żywopłotem z ligustru, na końcu drogi.

Późne popołudnie było zimne. Peggy wieszała pranie na sznurku przed swoim kominkiem.

— Coś się dzieje z mamą! Musisz przyjść.

Peggy wygasiała kominek, narzuciła stary, szary płaszcz i ramię w ramię biegli zmarzniętą, nierówną drogą.

Gdy dotarli do dużego, białego domu otoczonego dębami, czarnego buicka już nie było.

— Twój tato zabrał ją do Memphis — wytłumaczyła Peggy, mocno ściskając mu dłoń.

Memphis. Tam jest szpital. Powstrzymywał łyzy, aż do tej chwili.

Przez długi czas stał przed drzwiami wejściowymi, żeby zobaczyć, czy tato nie zmieni zdania i nie przywiezie mamy do domu, żeby doktor Franklin spróbował ją wyleczyć lekarami ze swojej czarnej torby.

Ale samochód nie pojawił się na drodze dojazdowej do domu, a tuż po zapadnięciu zmroku Peggy zabrała go na

drugi koniec drogi, do swojego domu i nakarmiła chlebem kukurydzianym, mlekiem i tłuczonymi słodkimi ziemniakami z melasą, po czym przy kominku przygotowała dla niego posłanie ze starych, kolorowych kap.

Zawsze będzie pamiętał zapach domu Peggy — zapach popiołu z kominka, smażonego bekonu i zimnych bułek; te wonie sprawiały, że czuł się bezpieczny. Nigdy też nie zapomni, jak lampa naftowa na kuchennym stole migotała i rzucała cienie tańczące na ścianach tej nocy i jak modliła się Peggy, głośno i żarliwie, unosząc do nieba ręce i rozmawiając z Bogiem, jakby był tuż obok nich, w pokoju.

#

Było już nieomal Boże Narodzenie i myślał, że dobry Bóg zapomniał... ale nie, siedział rano na brzegu łóżka, gdy w jego głowie zaczął świtać pomysł. Przypominało to odkręcanie kranu, z którego najpierw wydobywa się kilka kropel wody, a potem — zanim się człowiek obejrzy — płynie wartki strumień.

Taca na biżuterię! Na Jowisza, oto myśl!

Jej brat, Willard, gdy był na wojnie, przysłał jej broszkę z Francji; przechowywała ją w szufladzie komody. Innym razem Willard podarował jej sznur pereł, który trzymała na małej etażerze w kuchni. On sam dał jej kiedyś kolczyki, które położyła kilka lat temu na półce nad kominkiem i w tym właśnie miejscu leżały do dzisiaj. Taca na biżuterię pomieściłaby to wszystko. Może wyłożyłby dno odrobiną filcu.

Rany, jakże się cieszył, że ma już za sobą długie wyczekiwanie na pomysł!

Nałożył stary płaszcz, przeszedł ciężko przez korytarz do kuchni i wyrzał przez okno na zamarznąłą trawę, podszedł następnie do blatu i podniósł pokrywkę na zimnym garnku.

O tak, to była pogoda w sam raz na fasolę pinto, bez

dwóch zdań. Odsączył wodę, w której moczyła się fasola, podstawił garnek pod kran i nalał świeżej wody, następnie postawił naczynie na kuchence i włączył palnik. Z odrobiną chleba kukurydzianego i niewielką ilością posiekanej cebuli, złościutcy, będą mieli z Rose prawdziwą ucztę...

Uważał się za szczęśliwego człowieka, amen i alleluja.

Ubrany w strój do biegania, ojciec Tim ruszył truchtem do Domu Nadziei, z torbą na zakupy na ramieniu i Barnabą na czerwonej smyczy. W ostatnich miesiącach pozwalano mu zostawiać Barnabę w dyżurce pielęgniarek na parterze, a nie kazano jak przedtem przywiązywać go do słupa w holu.

— Dla ciebie, przyjacielu — powiedział do Bena Isaaca Bermana spod numeru siódmego.

Było to jedyne domostwo w Domu Nadziei wyposażone w odtwarzacz płyt CD.

— Bach! — zawołał z uznaniem Ben Isaac.

Błyszczącymi oczami spojrzął na swoją nową płytę CD. Objęli się serdecznie.

— Dziękuję, ojcze! Kiedy przyjdzie ojciec na dłużej? Musimy porozmawiać, tak jak planowaliśmy, o Marku Aureliusz!

— Ach, tak — zgodził się ojciec Tim. — Marcus Aurelius Antonius — ten potentat, który dorobił się na domach handlowych!

Śmiech starszego, szacownego mężczyzny sprawił mu przyjemność.

— A oto cytat ze słów samego cesarza — dodał ojciec Tim. — I to niezwykłej mądrości: „Po pierwsze bądź zawsze dobrej myśli. Po drugie, stawaj zawsze oko w oko z przeciwnościami i traktuj je tak, jak na to zasługują”.

Ben Isaac myślał przez chwilę, a następnie skinął głową z aprobatą.

— Muszę to zapisać.

— Zobaczymy się na początku stycznia — obiecał ojciec Tim. — Zarezerwuj dla mnie czas! A gdybyśmy się wcześniej nie widzieli, szczęśliwej Chanuki!

— Wesołych Świąt Bożego Narodzenia, ojcze! — zawołał za nim Ben Isaac. — j a k brzmiała pierwsza zasada, jeszcze raz?

— Bądź zawsze dobrej myśli!

Poszedł dalej korytarzem do pokoju panny Pattie, która — jak się okazało — spała. Pomodlił się za nią w ciszy, prosząc Boga o deszcz łask dla swojej służebnicy na progu dziewięćdziesiątego roku życia.

Mimo że drzwi do pokoju Louelli były otwarte, jej samej tam nie było.

— Louella! Jesteś tu?

Doris Green minęła go, popychając przed sobą balkonik, w koszyku wiozła paczkę cameli i zapalniczkę.

— Louella dzisiaj pracuje.

— Pracuje?

— Piecze bułeczki. W kuchni. Raz w tygodniu. Cztery godziny. Osiem dolarów na godzinę.

— Dziękuję, Doris.

Prawdziwa skarbnica wiedzy!

Znalazł Louellę w kuchni, w fartuchu, wycinającą półlitrowym słoikiem bułeczki z warstwy wyrośniętego ciasta.

— Louella!

Oniemiał, delikatnie mówiąc.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się szeroko.

— Hej, słonko.

— Co, u licha, robisz?

— Zarabiam pieniądze na Boże Narodzenie.

— No, no.

— Wszyscy nie posiadali się z zachwytu nad moimi bułeczkami jakiś czas temu, więc powiedziałam, że będę je

piekła raz w tygodniu, do Bożego Narodzenia, ale tylko w porze lunchu, nie na śniadanie, a oni na to: „Tutaj masz fartuch”. Ostatnio, gdy ojciec mnie odwiedził, zapomniałam o tym powiedzieć!

— Wielkie nieba.

Czy cuda nigdy się nie skończą?

— Ktoś będzie cię musiał zabrać na świąteczne zakupy! Mogłaby pojechać z nim, gdy będzie jechał do Wesley...

— Nie, słonko, zamówiłam on-line.

— On-line? Zamawiasz on-line?

— Ojej, oczywiście, że nie ja. Doris Green! Łączy się z całym bożym światem, rozmawia nawet ze swoim wnukiem, który pływa po oceanie na statku marynarki wojennej.

— Dobry Boże!

Mitford w sieci!

— Ale to ostatnie dni mojej pracy tutaj, jest ojciec świadkiem. Koliduje to z moimi operami mydlanymi.

— Aha. No cóż. Cieszymy się, że będziesz z nami w dzień Bożego Narodzenia; Scott zabierze cię do nas, a ja odwiozę cię z powrotem. Zostawiłem pewien drobiazg u ciebie w pokoju.

— Czy to to, o czym myślę?

— Tak!

— Jasna wiśnia!

— W rzeczy samej!

— Zużyłam do końca poprzednią i nic mi już nie zostało! Jestem tak blada, że niedługo będę wyglądała jak biali ludzie.

— Wyglądasz rewelacyjnie — ocenił ojciec Tim, całując ją w policzek.

Zdał sobie sprawę, że idąc korytarzem, cały czas się uśmiecha.

Coś w nim wzbierało; coś silnego, głębokiego i zdecydowanego. Może porzestanie na tym, że zaczynał czuć zbli-

żanie się Bożego Narodzenia — nie tylko w kalendarzu, ale w samej duszy.

Tego ranka czytanie Cynthii wyjaśniło wszystko:

— „Słowo stało się ciałem i zamieszkało wśród nas. I oglądaliśmy Jego chwałę”.

#

— Przykro mi — stwierdziła Helen. — Wiem, że bardzo tego chciałaś, ale naprawdę, Hope, los się do ciebie uśmiechnął. Spójrz tylko, jak musiałaś walczyć przez te wszystkie lata! Nie mogę pojąć, dlaczego miałybyś przedłużać tę żalotną egzystencję.

— Tak, ale sprawy zaczynają się zmieniać. A to nasz najlepszy bożonarodzeniowy sezon w historii.

Połączenie telefoniczne zakłócały liczne trzaski, często miało to miejsce podczas ich codziennej rozmowy po zamknięciu Księgarni Szczęśliwych Zakończeń. Zakłócenia powodowane były przez telefon komórkowy Helen, która spacerowała u siebie po tarasie z widokiem na basen.

— Przyjedź na Florydę, na litość boską, gdzie słońce muska pocałunkami policzki, a morskie bryzy głaszczą włosy. Zawsze uważałam, że ten mały koczek, w który się czeszesz, sprawia, że wyglądasz jak stara panna. Gdy tu przyjedziesz, obetniemyje krótko i rozświetlimy pasemkami — znam idealną osobę...

— Nie — odparła Hope. — Nie przyjadę na Florydę. To postanowione. Zamieszkam z Louise.

— Wiesz, co mam do powiedzenia na temat tej dziury.

O tak, rzeczywiście wiedziała i nie czuła się na siłach wysłuchiwać tego po raz kolejny.

— Klient! — zawołała Hope. — Puka do drzwi, muszę biec.

Ona i Helen były zgodne co do jednego: Klient nasz pan.

Pobiegła do drzwi, otworzyła je i natychmiast poczuła dreszcz szczęścia. Scott miał na twarzy swój zwyczajowy, dobroduszny uśmiech, a na głowie włóczkową czapkę, która sprawiła, że wybuchnęła śmiechem.

— Czy jesteś klientem? — upewniła się.

— Zdecydowanie tak!

Z kieszeni kurtki wyjął kawałek papieru.

— A oto moja lista na dowód.

— Och, dobrze! — zawołała z ulgą, że nie oszukała Helen. — Właśnie szłam na górę, by włączyć światelka na choince. Chcesz ze mną pójść?

— Tak! Kilka osób czeka na zewnątrz, aż rozbłyszną. Sta-
je się to specjalną atrakcją Main Street, jak mi się zdaje.

— Nasza choinka!?! — zawołała z niedowierzaniem. —
Specjalną atrakcją!

Wyciągnął dłoń, a ona ujęła ją i razem poszli najpierw skrzypiącą podłogą, a potem weszli po schodach do pokoju nad sklepem.

#

Zamiast iść pod pomnik, poszedł z Barnabą na południe, do Oksfordzkich Antyków, gdzie skąpany w świetle ulicznej lampy, otworzył drzwi i wszedł do środka.

*...rodzi się nam dziecię,
Syn darowan wszystkim nam,
Bóg sam schodzi z nieba.
Chwalcie, chwalcie święty dzień.*

Ktoś zostawił włączony odtwarzacz CD. Podeszedł do szafki, żeby go wyłączyć, ale rozmyślił się i wybrał miłe towarzystwo muzyki.

Mimo że rzadko przychodził tu wieczorem, czuł się dziw-

nie swojsko w ciemnym i pachnącym woskiem pokoju, jakby bezpiecznie schroniony przed kapryсами świata, gdzie wojny i ich ryzyko stanowiły nieustanne zagrożenie i gdzie wydawało się, że nie ma nic stałego czy pewnego.

Praca przyciągała go niczym magnes. Z Barnabą, który szedł tuż za nim, przyspieszył kroku i wszedł do tylnego pokoju, niecierpliwym jak dziecko, aby zobaczyć, co jemu, Fredowi i Andrew udało się osiągnąć i jak daleko się posunęli...

Mimo że to, czym się zajmował, nie miało jakiegoś głębszego ani przełomowego znaczenia, Bogu zdawało się zależeć na tym, aby zrobił to dobrze; jakby kierował jego dłońmi, jego instynktem, jego uwagą.

Czasami razem z Fredem pracowali przez godzinę albo dłużej, nie wypowiadając ani jednego słowa, tak bardzo byli zaangażowani. Gdy potem odzyskiwał świadomość — w pewnym sensie — często miał wrażenie, że przed chwilą był w jakimś zupełnie innym miejscu, gdzie przenikał go całkowity spokój.

Być może było to właśnie błogosławieństwo pracy rękami, a nie głową. W istocie, nieomal przez całe życie żarliwie wiodł egzystencję zdominowaną przez intelekt. Jego mama szczerze wierzyła w zdrową równowagę pomiędzy aktywnością fizyczną, umysłową i duchową, ale gdy wyjechał do szkoły i wciągnął go wir życia, ta równowaga została utraczona, zatriumfowała aktywność umysłu i duszy. Jego ręce, z wyjątkiem uprawiania ogrodu i kąpienia psa podwójnej wielkości, nie zajmowały się nigdy niczym innym, jak tylko przewracaniem kartek książki.

I spójrzcie tylko, co tracił! Stojące rzędem na półce figurki były dla niego prawdziwym cudem. Mimo że śpieszył się, aby je wszystkie skończyć, wiedział, że odczuje przykrość, gdy będzie już po wszystkim...

Dzięki Bogu, zupełnie zwalczył obawę, iż artystycznie utalentowanej żonie jego dzieło wyda się amatorskie czy też

niezdarne. Ono było amatorskie! Ono było niezdarne! Ale, na niebiosa, było również czymś zupełnie innym, czymś pozaziemskim, mimo że nie potrafił tego dokładnie nazwać.

Zrzucił ciepłą kurtkę i rękawiczki, wziął pędzel i przyjrzał mu się uważnie, zastanawiając się, czy nie powinien wybrać większego, który pokryłby powierzchnię szybciej.

Ale nie. Nie chciał, żeby święta rodzina została ukończona szybciej. Z czasem szczególnym uczuciem obdarzył ostatnie figurki z czcigodnego grona i chciał je potraktować najlepiej jak potrafił, poświęcić im całą uwagę.

W istocie, wydawało się, że w tym szalonym i pędzącym donikąd świecie większość ludzi nabrała przyzwyczajenia przeżywania wszystkiego w pośpiechu, bez delectowania się nowym doświadczeniem czy później wracania i ponownego jego rozważania.

Praca nad figurkami sprawiła, że zwolnił tempo, zmusiła go do przykładania wagi do szczegółów i delectowania się pracą własnych rąk. Przypominała mu również codziennie, że Boże Narodzenie nie zaczyna się w weekend po Halloween, jak zdawały się przekonywać sklepy w Wesley, a nawet w Mitford. Czas przygotowania trwał, podobnie prace nad szopką bożonarodzeniową — ciemność przed nastaniem światła nadal spowijała świat.

Poczuł radość w sercu, gdy zanurzał pędzel w farbie, która miała pogłębić barwy szaty Józefa...

— Panie — powiedziała na głos. — Dziękuję, że pomagasz mi w tej pracy...

— Wyjdź stamtąd, Kavanagh! Jest dziesiąta trzydzieści, na litość boską.

— Idź i stań w kuchni, żebym mogła otworzyć drzwi!

Poszedł do kuchni i słyszał, jak zamyka na klucz pracow-

nią. Zawierała ona tajemnicze dzieło, które — mimo iż go jeszcze nie widział — już sprawiało mu pewną radość.

Dziwne, ale nie mógł się doczekać, kiedy ją zobaczy, łaknął ją ujrzeć. Jej projekt drzewa aniołów okazał się prawdziwym gigantem, a ona z Olivią Harper radziły sobie z nim po mistrzowsku.

Wtargnęła do środka niczym bryza, przytuliła go i potarła swój ciepły nos o jego zimny, po czym ze szczerą radością spojrzała mu w oczy.

— Twoje rzęsy poruszają się w górę i w dół, i małe gwiazdki dobywają się z ciebie — wyznał.

Wychodzili z pokoju, gdy zauważyła go Hope.

Był to maluteńki skrawek papieru, który wystawał spomiędzy starych, sosnowych desek podłogi, w miejscu, gdzie przez lata stały pudełka ze starymi podręcznikami.

Hope uklękła na jedno kolano i wyjęła z włosów wsuwkę. Następnie próbowała zaczepić o nią papier i wyciągnąć go do góry. Była to koperta, nosząca ślady upływu czasu, bez znaczka.

— Spójrz! — szepnęła.

Scott również ukląkł.

Wsuwka wysunęła się spomiędzy jej palców i wpadła do szczeliny, razem z kopertą. Wyjęła z włosów kolejną wsuwkę, ponownie podważyła nią kopertę i wyciągnęła ją ze szczeliny.

— Dobra robota — pochwalił Scott.

Otworzyła kopertę i zobaczyła, że w środku jest list.

— „Dla mojej małej siostrzyczki na Boże Narodzenie” — przeczytała na głos spłowiały napis na kopercie.

Wstali i podeszli do płamy światła, jaką tworzyły zapalone światełka choinki. Tam ponownie otworzyła kopertę i wyjęła

list. Wiadomość zapisana była na pojedynczej kartce papieru; kiedyś czarny atrament spłowieiał, nabierając bladoczerwonego koloru, przypominającego plamę po jagodach.

Powoli i z szacunkiem przeczytała to, co było zapisane starannym pismem na żółkniętej kartce papieru.

Boże Narodzenie, 1932

Moja Droga Mała Siostrzyczko!

Myślę o Tobie tego roku ze szczególnym uczuciem. Wiem, jak bardzo lubisz dostawać ode mnie listy, i muszę przyznać, że sama piszesz równie doskonale.

Chciałbym skorzystać z tej okazji i powiedzieć Ci, że jesteś mi bardzo droga i że jestem z Ciebie bardzo dumny. Sprawiasz mi ogromną przyjemność swą sztuką czytania, która — jak mogę powiedzieć z własnego doświadczenia — jest trudna do opanowania.

Żywię czułą nadzieję, że spodoba Ci się prezent. Pamiętaj, proszę, że został wybrany z ogromnym uczuciem i nadzieją na Twoją wspaniałą przyszłość przez

Twojego oddanego brata

— Ach — westchnęła poruszona.

Trzymała list, jakby był głęboko osobisty i od dawna oczekiwany.

— Hope.

— Tak?

Poczuła, że jej włosy wysuwają się ze starannego koczka.

— To zadziwiające, że ten list mówi o kilku rzeczach, o których sam chciałem ci powiedzieć.

— Naprawdę?

Stanął za nią, objął ją ramionami i przyciągnął do siebie;

świąteczka choinki zamieniły pusty pokój w słup wielobarwnego światła.

— Chciałbym skorzystać z tej okazji i powiedzieć ci, że jesteś mi bardzo droga i że jestem z ciebie bardzo dumny.

Poczuła, jak ogarniają powolna fala ciepła, cicha i obywatniająca radość.

— Żywię czułą nadzieję — mówił, dalej czytając słowa listu, który trzymała w ręce — że spodoba ci się prezent. Pamiętaj, proszę, że został wybrany z ogromnym uczuciem i nadzieją na twoją wspaniałą przyszłość przez twojego odданego przyjaciela i brata w Chrystusie.

Oniemiała wstrzymała oddech; jej włosy opadły na ramiona.

— Zastanawiałem się, jak to powiedzieć — wyznał. — I ktoś powiedział to za mnie, wiele lat temu.

Umieścił na jej dłoni małe pudełeczko.

— Proszę, nie otwieraj go przed Bożym Narodzeniem — szepnął, trzymając ją w ramionach, jakby mieli całe życie na to, żeby stać w tym pokoju z mieniającą się świąteczkami choinką, listem i obietnicą pomyślności, która zdawała się rozciągać przed nimi w nieskończoność.



8



Ostatnio nie sprawdzał zbyt często poczty elektronicznej i był mile zaskoczony, a nawet lekko podekscytowany, gdy zobaczył szesnaście wiadomości czekających na przeczytanie.

Od czego zacząć?

Od tego, od czego zaczęłyby każdy ksiądz z odrobiną zdrowego rozsądku — od swojego biskupa.

<Timothy,

<Pamiętasz te dni, gdy naśladowując godne pochwały wysiłki pocziwego św. Pawła, pisałem wszystkie ważne listy odręcznie?

<Mój przyjacielu, te czasy być może już nigdy nie wróca! Niemniej jednak śpieszę poinformować, że ta wiadomość elektroniczna jest ważna.

<Uwaga:

<Nieomal na pewno będę miał coś dla Ciebie na początku nowego roku. Jak mogłeś się spodziewać, nie jest to nic porywającego i Bóg raczy wiedzieć, czy to będzie wyzwanie. Mimo to przyznaję, że jestem jawnie zazdrosny.

<Nie mogę teraz nic więcej powiedzieć, ale skontaktuję się po świątecznym okresie i omówimy szczegóły (Przypominam sobie, nawiasem mówiąc, że spędzasz następny rok na farmie Owenów i że jedno z drugim nie będzie kolidowało).

<Postępuję tak, jak mi już dawno doradzałeś, i spędzam więcej czasu ze swoimi przybranymi wnukami. Trudno wręcz

przecenić pozytywny wpływ ich kilkuletniej obecności w naszym życiu na nasze zdrowie, witalność i pogodę ducha, mimo że razem z Martha nadal opłakujemy stratę ich prawdziwych dziadków i naszych niezastąpionych przyjaciół. Dopilnuję, abyś otrzymał jako załącznik do tego e-maila zdjęcia z naszej wyprawy na ryby do Outer Banks. Cieszę się, że Bóg podarował również Tobie parę przybranych wnucząt!

<Jak wiesz, najbliższe lato przyniesie ze sobą oczekiwane z bojaźnią 72 i pójdę na zieloną trawkę, tak jak Ty i inne stare kozły. Boże, miej litość — licząc w psich latach, już nie żyję!

<Nie mam pojęcia, co ma robić ze sobą emerytowany biskup. Jak na razie, najbardziej zdaje się mnie pociągać wyprawa do Disneylandu. (I nie, zaprawdę, pisanie książki nie jest alternatywą).

<Ponieważ udało nam się zgromadzić wszystkie niezbędne fundusze na budowę katedry, a plany zostały sporządzone i zatwierdzone (nie ma słów, które mogłyby opisać tę udrękę), mamy nadzieję obchodzić uroczystość wmurowania kamienia węgielnego na kilka dni przed moim przejściem na emeryturę 15 czerwca. Ty i C. musicie być z nami podczas tego cudownego zdarzenia.

<Mam nadzieję, że Ty i Twoja piękna żona macie się dobrze i jesteście szczęśliwi, że Dooley radzi sobie świetnie na studiach i jest dla Ciebie powodem do dumy. Niech Bóg błogosławi Ci hojnie w tym wyjątkowym czasie, sprawiając, byś w wyjątkowy sposób doświadczył jego łaski, miłości i pokoju.

<t Stuart

<O. Timie,

<lekarz mówi, że wszystko będzie dobrze, spodziewam się, że gdy się zobaczymy, będę babcia!!! Emily i Jack są pełni nadziei, ja też. Wszystkie testy mówią, że to dziewczynka!

<Dzięki za modlitwę, trudny czas. Nie przestawaj.

<Harold nieomal zagłodził się na śmierć, nocną przesyłką kurierską UPS posłałam mu mięso duszone z warzywami. Kosztowało to całą fortunę, ale uratowało mu życie. Bierze urlop, żeby przyjechać tu w tym tygodniu i zostać do 10 stycznia włącznie, kiedy wrócimy do Mitford, a opiekę przejmie druga babcia. Pomódl się, proszę, za Snickersa, będzie musiał jechać samochodem, a to zawsze wywołuje u niego wymioty.

<Zastanawiałam się nad całym tym Twoim bieganiem i uprawianiem joggingu, nigdy mi się to nie podobało. Co powiesz na to ~

<Stań za swoim domem, trzymając w każdej ręce worek z 3 kg ziemniaków. Unieś do góry wyprostowane ramiona i trzymaj je w takiej pozycji tak długo, jak starczy Ci sił.

<Po kilku tygodniach zmień worki na 5 kg, a potem 10 kg, aż do chwili, gdy będziesz w stanie unieść 100 kg worki, po jednym w każdej ręce, trzymając je wyprostowane przez całą minutę.

<Następnie... zacznij wkładać po kilka ziemniaków do każdego worka, ale ostrożnie, żeby się nie przeforsować.

<Ha ha.

<Pocztą idzie mały prezent dla Ciebie i Cynthii. Znalazłam buty, które będą pasować do mojej nowej granatowej sukienki na wyjazd do Anglii w maju. Teraz muszę szukać płaszcza, ponieważ wszyscy mówią że w maju nocami może być zimno. Wydaje mi się, że powinien być granatowy, nie czarny, Emily twierdzi, że czarny do granatowego nosi się tylko w Nowym Jorku. Wydaje mi się to jednak tak niepraktyczne — kupować granatowy płaszcz tylko do jednego stroju. Jak myślisz? Czarny płaszcz czy granatowy?

<Wesołych Świąt!

<Serdeczne pozdrowienia, Emma

<Drogi Ojcie Timie,

<cała kongregacja St. John's przesyła Ojcu i Cynthii życzenia przepełnionego błogosławieństwami czasu Bożego Narodzenia, zawsze będziemy o Was myśleć jak o rodzinie.

<Morris skomponował absolutnie zapierającą dech w piersiach bożonarodzeniową kantatę. Gdy usłyszałam ją z Samem podczas próby, obydwójce płakaliśmy jak dzieci. Ludzie będą się zjeżdżać ze wszystkich stron i wszyscy harujemy jak woły, by ukończyć wypieki na skromny poczęstunek z tej okazji.

<Ostatnio jest bardzo zimno! Ktoś twierdził, że widział jeden czy dwa płatki śniegu, ale mało kto wierzy w te doniesienia. Wróciły kucyki!

<Z prawdziwą przykrością piszę, że są nadal tacy, którzy nie mogą wybaczyć Jeffreyowi Tolsonowi, chociaż razem z Samem widzimy wyraźnie, że Bóg działa w tej sprawie cuda. Sam wierzy, że czas wyleczy wszystkie rany. Ojca Jonathan radzi sobie świetnie w szkole, bylibyście z Cynthia bardzo dumni.

<Muszę się śpieszyć. Mam do upieczenia prawie sto ciasteczek! Bądźcie pewni, że wiele miłości dla Was tli się w małym punkcie na Atlantyku!

<Z mnóstwem serdeczności

<Marion

#

— Panno Betty, a co, gdybym się przeszedł po podwórku?

— Lekarz powiedział, wujaszku Billy, że możecie, ale dopiero gdy przyjdzie wiosna. Teraz jest za zimno.

Zaglądnął ponad jej ramieniem do garnka, w którym się coś gotowało. Jarmuż! Jego ulubione danie. I duża, tłusta

kura piekąca się w piekarniku! Może on umarł w szpitalu tych kilka miesięcy temu i poszedł prosto do nieba.

— A gdybym się ciepło ubrał, nie wystarczyłoby?

— Nie wydaje mi się, wujaszku Billy. Proszę poczekać do maja, aż zaczną kwitnąć kwiaty, wtedy będzie dobry czas.

Do maja?

Człowiek nie powinien czekać do maja, żeby wyjść z domu! Miał do załatwienia ważne sprawy. Poza tym, w maju może już nie żyć.

#

— Co chcielibyście najbardziej?

Ojciec Tim zwrócił się z tym pytaniem do Sissy i Sassy, które siedziały po jego lewej i prawej stronie na sofie.

— Książki! — wykrzyknęły jednocześnie.

Jego zamówienie czekało przy kasie Hope, zapakowane w ozdobny papier i gotowe do opuszczenia księgarni.

— Co jeszcze?

— Złote rybki! — zawołała Sissy, która patrzyła na niego zielonymi, ciekawymi świata oczami, które kochał.

— Łyzwy! — rzuciła Sassy, której zaraźliwy uśmiech zawsze go obezwładniał.

Dlaczego zadał im takie pytanie? Dlaczego nie mógł sobie dać spokoju i poprzestać na książkach? Odpowiedź była prosta — to były jego wnuki!

— Załatwione — odparł, poklepując chude kolano po jednej i po drugiej stronie.

Sassy dotknęła palcem jego ramienia.

— A czego ty chciałbyś najbardziej, dziadku?

— Och, dobre pytanie. Niech no pomyślę.

Opuścił głowę i zakrył dłońmi uszy.

— Myśli — stwierdziła Sissy, kiwając głową z aprobatą.

Świętego spokoju, tego właśnie chciał.

— Zdrowego rodzeństwa dla was dwóch! — zawołał, nazywając w ten sposób jeszcze jedno z najgorętszych pragnień.

— Co to jest rodzeństwo? — dopytywała się Sassy.

— Rodzeństwo to bracia i siostry.

— Albo brat, albo siostra — o to się modliłam.

— A więc co powiecie na nieduży spacerek na koniec ulicy?

— Cukiernia Sweet Stuff! — zawołały chórem.

Po wizycie w cukierni Sweet Stuff odprowadził dziewczynki do domu i wychodził właśnie do Oksfordzkich Antyków, gdy zadzwonił telefon.

— Ojciec Tim?

— We własnej osobie!

— Lew Boyd, ojcie, muszę z kimś porozmawiać.

— Mój czas należy do ciebie.

— Czy dałby ojciec radę zajrzeć na stację?

— Ach. No cóż... niech pomyślę. Oczywiście! Muszę za-tankować. Co powiesz na — za trzydzieści minut?

Wpadnie potem do Oksfordzkich Antyków i popracuje przez kilka godzin...

— Będę zobowiązany. Posprzątam ojcu samochód i dodam odświeżacz powietrza — Ripe Peach, tak się nazywa. Firma stawia.

— Dziękuję, Lew. Zrezygnuję z Ripe Peach, ale zobaczymy się za pół godziny.

...a po wizycie w Oksfordzkich Antykach pojedzie do centrum handlowego w Wesley, kupi kilka złotych rybek i parę łyżew. Lepiej dwie pary. Potem wróci do domu ze składnikami ciasta czekoladowego do upieczenia najutro — będzie lepsze, jeśli postoi przez noc — a potem z powrotem

do Oksfordzkich Antyków na ostatnią godzinę pracy, zanim zacznie przygotowywać kolację ze swoją kochaną żoną.

Nieomal kręciło mu się w głowie od wszystkiego, co miał zrobić, nie wspominając o przeklętym strzyżeniu, które będzie musiał gdzieś jakoś załatwić...

Nie miał zamiaru odbierać telefonu, gdy ponownie zadzwonił, ale jego ręka mimowolnie powędrowała do słuchawki i oto stał, wołając:

— Halo!

— Ojciec Tim?

— Czy to ty, Esther?

— Tak. Ojciec Talbot jest bardzo zajęty, wie ojciec.

— Ach, tak. Przypuszczam, że w tej chwili pakuje się właśnie na wycieczkę do Australii.

— Mógłby mi więc ojciec doradzić w pewnej sprawie?

— Jeśli tylko będę potrafił.

Spojrzał na zegarek.

— Jestem tylko człowiekiem.

— Święta prawda.

— Z żalem się do tego przyznaję.

— Mnie możesz się przyznać.

— Czy zna ojciec starego Muellera?

— O, tak.

— Na każde Boże Narodzenie zawożę mu ciasto pomarańczowe.

— To bardzo miło z twojej strony, Esther.

— Pismo Święte mówi nam, żebyśmy odwiedzali biednych. Ale ja nie chcę już tego robić.

— Aha.

— Przechodziłam kiedyś przez Main Street, a ten stary cap nieomal mnie przejechał, nawet nie zwolnił.

— Nie bierz tego do siebie, Esther.

— Po tym jak w każdą Wigilię w egipskich ciemnościach wędrowaliśmy z Gene'em do niego, żeby zanieść mu ciasto!

— Wydaje mi się, że pogarsza mu się wzrok, niewiele brakowało, a i mnie upolowałby kilka razy.

— Czy byłabym hipokrytką, gdybym nie miała ochoty zawieźć mu ciasta, a mimo to bym je zawiozła? Albo czy byłoby jeszcze gorzej, gdybym tylko pomyślała o tym, żeby to zrobić, a mimo to bym tego nie zrobiła?

— Moim skromnym zdaniem? Gorzej!

Usłyszał, jak wzdycha.

— Wiedziałam, że tak ojciec powie.

Wujaszek Billy zapinał kurtkę, gdy do kuchni weszła jego żona w różowym, szenilowym szlafroku i małym, czarnym popołudniowym kapeluszu z pogniecioną woalką.

— A dokąd to się wybierasz, Billu Watson?

— Na drugi koniec ulicy! — krzyknął, chwytając laskę zawieszoną na oparciu krzesła.

— W tej chwili siadaj i bądź chory! Jak wyzdrowiejesz, nie będą już przysyłać panny Betty, żeby nam gotowała, i to dopiero będzie niezły bigos.

Pognieciona woalka zadrżała.

— Nie ma takiego garnka jarmużu, który byłby wart tego, żeby siedzieć uwiązany w domu jak więzień na łańcuchu.

Naciągnął na uszy starą wełnianą czapkę i sprawdził, czy ma w kieszeniach rękawiczki.

— Muszę iść z pewnym interesem!

— Mruczę pod nosem? Słyszę wyraźnie każde swoje słowo. To ty mruczysz pod nosem, Billu Watson! Dokąd dokładnie się wybierasz na koniec ulicy?

— Idę zobaczyć się ze świętym Mikołajem! — krzyknął z całych sił.

— Z Mikołajem! — wykrzyknęła jego żona.

No i proszę bardzo — najlepszy dowód, że ona słyszy każdą przekłątą rzecz, którą chce usłyszeć.

— Powiedz mu, żeby w tym roku nie wchodził kominem — poradziła. — Pełno w nim wiewiórek. Powiedz, żeby wszedł tylnymi drzwiami, nie będziemy zamykać drzwi z siatką.

Twarz jego żony poweselała jak u małej dziewczynki. Gdy schodził po schodach, po jednym stopniu, był bardzo zadowolony, że Bóg błogosławił mu w tym, co zamierzał zrobić.

Nie pierwszy raz udzielał porad w półciązarówce, w której ogrzewanie włączone było na pełny regulator.

— Planowałem porozmawiać z ojcem już od dłuższego czasu — wyznał Lew. — Ale odkąd uciekliśmy z Earlene do sędziego pokoju i nie pozwoliliśmy ojcu dać nam ślubu, wydawało mi się, że nie powinienem zwracać ojcu głowy.

— Żaden problem, Lew. Co cię martwi?

Lew spojrział na swojego timeksa.

— Muszę się spieszyć, mamy hondę umówioną na wymianę szczęk hamulcowych.

— Aha.

— Rzecz w tym, że poślubiłem Earlene, nawet jeśli będzie się opiekować swoją mamą do jej śmierci i nawet jeśli będzie chciała zostać w fabryce mąki, żeby dostać emeryturę.

— Rozumiem.

— Ale tęsknię za nią. Czuję się taki samotny, jakbym był sam na tym świecie, wie ojciec, o co mi chodzi?

— Wiem dokładnie, o co ci chodzi.

— Ale klamka zapadła — ona mieszka ze swoją mamą i nie może jej nawet powiedzieć, że wyszła za męża. Siostry Earlene mówią, że mamę zabiłoby to na miejscu, jest już mocno po dziewięćdziesiątce i ma bardzo słabe serce. Więc,

na domiar wszystkiego, utrzymujemy to w tajemnicy. Nie mówiłem o tym nikomu z wyjątkiem ojca, ponieważ gdybym to zrobił, wiadomość rozniosłaby się lotem błyskawicy.

— To prawda.

— I widzi ojciec, wydaje mi się, że nie mam prawa oczekiwać niczego więcej niż to, co uzgodniliśmy przed ślubem.

— A zatem czy wtedy byłeś gotowy czekać?

— Wtedy tak, ale teraz raczej nie.

— Czy poślubiłeś ją dlatego, że ją kochasz, czy też dlatego, że byłeś samotnym wdowcem?

— Nie będę kłamał. Po części z obydwu powodów. Ale głównie dlatego, że ją kocham. Jest wspaniałą kobietą i nie da się temu zaprzeczyć.

— Czy rozmawiałeś o tym z Bogiem?

— Chodzę od czasu do czasu do kościoła, ale nie jestem fanatykiem religijnym.

— A to dlaczego?

Lew wzruszył ramionami.

— Wydaje mi się, że Bogu nie chciałoby się zajmować moimi sprawami.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Wyrządziłem trochę zła w życiu.

— Ja też.

— Ojciec na pewno nie!

— Ależ tak.

— Niech mnie licho.

— Jestem grzesznikiem zbawionym przez łaskę, Lew, nie przez uczynki. Nie ma żadnego znaczenia, że jestem księdzem. Liczy się, że zawieramy nasze serca Bogu, otrzymujemy Jego przebaczenie i nawiązujemy osobistą więź z Jego Synem.

— Earlene, ona ma ten rodzaj więzi z... no, wie ojciec...

— Wskazał palcem w górę.

— Czy ty też chciałbyś ją mieć?

Lew wyrzął przez okno kierowcy, następnie odwrócił się i spojrzął na ojca Tima. Łzy popłynęły po jego nierówno ogolonej twarzy.

— Nie wiem, wydaje mi się, że nie jestem gotowy, by zrobić coś takiego.

— Gdy będziesz gotowy, jest prosta modlitwa, która zaprowadzi cię przed Jego oblicze i zmieni twoje życie na zawsze — jeśli odmówisz ją ze szczerym sercem.

Lew otarł oczy rękawem kurtki.

— Jak prosta jest ta modlitwa?

— Tak prosta: „Drogi Boże, dziękuję Ci za to, że mnie kochasz, i za to, że posłałeś swojego Syna, żeby umarł za moje grzechy. Szczerze za nie żałuję i przyjmuję Chrystusa jako mojego Zbawiciela. Teraz, jako Twoje dziecko, zawierzam Ci całe swoje życie. Amen”.

— To wszystko?

— Wszystko.

— Nie jestem pewien, co do tego zawierzenia całego swojego życia.

— Całe życie to dość trudna sprawa, żeby zajmować się nim samemu, od początku do końca.

— Tak, proszę ojca.

Zapadła pełna namysłu cisza, którą zakłócało jedynie intensywnie pracujące ogrzewanie.

— A tymczasem — zaproponował ojciec Tim — może pomodlimy się w sprawie, o której mi właśnie opowiedziałeś?

— Tak, proszę ojca, byłbym wdzięczny.

Lew pochylił głowę.

— Boże, dziękuję Ci za Twoją miłość i łaskę. Znasz okoliczności i słyszałeś Lew, który otworzył przed Tobą swoje serce w tej trudnej sprawie.

— Prosimy Cię, Ojcze jedynie o to, żeby działa się Twoja wola.

— We wszechmocne imię Jezusa, Twojego Syna i naszego Zbawiciela, amen.

— Za przeproszeniem, ojcze, ale wydaje mi się, że nie poprosiliśmy o zbyt wiele.

— Sama modlitwa nigdy nie zawodzi, Lew.

— Nigdy nie zawodzi?

— Nigdy. Mam nadzieję, że będziesz ją odmawiał w czasie dni i tygodni, które nadejdą.

Lew rozważył jego słowa.

— Jak dokładnie brzmiała?

— „Niech się dzieje wola Twoja”.

Lew pokiwał z namysłem głową.

— No dobrze. W porządku. Mogę to zrobić. Nie wydaje mi się, żebym miał cokolwiek do stracenia.

— Dobrze myślisz, przyjacielu!

— Oto i moja honda. Chwileczkę! Wydaje mi się, że nie mamy już żadnych hamulców, na to wygląda.

Ojciec Tim otworzył drzwi pasażera i wyszedł na zewnątrz.

— Ładny samochód — zauważył, przyjacielsko kopiąc przednie prawe koło.

*Droga Emmo,
modłę się wiernie.
Czarny płaszc.
Szczерze oddany
O. Tim*

Andrew przyglądał się wykonanej do tej pory pracy, stojąc ze skrzyżowanymi ramionami przed zapełnioną półką.

— Ojciec, wygląda na to, że przez przypadek odkrył ojciec w sobie ukryty talent.

— Oczywiście, że nie!

Poczuł nagłe ukłucie szczęścia, słysząc takie słowa.

— To, jak zestawiał ojciec kolory...

— Miałem dużo pomocy, jak sobie przypominasz.

— No cóż, tak, ale to ojciec musiał je wymieszać i nałożyć. Ten stary pasterz szczególnie do mnie przemawia, z tą prostą, brązową szatą. Dobra robota!

— Dziękuję. Przyznaję, że bardzo polubiłem tę figurkę, z jej pochyloną głową i pełną wyrazu twarzą.

Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio był tak wdzięczny za kilka słów pochwały.

— Zawsze wydawało mi się, że ojciec mógłby pisać poezję — mieć szufladę pełną wierszy. — Andrew odwrócił się i uśmiechnął. — Czy mam rację?

Ojciec Tim roześmiał się.

— George Herbet napisał za mnie całą poezję.

— Albo może eseistą. Czy kiedykolwiek próbował ojciec eseju?

— Próbowałem i odniosłem porażkę!

— Ach, no cóż. Wszyscy mamy swoje ograniczenia. Muszę ojcu powiedzieć, że obecność tutaj tej gromadki sprawiała mi ogromną radość, nadawała temu miejscu szczególnego uroku. Będzie mi was wszystkich brakować, gdy nadejdzie Boże Narodzenie. Przy okazji, jakieś przemyślenia co do stajenki?

— Nie w tym roku.

Ojciec Tim przyjrzał się pracy, która została jeszcze do wykonania.

— Wszyscy mamy swoje ograniczenia — odparł, uśmiechając się.

Był tak zajęty, że naga prawda nie zdążyła jeszcze do niego całkowicie dotrzeć. Ale zaledwie za kilka dni jedna z najważniejszych instytucji w Mitford przejdzie do historii.

Dla niektórych utrata baru Grill była porównywalna do utraty ręki lub nogi, albo przynajmniej kilku palców. Nikt jednak nie był chętny podjąć się prowadzenia baru, nawet gdyby Edith Mallory była tym zainteresowana, ponieważ ograniczona liczba miejsc nie obiecywała dużych zysków.

W istocie, historyczny sprzęt kuchenny i chłodniczy miał zostać usunięty tuż po zamknięciu i — zgodnie z plotką — zawieszony na wysypisko, bez jakichś dodatkowych ceregiegli. Potem w lokalu zostanie otwarty sklep obuwniczy i przybiją na ścianach półki...

Właśnie wykładał pędzle, gdy w drzwiach ukazała się głowa Mule'a.

— Masz minutę?

Ojciec Tim wykonał ruch, żeby dobiec do drzwi i odwrócić uwagę gościa, ale było za późno. Mule wszedł do środka i oniemiały wpatrywał się w figury ustawione rzędem na półce.

— A niech mnie! Co wy tutaj wszyscy robicie? Co ja widzę!

— To tajne zadanie, nikt nie może się o tym dowiedzieć. Andrew pewnie musiał wyjść do banku...

— Ale widok — westchnął z nabożeństwem Mule. — To przecież pasterze i mędrcy, i tak dalej!

— Zgadza się. Nie mów o tym nikomu ani słowa!

Jego głos kaznodziei, jak miał nadzieję, dodatkowo podkreśli polecenie.

— Ty sam to wszystko robisz?

— Z niewielką pomocą moich przyjaciół.

— Jak to się stało, że o mnie nie pomyślałeś? Jestem twoim przyjacielem.

— To prawda.

— Kto to jest?

— Józef.

Oczy Mule'a zrobiły się okrągłe.

— Wystarczy spojrzeć na tę owcę i osła. Zawsze lubiłem osły. Prawdziwa uczta dla oczu; musisz postawić je gdzieś na wystawie. Oczywiście, ten wielbłąd nie wygląda rewelacyjnie.

— Jeszcze nie został pomalowany.

— Powinieneś dać mi spróbować; malowałem naszą łazienkę i frontowy ganek.

— Dooley będzie malował wielbłąda. Przyjeżdża do domu dzisiaj wieczorem.

Dzisiaj wieczorem!

— Gdzie jest Dzieciątko Jezus?

Ojciec Tim wyciągnął żłóbek i dzieciątko z pudełka, położył figurkę na dłoni.

Mule odchrząknął.

— Cóż — zaczął. — To wspaniałe. A więc gdzie jest stajenka do kompletu?

— Nie mam stajenki.

— Musisz mieć stajenkę.

— Nie mam czasu na zrobienie stajenki — może za rok.

— Robiłem już podobne rzeczy. Mógłbyś wziąć skrzynkę na pomarańcze od Avisy, rozłożyć ją na części, wbić kilka gwoździ i miałbyś stajenkę.

— Przyjdę, żeby zjeść z tobą jutro lunch.

— Zastanawiałem się. Ktoś powinien coś zrobić dla Percy'ego i Velmy, wiesz, o co mi chodzi? Sądzę, że coś powinno się zdarzyć w ich ostatni dzień.

— Wydawało mi się, że Coot Hendrik przygotowywał jakąś uroczystość.

— Nigdy nie udało mu się tego sfinalizować, poza tym jest chory na zapalenie płuc, choć nie musi leżeć.

— Ach.

Wziął głęboki oddech.

— Nie ma zbyt dużo czasu, ale... może urządzimy na ich cześć przyjęcie?

Mule zastanawiał się przez chwilę.

— To znaczy ty i ja?

— Ktoś musi się do tego zabrać.

— Gdzie?

— W barze Grill. W Wigilię. Tuż po lunchu, gdy zamkną.

— Kto przygotowuje jedzenie? Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli poprosić Percy'ego...

— Jeśli to będzie zaraz po lunchu, nikt nie będzie potrzebował jedzenia. Albo może moglibyśmy zjeść, no nie wiem, deser.

— Jaki deser?

— Nie mam pojęcia, dopiero przyszedł nam ten pomysł do głowy. Może parę ciastek. A ja zrobię kawę. Wiem, jak się obsługuje ich ekspres do kawy, mają go od niepamiętnych czasów.

Mule wyglądał na nieprzekonanego.

— A kto zapłaci za ciastka?

— Zrzucimy się. Może uda nam się zebrać dosyć, żeby starczyło na bilet Percy'ego i Velmy do Waszyngtonu i z powrotem, by zobaczyli kwitnące wiśnie. Co myślisz?

— Tak! — zawołał Mule, uśmiechając się. — Wspaniały pomysł!

— No to do zobaczenia jutro na lunchu!

Ojciec Tim poczuł, jak podnosi mu się poziom adrenaliny.

Co też przyszło mu do głowy? Żeby organizować przyjęcie w barze Grill w tym samym dniu, w którym będzie odprawia! nabożeństwo wigilijne w Lord's Chapel, ubierał choinkę, rozkładał potajemnie szopkę betlejemską w ich salonie i przygotowywał wszystko na ich wielką kolację w dzień Bożego Narodzenia?

Czy całkiem postradał zmysły?

Odpowiedź brzmiała, oczywiście, tak.

Malował szatę Józefa, gdy do pokoju wtargnęła J. C. Hogan.

— Chwileczkę! — zawołał ojciec Tim.

Co to jest, centralny dworzec kolejowy?

J. C. cisnął swoją pękatą, nie zasuniętą teczkę na krzesło.

— Słyszałem, że teraz mieszkasz tutaj, masz łóżko w tylnym pokoju.

— Kto cię wpuścił?

— Sam wszedłem. Fred rozładowuje ciężarówkę na ulicy, a Andrew wyszedł do domu.

Rozłożył chusteczkę, którą trzymał w kieszeni i otarł twarz.

— Co się dzieje? Zacząłem szukać twojego nekrologu.

— Kto ci powiedział, że tutaj jestem?

— Wszyscy wiedzą, że tu jesteś. A więc co to jest?

— Co takiego?

— To, co malujesz. Można by się doszukać pewnego podobieństwa z moją rodziną. — J. C. zachichotał.

— Słuchaj, J. C., musisz to zachować dla siebie. Wszystko ma być niespodzianką dla Cynthii. Chciałbym, żebyś dał mi słowo.

— Nie słynę z dochowywania sekretów!

J. C. uważnie przyglądał się figurkom stojącym na półce.

— Nie mów mi, że sam to wszystko zrobiłeś!

— Nie zrobiłem tego wszystkiego.

— Wygląda jak szopka bożonarodzeniowa...

— Tak jest. I — uwierz mi — j e ś l i piśniesz komuś chociaż słowo, osobiście walnę cię w łeb.

— No dobrze, w porządku, nie dowiedzą się o tym ode mnie. A niech mnie, to jest wspaniałe. Nie wiedziałem, że potrafisz robić takie rzeczy.

— Ja też nie.

— Gdzie masz stajenkę?

- Nie mam stajenki.
- Wszyscy wiedzą, że trzeba mieć stajenkę w szopce świątecznej. Małe dzieciątko nie może leżeć tak po prostu pod gołym niebem, wiesz, o co mi chodzi?
- Proszę kaznodziei? — Wujaszek Billy wsunął przez drzwi głowę.
- Wujaszku Billy! Co wujaszek robi w mieście?
- Kupuję starocie! — wyjaśnił starszy mężczyzna, a jego złoty ząb rozbłysnął w uśmiechu. — To Dora powiedziała mi, że ojciec tu pracuje.
- Czy Hoppy mówi, że może wujaszek chodzić po mieście?
- Powiedział, że mogę chodzić po podwórku. Pomyślałem, że można to zamienić na spacer na drugi koniec ulicy.
- Jakie starocie?
- Poklepał zawiniątko pod pachą.
- Robię Rose prezent. Zbliża się Boże Narodzenie, wie ojciec.
- Słuchajcie — wtrącił wydawca „Muse” — spadam stąd. Spotkajmy się na lunchu po Bożym Narodzeniu.
- Załatwione. Przy okazji, przygotowujemy małą uroczystość dla Percy'ego i Velmy, tuż po lunchu w Wigilię. Mam nadzieję, że do nas dołączysz.
- Oczywiście, że tak, pracuję w przeklętej branży dziennikarskiej, to mój obowiązek.
- Ich ponad czterdzieści lat w barze Grill zasługuje na pierwszą stronę — zaznaczył ojciec Tim.
- Nie musisz głosić mi kazania, przyjacielu! J.C. porwał teczkę i wyskoczył na zewnątrz.
- Ojciec Tim uśmiechnął się.
- Wujaszku Billy, nie ma spoczynku dla potępionych, a prawi go nie potrzebują.
- Wujaszek Billy uśmiechnął się w odpowiedzi; lubił, gdy kaznodzieja pożyczają jedno z jego powiedzonek.

— Mam nadzieję, że będziecie mogli do nas dołączyć z panną Rose. Obydwoje macie długą historię jako klienci baru Grill.

— Nie, proszę ojca, nie dam rady, mam do wykonania pewną straszną pracę i ani chwili do stracenia. Nad czym ojciec pracuje?

— Odnawiam szopkę bożonarodzeniową, która będzie niespodzianką dla Cynthii.

Starszy mężczyzna utkwiał wzrok w półce i wpatrywał się w nią z otwartymi ustami.

— A niech mnie kule biją.

Ojciec Tim zdał sobie sprawę, że dzielenie się figurkami sprawia mu przyjemność; nabierały dodatkowego, innego znaczenia, gdy widział je oczyma osób postronnych.

— Czy ojciec sam zrobił te wszystkie zwierzęta i tak dalej?

— Nie, wujaszku, tylko je pomalowałem. I trochę naprawiłem, tu i tam.

— Są przepiękne — ocenił wujaszek Billy, głęboko poruszony.

Nauczył się tego słowa, gdy był chłopcem, i nie miał zbyt wielu okazji, żeby go używać.

— Przepiękne!

— Dziękuję.

— Tutaj są mędrzy. A tutaj owce. Ojej, całe stado, jak żywe! I anioł — patrzcie! Tylko jeden anioł, tak?

— Tak, proszę wujaszka. Były dwa, ale upuściłem jednego i rozbił się.

Myśl o tym nadal sprawiała mu ból.

— I Dzieciątko Jezus. Ono jest najważniejsze. Gdzie jest?

Ojciec Tim wyjął z pudełka Dzieciątko w żółtku i trzymając je w dłoniach, pokazał wujaszкови.

— Ale chudzinka!

— O, tak!

— A gdzie stajenka?

— Nie mamy stajenki. Przygotowanie wszystkich figurerek, które mamy, zajmie nam cały czas, jaki pozostał jeszcze do Wigilii.

— Tej gromadce potrzebna jest stajenka — stwierdził wujaszek Billy. — Można by w okamgnieniu ją zbić z deseczek.

— Łatwo ci mówić, wujaszku Billy, ale ja nie bardzo umiem sobie radzić z młotkiem i gwoździami. Nie ma wujaszekjakiegoś dowcipu? Człowiekowi przydałoby się trochę rozweselić, aby praca szła lepiej.

— Miałem całkiem niezły, jakiś czas temu, ale na śmierć zapomniałem.

— Aha!

— Moja mózgownica jest pełna przeróżnych rzeczy, ledwie mogę sobie przypomnieć, jak się nazywam.

— To się zdarza o tej porze roku.

— Oto jeden, który powinien wystarczyć, zanim wrócę do formy w opowiadaniu dowcipów. Jeden gość wpadł do jeziora, wie ojciec, i już tonął, gdy w pobliżu zjawił się inny gość i go wyciągnął. Ksiądz tego człowieka powiedział mu: „Powinieneś dać temu człowiekowi pięćdziesiąt dolarów za uratowanie ci życia!” A ten gość na to: „A czy mógłbym mu dać tylko dwadzieścia pięć dolarów? Byłem na wpół żywy, gdy mnie wyciągał”.

— Ojczy Timie?

— Hope! Wejdz, proszę!

Ruszyła prawdziwa lawina.

— Wujaszku Billy! — zawołała, wyciągając dłoń. — j a k się wujaszek czuje? Cieszę się, że wujaszek wychodzi już z domu!

— Zamierzam wrócić do zdrowia!

„Hope wygląda na rozpaloną” — pomyślał ojciec Tim.

„Chłód zimy sprawia, że policzki wszystkich nabierają kolorów”.

— Ojczy, chciałam coś ojcu powiedzieć...

Pomyślał, że jego ulubiony księgarz wygląda nieśmiało niczym gołąbek, a na dodatek wyjątkowo ślicznie.

— To coś szczególnego, ale mogę przyjść później...

Fred wsunął głowę przez drzwi i przyjrzał się zebranej gromadce.

— Przepraszam, proszę księdza, pomagałem rozładować ciężarówkę.

— Nic się nie stało, Fred.

— Jest do ojca telefon. Czy będzie chciał ojciec odebrać w sklepie?

— Idę — zadeklarował wujaszek Billy. — j e s z c z e o w a s usłyszemy.

— Dziękuję za dowcip — rzucił ojciec Tim. — Pośmieję się, jak tylko znajdę wolną chwilę.

Fred zrzucił ciężkie rękawice.

— Wujaszku Billy, może podwieźć wujaszka do domu?

— Nie, proszę pana, rdzewieję jak zawiasy przy starej bramce, muszę podreptać do domu sam.

Ojciec Tim wszedł do sklepu i wziął od Freda bezprzewodowy telefon.

— Tim Kavanagh przy telefonie... Tak. Tak, znam... — powiedział. — Od wielu lat... Silna osobowość, niesamowicie pracowita, uczciwa i nieskazitelna pod każdym względem... Naprawdę, brak mi słów, żeby wyrazić swoje uznanie... Aha! Dzięki Bogu! Mam nadzieję, że zajmą się tym państwo od razu, czas z pewnością nagli...

Z telefonem przy uchu chodził wokół komody w stylu re-gencji.

— Tak, zaiste, będzie to dobre dla wszystkich zainteresowanych — mają państwo moje słowo... W takim razie świetnie. Niech was Bóg błogosławi!

Wszedł do tylnego pokoju, w którym Hope przyglądała się figurkom na półce.

Odwróciła się i uśmiechnęła do niego ze szczerą sympatią.

— Wielkie nieba, ojcze, już dawno nie widziałam takiego uśmiechu, jak u Kota z Cheshire!

— Jak się okazuje, moja droga, ja też mam ci do powiedzenia coś wyjątkowego! Ale może ty pierwsza?

Wzięła głęboki oddech.

Przez wszystkie lata, odkąd znał Hope Winchester, nigdy nie widział, żeby wyglądała tak... *radośnie*. Tak, to właściwe słowo!

— Chciałam ojcu powiedzieć...

— Tak?

— ...że jestem zakochana.

Do oczu w jednej chwili napłynęły mu łzy.

— To Scott, ojcze.

— Tak — odparł. — I brak mi słów, żeby powiedzieć, jak bardzo się cieszę z waszego szczęścia.

Wyjął chusteczkę i wytarł oczy, a następnie uściśnął ją z radością.

Dobry Bóg z pewnością wybrał wspaniały sposób, aby zapełnić puste miejsce przy ich świątecznym stole.

— Ach, i ojcze... — Otworzyła torebkę i wyciągnęła z niej kopertę. — Zanim zapomnę, chciałabym ojcu coś pokazać....

#

Złote rybki pływały w szklanej kuli, schowane przed ciekawskim spojrzeniem w pralni; łyżwy zostały zapakowane w kolorowy papier i ukryte na podłodze w jego garderobie; lodówka i spiżarnia pełne były zapasów; a on nie planował kolejnej wyprawy do Wesley, aż dopiero po odwilży — koniec, kropka, bez dyskusji.

Zrobił listę i sprawdził ją dwukrotnie, w tej chwili — j a k to się mówi — dopinał wszystko na ostatni guzik. Kwestia strzyżenia jednak pozostawała nie załatwiona.

Pełen nadziei, wybrał się w górę Lilac Road, żeby złożyć wizytę Joe Iveyowi.

— Strzygę tylko wtedy, gdy mam ochotę — odparł Joe zajęty haftem krzyżkowym, przedstawiającym świętego Mikołaja znikającego w kominie.

— W takim razie... Masz ochotę?

— Nie, proszę ojca — odparł Joe. — Nie mam.

Po pierwsze, zrobił więc wszystko, co w jego mocy, żeby to załatwić i mu się nie udało.

A po drugie, za żadne skarby świata nie odda swojej głowy w ręce Fancy Skinner. Już nigdy więcej wiejski pastor nie będzie jagnięciem na rzeź!

Po trzecie, nie miał czasu, żeby się tym zająć podczas dzisiejszej wizyty w Wesley, a jeśli nie zamierza się tam wybrać w najbliższym czasie, jedno z ich przepłaconych strzyżeń też nie jest rozwiązaniem.

— Fred — zapytał. — Czy strzygłeś kiedyś włosy?

— Raz obcinałem włosy żonie.

Raz. Nie brzmiało zachęcająco.

— Okazało się, że wygląda dokładnie jak jej brat, wszyscy myśleli, że zaczął nosić spódnicę.

— Hm.

— Przez jakiś czas byłem w niełasce. Ale na przykład mój dziadek, z niego to był prawdziwy fryzjer. Zwykł strzyć mężczyzn w porze strzyżenia owiec. Strzygł też sąsiadów, miał swój mały salon na tylnym ganku.

— Rozumiem.

— Od czasu do czasu wrywał ludziom zęby.

— Był bardzo przedsiębiorczy!

Dooley też nie był rozwiązaniem. Kiedyś przyczynił się do czegoś, co wyglądało na jego szyi z tyłu jak półokrągłe

zębki. Spojrzał na zegarek; otrzymał surowe polecenie, że ma być w domu za czterdzieści pięć minut...

— Czy to ojciec chce, żeby mu przyszczyć włosy?

— Tak, Fred, ja.

Westchnął głęboko.

— Nic bym nie powiedział...

Fred nie dokończył zdania, ale uniósł do góry jedną brew.

Czas uciekał; teraz albo nigdy.

— Co ci jest potrzebne, żeby to zrobić?

— Nożyczki i grzebień.

— Mam grzebień — stwierdził ojciec Tim.

— Ja mam nożyczki — odparł Fred.

— Jak już to robisz... miałem pewne problemy z lewym zębem trzonowym.

Roześmiali się. W najgorszym wypadku będzie mógł włożyć czapkę, wychodząc z domu, a co do nabożeństwa w Wigilię, w oświetlonej świecami nawie będzie i tak dość ciemno.

— Proszę siadać na taboret — zaprosił Fred. — A ja zaraz wracam.

Zrobił, jak mu kazano. „Boże — pomodlił się — byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś nad tym czuwał...”

Wspomniał o tym Cynthii dzisiaj rano, ale tylko mimochodem, tak przy okazji. Nie chciał się za bardzo cieszyć, było za wcześnie.

„Nieomal na pewno będę miał coś dla Ciebie na początku nowego roku...”

Nie jest to nic porywającego i Bóg raczy wiedzieć, czy to będzie wyzwanie...”

Nie potrafił się jednak opanować. Za każdym razem, gdy o tym myślał, czuł mocniejsze bicie serca; przyspieszył kroku, idąc do domu, i przypomniał sobie, że w centrum handlowym dwa razy przyłapał się na tym, iż gwizdze.



9



— Myślałem...

— Czy cuda nigdy się nie skończą?!

Jakże kochał tego ciekawego świata chłopaka o intensywnym spojrzeniu, ze zmierzwioną fryzurą oraz nie chcącymi zniknąć resztkami piegów.

— Nie chcę już nazwiska mojego ojca.

Dooley wpatrywał się w płonący na palenisku w pracowni ogień. Miał zmarszczone czoło.

Zapadła długa chwila ciszy; ogień na kominku buzował; zegar tykał.

Dooley zwrócił się twarzą do niego.

— A gdybym przyjął twoje nazwisko?

Dooley Kavanagh! Było to coś, co omawiał z Cynthia i o co modlił się przynajmniej kilka razy. Teraz była jego kolej, żeby wpatrywać się milcząco w ogień, słuchając własnego serca. „Boże, obdarz mnie swoją mądrością...”

Głos Dooleya był szorstki z emocji.

— Barlowe to złe nazwisko.

— Ale dzięki tobie stanie się dobre.

— Co masz na myśli?

— Doktor Barlowe. Prawdę mówiąc, już teraz sprawiasz, że jest dobrym nazwiskiem. Jestem z ciebie dumny, synu.

— Ale ja nie chcę nic od niego. Nic!

— Masz coś bardzo cennego od niego — twoich braci i małą siostrzyczkę.

Mimo że zapadł już zimowy mrok, nie świeciło się żadne światło, a jedynie ogień oświetlał pracownię.

— Gdybyś miał przybrać nazwisko Kavanagh, uczyniłbyś mi wielki honor. Szczerze mówiąc, byłbym bardzo dumy. Jednakże Barlowe to nazwisko, które przypadło ci w efekcie długiego i skomplikowanego splotu wydarzeń — pamiętam, że czytałem o człowieku nazwiskiem Barlowe płynącym jako kapitan z sir Walterem Raleighem podczas jego pierwszej wyprawy do Wirginii w szesnastym wieku. Fakt, że pomógł w dotarciu statku do celu i szczęśliwym powrocie do Anglii, był w tamtych czasach nie lada wyczynem.

Dooley wzruszył ramionami.

— Korzenie twojej rodziny sięgają czasów anglosaskich i można je wyprowadzić ze starożytnych terenów Anglii. Dlatego twoje nazwisko uosabia dużo więcej niż pokrewieństwo z mężczyzną, który cię porzucił i sprawił ci tak wiele cierpienia — można powiedzieć, że to część tego, kim jesteś...

Tykanie zegara, chrapanie jego psa...

— ...i, synu...

— Tak?

— Jesteś ulepiony z bardzo szlachetnego materiału.

Dooley wpatrywał się w ogień, milcząc.

— Może zastanowisz się nad tym jeszcze przez jakiś czas? Upewnij się co do swoich uczuć.

Dooley czekał, potem kiwnął głową z zaciśniętymi ustami.

— Dobrze.

— Pamiętaj, proszę, że szanuję twoje uczucia. Mimo że nigdy nie myślałem o zmianie mojego nazwiska, bywały chwile, gdy dałbym wszystko, by zerwać wszelkie więzi z moim własnym ojcem.

Dooley wyglądał na zaskoczonego.

— Porozmawiamy o tym kiedyś. — Spojrzał na zegarek. — Mówiłeś, że musisz wyjść z domu przed szóstą trzydzieści. Jest szósta dwadzieścia pięć.

Dooley nadal siedział w fotelu, nie szykując się do wyjścia.

— Następne lato w Meadowgate będzie naprawdę wspa-
niałe.

— Tak! To prawda.

— Zawsze brakowało mi ciebie i Cynthii, gdy spędzałem
tam wakacje.

— Naprawdę?

Pamiętał, jak bardzo czuł się osamotniony, gdy Dooley
postanawiał spędzić lato w Meadowgate zamiast z nimi; nie-
omal łamało mu to serce.

Dooley spojrział na swoje mokasyny.

— Czy chciałbyś mi jeszcze coś powiedzieć, synu?

— Tak, proszę ojca. — Dooley wziął głęboki oddech. —
Chcę podziękować.

— Za co?

— Za wszystko.

Co mógł powiedzieć?

— Ja też ci dziękuję.

— Cóż... — rzucił Dooley.

— Idziesz do kina?

— Na kolację.

— Aha.

Stąd marynarka.

— Z Lace.

Był najbardziej wścibskim człowiekiem na świecie, ale
nie zamierzał zadawać dalszych pytań.

— Są jej urodziny.

— Jej urodziny! Ile ma lat?

— Dziewiętnaście. Jest o rok młodsza ode mnie.

Aha.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął portfel i wyjął dwie dwu-
dziestki.

— Dokąd ją zabierasz?

— Do panny Sadie.

Kilka osób w miasteczku wybierając się do włoskiej re-

stauracji państwa Gregorych — Lucery — mówiło, że idzie do panny Sadie, ponieważ lokal mieścił się na pierwszym piętrze jej dawnej posiadłości Fernbank.

— Wobec tego! — odparł, wyjmując jeszcze jedną dwudziestkę.

Lucera to nie była restauracja typu bar dla zmotoryzowanych; jak sobie przypominał, *piccata* z cielęciny kosztowała jedyne 24,95 dolarów.

— Kluczyki do samochodu są na stoliku w holu.

— Dziękuję, tato.

Dooley uśmiechnął się i upewniając się, że pan Jackson na każdym z trzech banknotów spogląda w tę samą stronę, złożył je i wsunął do kieszeni spodni khaki.

— Musi być w domu o jedenastej trzydzieści. Będę z powrotem tuż potem.

— Dooley...

— Tak, proszę ojca?

„Kocham cię”, chciał powiedzieć.

— Baw się dobrze! Pozdrów Lace. Życz jej od nas wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

— Dobrze! Na pewno tak zrobię.

— Bądź ostrożny.

— Tak, proszę ojca.

— Pamiętaj, że ogrzewanie w samochodzie zaczyna działać dopiero po chwili, a radio odbiera tylko jedną stację.

— W porządku. Do zobaczenia później.

— Zapowiadają na dzisiaj śnieg!

Dooley zniknął w drzwiach kuchni; ojciec Tim wybiegł za nim do holu.

— Dooley?

Dooley odwrócił się; światło lampy przy schodach oświetlało mu twarz.

— Tak, proszę ojca?

— Kocham cię — powiedział głosem łamiącym się ze wzruszenia.

#

— Gdzie, u licha, są moje uchwyty?

Jego żona zagroziła mu drogę, zanim zdażył wejść po tylnych schodach, wracając od pojemnika na śmieci.

— O jakie uchwyty ci chodzi?

— O te, które były na mojej szafce pod szufladą ze srebrem! Jak ma człowiek otworzyć drzwiczki?

— Wsuń przekłety nóż pod drzwiczki i same się otworzą.

Dzisiaj rano było bardzo zimno; wujaszek Billy wsunął jedną rękę do kieszeni kurtki i począł wymachiwać drugą, w której trzymał laskę.

— Wpuść mnie do domu, na litość boską!

— Wpuszczę cię do domu, Billu Watson, jak mi powiesz, co zrobiłeś z moimi uchwytami!

— Dałem je świętemu Mikołajowi, ot i wszystko!

— Mikołajowi, już ci uwierzę!

— Przyszedł i powiedział, żeby mu je dać, więc tak zrobiłem! W tych szafkach i tak nic nie ma, tylko kupa papierowych kubków, które przyniosłaś do domu z kościoła.

— I ciasteczka z figami — dodała, spoglądając na niego z pogardą.

Droga Louise!

Dziękuję, że zadzwoniłaś do mnie wczoraj wieczorem. Ja też za Tobą tęsknię. Wiem, że możesz się czuć samotna w domu bez mamy, i nie winię Cię za to, iż chcesz coś zmienić, choć zmiana może być trudna. Uczę się, że Bóg chce dla nas jak najlepiej i jeśli

będziemy się modlić o to, by w naszym życiu działa się Jego wola, pokaże nam, jak i kiedy zrobić krok do przodu, i pomoże nam w tym.

Wiesz, że w końcu się poddałam, i wtedy ojciec Tim otrzymał telefon. Zadzwonili do mnie nieomal w ostatniej minucie! Jakie to dziwne, że mój list zaginął i gdy przeczytali go pani Mallory, mrugnęła oczami na znak zgody! Bóg pomagał mi w tym od samego początku i będzie również pomagał Tobie dokonać wielkiej zmiany w życiu.

Właśnie dlatego piszę. Wierzę, że Bóg podsunął mi jeszcze jeden wspianały pomysł. Mam nadzieję, że Tobie też wyda się cudowny.

Wiem, że zabrmi to niewiarygodnie, ale zawsze uwielbiałam dzielić z Tobą pokój, a nawet nasze ubrania. Jedyna rzecz, która była absolutnie i wyłącznie moja, to błękitny sweter z haftem, wiem, że wykradałaś mi go i nosiłaś, gdy nie było mnie w pobliżu!

Louise, czy zgodzisz się ponownie dzielić ze mną pokój?

Czy przyjedziesz do Mitford, zamieszkaż ze mną w pokoju nad Księgarnią Szczęśliwych Zakończeń i pomożesz mi prowadzić księgarnię? Nie będę w stanie zapłacić Ci dużo na początku, ale możemy wynająć dom mamy, co poprawiłoby sytuację, a w miarę jak będzie rozwijał się interes i uregulujemy dług, będę Ci płaciła tyle, ile obie uznany za sprawiedliwe wynagrodzenie.

Nigdy nie lubiłaś swojej pracy na komputerze w szpitalu i wydaje mi się, że polubiłabyś tę księgarnię, tak jak ja. Radziłabyś sobie tak świetnie z letnim programem czytania. Helen nigdy nie chciała tego robić, a ja zamierzam urządzić go następnego lata! Byłabyś również najlepszą możliwą pomocą przy rozwijaniu sprzedaży rzadkich książek, która w całości prowadzona jest przez Internet.

Ale najlepsze zostawiłam na koniec, a mianowicie ~

Myśle, że będziesz zachwycona mieszkaniem w Mitford! Chodzę na piechotę prawie wszędzie, znam wszystkich w miasteczku i wszyscy znają mnie. Ludzie tutaj są naprawdę wspianali

(z reguły!), mogę z czystym sumieniem obiecać, że w Mitford odnajdziesz nowe, cudowne życie, tak jak ja.

Chociaż nie lubisz wyjeżdżać z Granville, jest oddalone od Mitford o zaledwie sto siedemdziesiąt cztery kilometry i zasadniczo po drodze są zaledwie trzy skrety — wszystkie w lewo!

Wiem, że spada to na Ciebie jak grom z jasnego nieba, ale jeśli się nad tym zastanowisz, to wiele dobrych rzeczy w naszym życiu pojawia się właśnie w ten sposób.

*Serdeczne pozdrowienia
Hope*

PS: Postanowiłam napisać ten list, zamiast zadzwonić, ponieważ w ten sposób będziesz miała możliwość, by wszystko przemyśleć. Modlę się za Ciebie i tak się cieszę na myśl, że może powiesz tak!

PPS: Żałuję, że nie możesz zobaczyć choinki w oknie nad księgarnią.

Hope złożyła list, włożyła go do koperty koloru kości słoniowej, polizała skrzydełko i zakleiła ją. Po Bożym Narodzeniu powie Louise o Scotcie. Jej uczucie do Scotta było bardzo czułe i osobiste, jeszcze nie potrafiła rozmawiać o tym z nikim, chociaż ojciec Tim, oczywiście, wiedział.

Podeszła do kuchenki i nastawiła wodę na herbatę, potem rozejrzała się po swoim nowym pokoju z obrazami na ścianach, biblioteczkami pełnymi książek, które kochała od lat i koronkowymi firankami, przez które popołudniowe, niedzielne światło padało na wypłowiały dywan. Wiedziała, że jeszcze nigdy nie czuła się taka szczęśliwa, tak pełna nadziei ani tak głęboko wdzięczna.

Zaparzyła herbatę, po czym zaniósła dzbanek i kubek na biurko, przy którym usiadła wygodnie w ulubionym, starym

fotelu, który stał na osłoniętym siatką ganku mamy, i z pudełka wyjęła jeszcze jedną kartkę koloru kości słoniowej. Zatrzymała nad nią pióro, uśmiechając się.

„Scott Lewis Murphy” — napisała.

Scott Lewis Murphy

Scott Lewis Murphy

Było też inne imię i nazwisko, które chciała napisać, ale nie, nie może nawet o tym myśleć. Nie może jeszcze mieć nadziei na coś tak cennego...

Nalała kubek herbaty, napiła się łyk i obserwowała światło tańczące na dywanie. Zdała sobie sprawę, że ponad wszystko pragnie napisać to drugie imię i nazwisko, obawiała się jednak, że uczynienie tego przyniesie pecha.

Potem sobie przypomniała — nie wierzy już w łut szczęścia ani w pecha. Wierzy w łaskę, i tylko w łaskę.

Pani Scott Lewis Murphy

Pani S.L. Murphy

Hope Elizabeth Murphy

#

Dooley roześmiał się, gdy go zobaczył.

— Absolutnie nie dam rady zrobić tego wielbłąda!

— Jak ja umiałem, to ty też będziesz umiał.

— Nie, proszę ojca, to zbyt trudne, nigdy nie umiałbym tego zrobić. To stworzenie jest ogromne.

— Tak. Zgadzam się. Ale trzeba go zrobić i liczyłem na ciebie. Zostało mi dość czasu, żeby pomalować Najświętszą Marię Pannę i Dzieciątko.

— Przepraszam. Naprawdę. Nie mogę. To jest... — Doo-

ley szukał słowa, ale nie potrafił znaleźć odpowiedniego. — Nie mogę.

— Możesz wybrać kolor, wymieszałbym go, a potem mógłbyś nałożyć pędzlem... Trzeba by nadać mu lekki efekt chropowatości...

— Bardzo lekki — włączył się Fred.

— Nie. Nie mogę. Naprawdę. Myślałem, że wystarczy pochłapać farbą, coś jak odrobina dobrej zabawy.

— To jest dobra zabawa. Możesz mi wierzyć.

— A co się stało z jego uchem? Czy będę musiał coś zrobić z jego uchem? — Dooley myślał przez chwilę. — Nie, proszę ojca — powiedział w końcu zdecydowanym głosem. Nie mogę tego zrobić. Ale wszystko wygląda wspaniale. Nie mogę uwierzyć, że sam tyle zrobiłeś.

Ojciec Tim błagalnie spojrział na Freda.

— Moja żona ma dzisiaj swoje spotkanie klubu rękodzieła, robią kapy. Mogę ojcu pomóc.

— Damy radę?

— Zajmie nam to kilka wieczorów, ale damy radę!

Pochylił się i przybił Fredowi piątkę.

— Ten wielbłąd jest fatalnie pomalowany — ocenił Dooley. — Dlaczego ktoś zrobił mu wokół oczu czerwoną obwódkę? Wygląda, jakby miał za sobą kilka tygodni egzaminów, jeden po drugim. A ten koc pomiędzy garbami jest naprawdę dziwnego koloru.

— A więc, przyjacielu, na jaki kolor pomalowałbyś koc?

— Na czerwono.

— Kolor twoich włosów — odparł ojciec Tim.

Dooley roześmiał się.

— Jesteś poetą i nawet o tym nie wiesz! — powiedział ojcu Timowi Fred.

Taki spokojny, jak zamierzał, taki opanowany, jak chciał, widział na własne oczy, że wszystkie jego dobre intencje sypią się w gruz — był beznadziejnym przypadkiem. Nadeszła Wigilia i nie było spoczynku dla potępionych.

Farba, farba i jeszcze więcej farby — pracował nad tym wielbłądem do utraty tchu, podobnie jak Fred, i nadal był to wielbłąd, na którym nie chciałby osobiście jechać przez pustynię.

I czy miał wszystko, co będzie mu potrzebne do zrobienia polewy do szynki, czy też tylko mu się wydaje, że widział słoik melasy na półce w spiżarni?

— Boże — szepnął w ciemnym pokoju. — Czy mógłbyś pomóc mi we wszystkim, co dzisiaj będę robił? I, jak rzekł pan Szekspir: „dzięki, dzięki, po tysiącokroć dzięki”!

Zbudzony o czwartej szumem wiatru i na nogach o piątej, był niczym silnik na wysokich obrotach, bez wyłącznika.

— Ojczy nasz, który jesteś w niebie — modlił się na głos, mieląc kawę.

Słowa te zawsze przynosiły mu ukojenie, nawet wtedy, gdy nie mógł się skoncentrować; pomagały mu zebrać myśli. Nie każdą modlitwę dawało się wypowiedzieć w czułym sanktuarium świętego spokoju; człowiek musiał robić, co do niego należy.

— Święć się imię Twoje...

Pojedzie do Lord's Chapel o piątej po południu, żeby sprawdzić, jak postępują prace przy dekorowaniu jedliną kościoła i sprawy ogółem, potem zajrzy do Oksfordzkich Antyków i załaduje figurki do bagażnika samochodu. Przyniesie je do domu, gdy Cynthia pójdzie na górę przebrać się na pasterkę i ustawi je wszystkie na swoim miejscu pod choinką — myśl o tym sprawiała mu trudną do opisanego radość. Zaprowadzi Cynthię do samochodu przez tylne drzwi i dopiero po powrocie do domu z Lord's Chapel wejdą do salonu...

Wkładając filtr do sitka, przypomniał sobie, że zaczął mo-

dlitwę, ale nie miał pojęcia, w którym momencie wyleciała mu z głowy.

— Ojciec nasz, który jesteś w niebie...

Wcisnął przyciski ekspresu do kawy, aż pojawiło się czerwone światło i zauważył, że miga zegar. Poklepał kieszeń swojego najstarszego szlafroka, szukając okularów, ale znalazł jedynie zwiniętą papierową chusteczkę, pozostałość po ostatnim ataku grypy.

I choinka... dzięki Bogu za Harleya Welcha, który pojedzie do Ashe County pojedzie kę Frasera i po lunchu przywiezie drzewko, następnie je postawi, napełni stojak wodą i wyniesie brzydkie gałązki, które wcześniej obetnie...

— Święć się imię Twoje!

Zdjął zniszczony szlafrok, naciągnął spodnie od dresu na dół od piżamy — ta czynność spowodowała utratę jednego pantofla, który zjechał mu ze stopy i utknął gdzieś w okolicy kolana; potrząsnął nogą, ale pantofel nie chciał wypaść przez nogawkę dresu, wsunął więc prawą rękę przez gumkę w pasie i wyciągnął go, a następnie cisnął w głąb pokoju. Barnaba śledził wzrokiem linię lotu, nie poruszając głową.

Co do wielbłąda, przypuszczał, że będzie zmuszony schować go z tyłu, być może po drugiej stronie, pod nisko zwisającymi gałęzmi choinki, którą udekorują przed nabożeństwem w kościele.

Aha! Oto i sweter, którego szukał, w koszu pod wieszakiem. Wciągnął go na górę od piżamy, a na to nałożył dwurzędową kurtkę o marynarskim kroju, którą znalazł w sklepie wojskowym/marynarskim w Wesley.

— Przyjdź królestwo Twoje...

Miał nadzieję, że Mule będzie pamiętał o odebraniu ciast i umocowaniu ich, żeby nie jeździły po bagażniku auta... Ach, tak, i musi pamiętać, by zabrać swój czarny kapelusz na zbiórkę pieniędzy na bilety do Waszyngtonu. Zdjął kapelusz

z wieszaka i pchnął nim po wypastowanej podłodze w holu jak kulą do gry w kręgle. Kapelusz zatrzymał się przy zejściu na schody, gdzie nie będzie mógł go nie zauważyć, wychodząc frontowymi drzwiami w południe do baru Grill.

Skonstatował, że sapie jak parowóz.

Po powrocie spod pomnika nie może zapomnieć o przeczytaniu porannego oficjum brewiarzowego i o modlitwie. W istocie, musi skupić swój żałosny umysł na modlitwie jak najszybciej albo przez cały boży dzień będzie do niczego.

Porwał swoje wełniane skarpety z kosza i z pantoflem tylko na jednej stopie pośpieszył do pracowni, gdzie opadł na fotel i naciągnął wełnianą skarpetkę na jedną stopę, a potem na drugą, po czym wepchnął je do butów na grubej gumowej podeszwie i zawiązał sznurówki.

Następnie skierował się do kuchni, po drodze zabierając z wieszaka czapkę i czerwoną smycz, a potem wybiegł przez drzwi, zamykając je za sobą.

— Po pierwsze, bądź zawsze dobrej myśli — wykrzyknął, a jego oddech na mroźnym powietrzu zamienił się w parę. — Po drugie, stawaj zawsze oko w oko z przeciwnościami i traktuj je tak, jak na to zasługują!

Stawał oko w oko z przeciwnościami i traktował je tak, jak na to zasługiwały.

— A są... — sapał, szukając odpowiedniego słowa — szalone!

Wiało dość mocno, a termometr nieubłaganie wskazywał temperaturę dokładnie minus pięć stopni. Wyciągnął rękawice z jednej kieszeni, a z drugiej wysuptał wełniany szalik.

— Ojczy nasz...

Owinął szalikiem szyję i potrząsnął głową, jakby chciał wyrzucić cały mętlik, który się w niej kotłował.

— ...który jesteś w niebie.

Naciągnął czapkę na uszy, zanim zdążyłby ją porwać wiatr i cisnąć na latarnię gdzieś w Johnson City.

Wzdychając głęboko, w wyniku czego jego płuca wypełnił haust lodowatego powietrza, spojrzał na czerwoną smycz zawieszoną na jego odzianej w rękawicę dłoni i usłyszał, jak pies szczeka w kuchni.

#

— Niespodziaaanka!

— Oto jesteśmy!

W Mitford tłumy zawsze zjawiały się wcześniej i dzisiaj okazja niczym nie różniła się pod tym względem od poprzednich.

— Wesołych Świąt!

— Niespodzianka! Niespodzianka!

— Nie zdążyliśmy jeszcze umyć naczyń — bronił się Percy, wycierając ręce w fartuch.

— Zdejmuj ten fartuch, dzisiaj świętujemy!

Lois Holshouser, która była emerytowaną nauczycielką sztuki teatralnej w szkole średniej w Wesley i która miała ochotę na więcej przyjemności w życiu, rozwiązała fartuch Percy'ego i rzuciła go na ladę, gdzie wylądował na pudełku z ciastem.

— Uwaga! — krzyknął Mule.

Woził te ciasta przez całe rano, zwalniając przy każdym wyboju na drodze.

— Musimy wyciągnąć ciasta z pudełka! — zawołał ojciec Tim.

Czy Mule myślał, że ciastka same wyskakują z pudełka i się serwują?

— Proszę — dodał, stawiając stos talerzy na ladzie.

— Co mam z nimi zrobić?

— Zaczynj kroić ciasto w cienkie plasterki; musi wystarczyć do nakarmienia całej armii.

— Czym mam kroić?

— Nożem!

Pchnął go po ładzie w jego stronę.

— A niech mnie! — zawołał Mule. — Powinieneś być kupić ten lokal i go prowadzić.

— Plastikowe widelce, plastikowe widelce — powtórzył ojciec Tim, szukając ich pod ładą. — Percy, gdzie są plastikowe widelce?

— Pod pojemnikiem na chleb! — poinstruował go Percy.

Ludzie kłębili się w jego lokalu jak chmara much, z trudem powstrzymywał się, żeby nie zacząć krzyczeć.

— Usiądźcie, na litość boską!

— Hej, Mule, kiedy kawa będzie gotowa?

Coot Hendrick najwyraźniej doznał cudownego uzdrowienia.

— Jeszcze chwilę — rzucił Mule. — Dopiero zaczęła kapać.

— W takim razie możesz mi zrobić szklanekę herbaty, chętnie napiję się herbaty.

— Mamy tylko kawę, bierz albo nie.

— Nie musisz tak na mnie krzyczeć — odparł Coot.

Zakaszłał głośno, by przypomnieć wszystkim, że był bardzo chory i że zapalenie płuc to poważna sprawa, nawet jeśli nie wymaga hospitalizacji.

— Niespodzianka! — zawołał nowo przybyły uczestnik imprezy.

— To żadna niespodzianka — zaprzeczył Percy, który był już zmęczony słuchaniem, że tak jest.

— Jak to możliwe? — chciał wiedzieć Mule. — Powieździeliśmy wszystkim, że mają nie pisnąć ani słówka.

Velma, która najwyraźniej spędziła większą część przedpołudnia u Fancy Skinner, spojrzała sponad okularów.

- Ta papla Jenkins wszystko wygadała.
- Dlaczego woda leje się z tego przeklętego zaparacza na cały palnik? — zdziwił się ojciec Tim. — Mule, czy możesz tu podejść i spojrzeć na to?
- Kroję ciasto, przyjacielu. Zapytaj Percy'ego.
- Percy pracował za tą ladą przez czterdzieści lat. Niech odpocznie.
- Rób, co chcesz, cieknie na podłogę.
- Do licha! Wcisnął guzik wyłączenia.
- Ray Cunningham usiadł na wysokim krześle.
- Słyszę, że lokal stawia kawę! Poproszę jedną małą dla mnie i jedną dla byłej pani burmistrz.
- Ray, dobrze cię widzieć! — ucieszył się ojciec Tim. — Esther, czy wiesz, jak obsługuje się ten przeklęty zaparacz do kawy?
- Ich była pani burmistrz potrafiła naprawić wszystko, włącznie z ludzkim życiem.
- Już idę — stwierdziła Esther. — Zajmę się tym.
- Wielebny, co słyszać?
- Harley Welch uśmiechał się od ucha do ucha.
- Hej, przyjacielu. Poczęstuj się kawałkiem ciasta. Oczekujemy cię jutro przy naszym świątecznym stole.
- Zrobiłem już blachę ciasteczek z nadzieniem toffi. Uważam, że są lepsze, gdy postoją przez noc.
- To działa w przypadku wielu innych rzeczy w życiu. Tylko spojrz, Lew Boyd!
- Ojczy, przedstawiam panią Earlene Boyd.
- Earlene!
- Wszyscy spojrzeli w ich stronę. Musiał krzyknąć.
- Miło mi ojca poznać, ojczy Timie.
- Na niebiosa, jesteś śliczna jak z obrazka.
- Kto to taki? — dopytywał się Coot Hendrick.
- Moja żona. Pani Earlene Boyd.
- Hej — witała się Earlene, ściskając wszystkim dłonie.

— Kto taki? — upewniał się któryś z gości. — Co on powiedział?

— Jego żona.

— Jego żona? Nie wierzę! Jest zbyt ładna, żeby się z nim zadawać.

— Z Tennessee — wyjaśnił Lew.

Kiwał się na nogach, a duma rozsadzała mu pierś, grożąc rozerwaniem zamka w kurtce.

— Tennessee! — zawołała Lois Holshouser. — Chodziłam kiedyś z chłopakiem z Tennessee. Nazywał się Junior jakiś tam, ciemne włosy, średniej budowy, znasz go może? Chętnie bym go odwiedziła.

Percy z prawdziwą radością potrząsał dłonią Lew.

— Gratuluję!

— Wydaje mi się, że się trochę spóźniłem po odbiór nagrody.

— Sam sobie przywiozłeś nagrodę, przynajmniej na to wygląda.

Earlene uśmiechnęła się do ojca Tima.

— Lew powiedział mi, że zna ojciec naszą sytuację. Bardzo dziękuję, że ojciec mu pomógł.

— Nie jestem pewien, czy rzeczywiście pomogłem, Earlene. Ale muszę przyznać, że cieszymy się z poznania ciebie. Czemu zawdzięczamy tę cudowną niespodziankę?

— Dwa dni temu mama usiadła na łóżku i spojrzała na mnie, jakby mnie rozpoznawała. I wie ojciec, co powiedziała?

— Chętnie usłyszę.

— Powiedziała: „Earlene, chcę, żebyś była szczęśliwa”.

— Ach!

— Ścięła mnie z nóg, nigdy niczego takiego nie mówiła. Odparłam: „Mamo, czy mogę ci coś powiedzieć?” Odczuwałam spokój, który mówił mi, że mogę to ujawnić. Powiedziałam więc: „Mamo, jestem szczęśliwa, jestem żoną wspańskiego mężczyzny”. Przez cały czas myślałam, że zaraz

dostanie ataku serca i że wszyscy będą mnie za to winić, ale ona poklepała mnie jedynie po ramieniu. — Łzy napłynęły do oczu Earlene. — Zapytałam: „Mamo, czy mogłabym pojechać na parę dni do Karoliny Północnej?” Odparła: Jedź, słonko, chcę, żebyś była szczęśliwa”. To dokładnie jej słowa. Poprosiłam więc sąsiadkę, żeby zamieszkała w naszym domu przez pięć dni.

— Pięć dni! — cieszył się Lew.

— Za dziewięć miesięcy przechodzę na emeryturę, a potem przeprowadzam się do Mitford. Tak się cieszę!

— Jesteśmy dumni, że z nami zamieszkaasz — zapewnił ojciec Tim.

— Lew zgodził się, żeby moja mama zamieszkała z nami.

Grdyka Lew poruszała się szybko.

— Mamy dodatkową sypialnię.

— Chciałam, żeby moja wizyta była niespodzianką, więc gdy dotarłam tutaj wczoraj wieczorem, zaparkowałam za żywopłotem z ligustru i czekałam, aż przyjedzie Lew. Gdy wszedł do domu, wsunęłam głowę przez drzwi i zawołałam: „Czy jest ktoś w domu?” Nieomal zemdlałeś, prawda, kochanie? Ojczy, czy lubi ojciec niespodzianki?

— Muszę ci powiedzieć, Earlene, że niekoniecznie, ale moja żona uwielbia.

Nowi goście pojawiali się w drzwiach, sprawiając, że ci, którzy przybyli wcześniej przesuwali się coraz bardziej do tyłu.

— Czy dobrze słyszałem, że dajecie swojemu synowi w prezencie glebogryzarkę? — Bob Harley upewniał się w rozmowie ze swoim sąsiadem z boksu.

— Zgadza się.

— Ma czterdzieści dwa lata i stałą pracę. Dlaczego nie może sobie sam kupić glebogryzarki?

— Staramy się być mili dla Harry'ego; on będzie wybierał dla nas dom opieki.

Była pani burmistrz Mitford doprowadziła do porządku

zaparzacz do kawy i serwowała napój, jakby startowała w kampanii do tego urzędu.

— Percy, ty wariacie, a skąd ja wezmę w przyszłości przyzwoity talerz kaszy na śniadanie?

— Nie mam pojęcia — odparł Percy. — I nie licz na to, że dostaniesz kaszę w Wesley, oni tam uczą się w college'u i nie jedzą kaszy.

Wszyscy byli wyraźnie zadowoleni, widząc swoją byłą panią burmistrz w akcji, szczególnie że ich obecnego burmistrza wezwały obowiązki i uczestniczył w spotkaniu towarzyskim w siedzibie gubernatora.

— Gratuluję, szczwany lisie!

Omer Cunningham, lotnik, dobry duch i krewny byłej pani burmistrz Esther Cunningham kroczył przez tłum, a jego duże zęby lśniły jak klawiatura fortepianu.

— Dokąd wybieracie się z Velmą?

Omer klepnął Percy'ego w plecy tak mocno, że ten niemal wpadł na skrzynkę z napojami.

— Po wstawaniu codziennie od stu lat o czwartej rano zamierzam położyć się do łóżka i spać, aż do Groundhog Day*. Velma jedzie do schroniska dla zwierząt po przeklętego kota.

— Nie bierzcie kota, weźcie psa! — radził ktoś.

— Nie bierzcie psa, weźcie małąkę!

— Nic nie bierzcie — radził szefbrygady pożarniczej. — Zwierzęta przywiązują ludzi do domu; kupicie sobie czworonoga i nigdy nie zobaczycie kwitnących wiśni, możecie mi wierzyć.

Percy rozejrzał się po sali — wszystkie boksy i wysokie krzesła były zajęte; zostały już tylko miejsca stojące. Gdzie byli ci wszyscy gamonie, gdy tego lata interes się nie kręcił kilka razy?

* Groundhog Day — 2 lutego. W Stanach dzień, w którym przepowiada się długość zimy, tzw. dzień świstaka.

— Przemówienie! Przemówienie! — krzyknął ktoś z tyłu.

— Zaczekajcie!

J.C. wtargnął frontowymi drzwiami, sprawiając, iż zgromadzonych owionęło lodowate powietrze.

— Miejsce dla prasy!

— Ojej! — szepnęła Minnie Lomax, która specjalnie na tę okazję zamknęła Irish Woolen Shop. — To J.C. Hogan, on zawsze chce grać pierwsze skrzypce.

Wszystkich oślepił flesz, potem kolejny i jeszcze jeden.

— Stań tam z Velmą — polecił wydawca. — Velmo, spójrz tutaj i uśmiechnij się do mnie szeroko! Wiem, że trudno ci się do mnie uśmiechnąć, ale zmusz się, no proszę, druga Betty Grabe. No dobrze, a teraz zdjęcie Percy'ego przy grillu. Hej, Mule, zabierz swój duży tyłek z tego ujęcia i pozwól Percy'emu podrzucić coś na grillu...

— Jego ostatni podrzut! — zawołał Coot Hendrick.

Lois Holshouser zmarszczyła nos.

— Kto zrobił to ciasto? Esther Bolick nie miała z tym ciastem nic wspólnego, od razu mogę wam to powiedzieć.

— Sklepowe — stwierdziła Winnie Ivey Kendall, która postanowiła się nie częstować.

— Czyj to kapelusz? — dopytywał się Avis Packard. — Ktoś dał mi ten kapelusz. Czy to twój kapelusz?

— Powinieneś coś do niego włożyć.

— Na przykład?

— Pieniądze. Na kwitnące wiśnie.

— Jakie kwitnące wiśnie?

Faye Tuttle obwieściła Esther Cunningham smutną nowinę o swojej krewnej.

— Dystrofia — powiedziała Faye, potrząsając głową.

J.C. otarł czoło papierową serwetką i wręczył swojego nikon Lew Boydowi.

— Proszę bardzo, przyjacielu, wygrałeś wspaniały konkurs fotograficzny, strzel tej zgrai zdjęcie z Percym i Velmą.

Chodź, Mule, zapraszam, ojczy, chodźcie. O tak, patrz tutaj i przyciśnij ten guzik...

Błysk. Kolejny błysk.

— Przemówienie! Przemówienie!

Brawa, tupanie. Dzwonienie łyżeczki o kubek.

— Przez ostatnie czterdzieści cztery lata wygłosiłem wiele przemówień — zaczął Percy. — A wy zapomnieliście wszystko, co powiedziałem. Nie zamierzam więc wygłosić dzisiaj żadnego przemówienia, powiem tylko, że...

Przez te wszystkie lata jako stały klient ojciec Tim jeszcze nigdy nie słyszał, żeby Percy'emu Mosely'emu uwiązał głos w gardle. Na wszelki wypadek, gdyby miało się to okazać zaraźliwe, wyjął z kieszeni kurtki chusteczkę.

— ...powiem tylko, że...

— Co on powiedział? — dopytywał ktoś z tyłu.

— ...powiem, że...

— Wygląda na to, że nie może tego powiedzieć.

To było zaraźliwe, bez dwu zdań. Ojciec Tim rozejrzał się dookoła i zobaczył, że kilka osób ociera łyzy. Velma wysunęła się przed tłum.

— Próbuje powiedzieć, że chciałby podziękować za wszystkie wspomnienia.

— Tak! — zawołał Percy, wycierając nos.

Brawa. Gwizdy.

— Wspaniałe przemówienie! — pochwalił Coot.

— Nie możesz zapomnieć o drzemce — nalegała Cynthia.

Siorbali jej zupę ze smażonej czerwonej papryki i pomidorów. Mógłby zjeść cały garnek tego specjału.

— Położę się na sofie, gdy skończymy ubierać choinkę i popatrzę na światełka. Jestem pewien, że usnę.

— Uważam, że powinieneś się zdrzemnąć co najmniej na pół godziny. Ale czy naprawdę chcesz się położyć na tej sofie? Uch! Jest taka wiktoriańska, nie może być wygodna.

— Wezmę poduszkę z łóżka.

— Przyniosę ci ją i koc.

— Dziękuję. Obydwoje byliśmy zbyt zajęci, do licha. Siorbnięcie. Trudno jest nie siorbać zupy.

— Ale jest światełko na końcu tego tunelu, moja kochana!

— Czy udało ci się skończyć no-wiesz-co?

— Tak, ale niewiele brakowało. A co z twoim no-wiesz-czym? Zapach, który dochodzi z twojej pracowni, jest straszny. Co to takiego?

Roześmiała się.

— Zobaczysz!

Przechylając głowę na bok, utkwiała w nim spojrzenie chabrowych oczu.

— Wiesz, o czym cały czas myślę?

— To, że w ogóle jesteś obecnie w stanie myśleć, stanowi dla mnie niepojęty cud.

— O naszej wyprawie do Irlandii.

— Ach.

— Jedziemy?

— Jeśli Bóg pozwoli, jedziemy!

Rozpromieniła się.

— A więc czy wszystko jest przygotowane do nabożeństwa dzisiaj w nocy?

— Tak. Muszę jedynie zajrzeć dzisiaj około piątej do kościoła, żeby zobaczyć, jak radzi sobie brygada zdobiąca je-dliną kościoła.

Odsunął krzesło i wstał od stołu.

— Zabójcza ta zupa, moja droga!

— Czy mogę ci w czymś pomóc?

— O tak. O dwunastej bądź w ławce, gdzie zazwyczaj siedzisz, gdy odprawiam nabożeństwo.

— To wszystko?

— Tak.

Pochylił się, ujął ją za podbródek i niespiesznie pocałował.

— Lubię patrzeć, jak twoje rzęsy poruszają się w górę i w dół, i małe gwiazdki dobywają się z ciebie.

#

To była piękna choinka.

Przez lata miał sosnę wejmutkę, cedr, srebrny świerk i jodłę Frasera. Jodła była jego ulubionym drzewkiem, zdecydowanie, mimo że darzył dużą sympatią cedr.

Ani on, ani Cynthia nie posiadali jakiegoś specjalnego zestawu ozdób, jedynie przeróżną zbieraninę, w której posiadanie weszli, a która uniknęła potłuczenia w czasie ich przeprowadzek. Ale co za widok! Choinka była wspaniała, nie mieli takiej cudownej już od lat, a kolorowe światełka były po prostu doskonałe; uwielbiał kolorowe światełka.

Dzień zaczął się szalenie, ale Bóg w swojej lasce go naprawił, i Tim czuł się teraz szczęśliwym człowiekiem. Leżał z głową na poduszce, która lekko pachniała wisterią, naciągnął koc i słuchał chrapania swojego psa, leżącego pod fotel z wysokim oparciem. Ten zapach w pokoju! Ten surowy, zielony, żywy zapach, którym zniewoleni przez cywilizację mogli się delektować tylko raz w roku...

Zamykając oczy, wdychał woń niczym spragniony wody wędrowiec.

— Tamta przy słupku — co powiesz na nią?

— Jest za bardzo zakrzywiona przy czubku. Gwiazda mogłaby spaść.

— A co powiesz na tę tutaj? Zaraz na nią wejdziemy.

Zapach lasu i zimowego pastwiska, skrzypiący szron pod stopami, mróz kłujący w policzki, szorstki sznurek od sanek w jego dłoni i Peggy z głową owiniętą czerwoną chustką...

— Ta mi się podoba — powiedział, pokazując palcem.

— Twoja mama mówiła, żebyś nie pokazywał palcem.

— No to jak mam ci pokazać, gdzie ona jest?

— Nie mów: „gdzie ona jest”, powiedz: „gdzie jest”.
Mów mi o tym, jak ją rozpoznać.

— Widzisz tę z szerokimi gałęzmi na dole, wokół której rośnie piołun? Tam, przy tym starym pniu?

— Ojej, dziecko, do ścięcia cedru trzeba dwóch silnych mężczyzn — a ja i ty to zaledwie koścista kobieta i mały chłopczyk.

— Nie jestem małym chłopczykiem.

Tupnął nogą, żeby to udowodnić. Czy nigdy nie przestanie go tak nazywać?

— Och, masz rację, zapomniałam, że nie jesteś małym chłopczykiem, i nie tup na mnie, młody mężczyzno. Słyszysz, co do ciebie mówię?

— Tak, proszę pani.

— Już lepiej. Wybierz sobie inną choinkę.

— Ale ta jest najlepsza. Poza tym mama lubi duże choinki.

— Masz rację. Lubi.

— Dzięki niej się uśmiechnie.

To powinno zadziałać; Peggy równie mocno jak on chciała sprawić, żeby jego mama się uśmiechnęła.

Peggy dłonią przysłoniła oczy i mrużąc je, spojrzała na choinkę.

Pociągnął Peggy za spódnicę.

— Czy mama wyzdrowieje?

Bał się zapytać, obawiając się odpowiedzi.

— Jest zdrowsza z każdą minutą. To tak samo pewne, jak to, że jutro też będzie dzień. — Peggy oparła dłoń na

jego ramieniu; jej dotyk przekonał go, że mówi prawdę. — Poprosimy w takim razie Rufe'a, by ją ściał. Zobaczą, czy uda mi się go znaleźć.

Spojrzał do góry, na wysoką, szczupłą kobietę, co do której był pewien, że potrafi wszystko.

— Chyba moglibyśmy zrobić to sami, Peggy... ty i ja.

— Wiesz, kim jesteś?

— Kim?

Odczuł ulgę, że nie wygląda na rozgniewaną.

— Najbardziej uciążliwym małym szkrabem, jakiego znam.

Peggy ruszyła do przodu z siekierą w ręce. Jej sukienka i fartuch były takiego samego koloru jak zimowe złoto piołunu, jej chustka smugą purpury na tle szarych i pozbawionych liści drzew.

— Pośpiesz się w takim razie, sprawdźmy, czy nam się uda! Panie Jezu, musisz nam pomóc, to drzewo ma chyba ze trzy metry!

— Wysokie jak góra! — zawołał, czując ostry chłód powietrza.

— Do samego nieba! — wykrzyknęła Peggy.

Zawieźli ogromną choinkę do domu na sankach — jej zieleń stanowiła ciemną, intensywną plamę na tle zimowego lasu, który był scenerią ich wędrówki. Gdy Rufe przygotował dla niej stojak i postawił ją w salonie, razem z Peggy nie mogli uwierzyć, że choinka nie dotyka sufitu; sięgała zaledwie do połowy ściany w salonie.

Wiele dni później nadal czuł ostry i wyraźny zapach żywicy, którą pobrudził ręce i ubranie; jej woń pozostała nawet po kąpieli w wannie tego dnia, gdy przycinali drzewko.

— Tylko spójrzcie na tego chłopca, jak je pieczonego kurczaka! — zawołał wielebny Simon podczas skromnej kolacji w Wigilię. — Wychowujesz go na prawdziwego baptystę, Madelaine!

Jego mama uśmiechnęła się. Ale tato nie.

Gdy zszedł na dół rano w dzień Bożego Narodzenia, ujrzał drzewko, na którym paliło się całe mnóstwo kolorowych świecetek, przybrane różnymi ozdobami i anielskimi włosami. Jego tato miał na sobie bonzurkę, jaką panowie zwykli nosić, gdy palili papierosy, chociaż sam nigdy nie palił, i były też prezenty, które czekały na otworzenie. Coś było schowane za sofą...

Gdy umieścił Dzieciątka w żłóbku, ujrzał to, co tak gorąco pragnął zobaczyć — światło powracające do spojrzenia jego mamy, światło, które świeciło jak gwiazda na szczycie ogromnego i łaskawego cedru.

— Wesołych Świąt! — wykrzyknął równocześnie z rodzicami.

Pobiegł natychmiast do kredensu i przyniósł do żłóbka pasterzy, zmieniając miejsce krowy i osła, żeby miały lepszy widok, podczas gdy jego tato przyniósł z biblioteczki mędrców, którzy tak długo podróżowali do gwiazdy.

Po długim miesiącu oczekiwania szopka była ukończona.

Z pewnością nie wiedział tego wtedy, ale błękitny rower, który odkrył za sofą wreszcie miał w sobie coś z cudu Dzieciątka — był to kolejny, cudowny prezent naśladowujący ten dużo większy. Nie posiadał się z radości.

Nie mógł oczywiście nic powiedzieć Tommy'emu — bo co, jeśli Tommy nie dostał roweru, albo w ogóle nic?

— Co się stało, Timothy?

Jego mama siedziała na pomalowanym na niebiesko krzesle kuchennym, obierając z Peggy ostrygi.

— Tommy może niczego nie dostał — wyjaśnił, zasmucony wbrew sobie.

— Nic.

Głos jego mamy był czuły; wyciągnęła do niego ręce i przygarnęła do siebie.

— Patrzcie!

Peggy wstała gwałtownie i spojrzała przez okno.

— Zobaczcie, kto jedzie drogą!

W jasne popołudnie Bożego Narodzenia, kiwając się na boki, ich drogą pedałowal na swoich własnych dwóch kółkach Tommy Noles.

Tommy miał rower i światło wróciło do spojrzenia jego mamy.

Dopóki nie poślubił Cynthii, było to najszczęśliwsze Boże Narodzenie w jego życiu.



Pomiędzy jego drzemką a wyprawą do kościoła spadło ponad półtora centymetra śniegu, co z pewnością doda animuszu i energii do pracy wesołej gromadce przystrajającej jedliną kościół.

Ale niestety, w kościele nie zastał żadnej pracującej gromadki, wesołej czy też nie. W zamian odkrył, że musi otwierać zamek podwójnych frontowych drzwi, by wejść do środka. W chwili gdy przekręcał klucz, zaczął bić dzwon.

Bim...

Gdy wszedł do narteksu, poczuł woń świeżej sosny i cedru oraz wosku pszczelego, którym przed chwilą natarte zostały czcigodne dębowe ławki.

Bam...

A oto i nawa, śliczna w przyćmionym, zimowym zmierzchu, każdy jej niuans był mu znajomy, rodzaj domu; z sercem przepełnionym radością skłonił się przed krzyżem nad ołtarzem...

Bim...

Przystrajanie jedliną kościoła było jedną z jego ulubionych tradycji chrześcijaństwa; ktoś ciężko i długo dzisiaj pracował!

Bam...

Każda wnęka okienna zawierała świeżą jedlinę i świecę do zapalenia przed nabożeństwem... nawa będzie wypełniona po brzegi członkami kongregacji, pragnącymi usłyszeć jeszcze raz starą historię miłości...

Bim...

Rodziny ściągają do kościoła, z bliska i z daleka, aby przeżyć razem tę chwilę. A potem wypowiedzą radosne słowa powitania, które w dawnych czasach nie były nigdy wymawiane przed zakończeniem adwentu i nadejściem w końcu bożonarodzeniowego poranka.

Mogą go nazywać konserwatystą, dinozaurem, staroświeckim reliktem, ale zaiste, rzucanie się w wir świętowania następnego dnia po Halloween jest niczym zaśpiewanie wysokiego C i utrzymywanie go przez kilka miesięcy, podczas gdy odrobina cierpliwości pomogłaby zachować Boże Narodzenie na bożonarodzeniowy poranek i pozwoliłaby utrzymać świeżość i wyjątkowość świętych dni.

Ukląkł i zamknął oczy, niewymownie wdzięczny za spokój, poczuł, jak jego serce otwiera się na Dooleya i Poo, Jessie i Sammy'ego... w istocie, na wszystkie rodziny, które zostaną zjednoczone w tym czasie.

— Wszechmocny Boże, nasz Ojciec w niebie...

Modlił się słowami, których nauczył się jako młody wikariusz i nigdy nie zapomniał.

— ...który znajdujesz samotnym rodziny: polecamy Twej nieustającej trosce domy, w których mieszkają ludzie. Zabierz od nich daleko, błagamy Cię, każde źródło goryczy, przyczynę pychy i naszą dumę. Przepelnij je wiarą, cnotą, wiedzą, umiarkowaniem, cierpliwością, świętością. Połącz razem w nieustającym uczuciu tych, którzy w świętym małżeństwie zostali uczynieni jednym ciałem. Zwróć serca rodziców w stronę ich dzieci, a serca dzieci w stronę ich rodzi-

ców; i w ten sposób roznieć pośród nas żarliwą dobroć, abyśmy po wszystkie czasy darzyli się wzajemnie życzliwym uczuciem; przez Jezusa Chrystusa Pana Naszego.

W głębokiej i pełnej wyczekiwania ciszy słyszał jedynie szelest własnego oddechu.

— Amen — szepnął.

Śnieg całkowicie przestał padać; kierowcy pługów śnieżnych mogli ostatecznie pozostać tej nocy w wygodnych i ciepłych łózkach.

Otworzył drzwi do Oksfordzkich Antyków i dłońią naciśnął czwarty przycisk na włączniku światła. Daleko, w dużym budynku, który dawniej był miejską stajnią dla koni, rozbrzmiało światło w tylnym pokoju i wydostało się na zewnątrz przez otwarte drzwi.

Jego serce biło mocniej — oto nadszedł ten dzień, chwila, na którą czekał i do której prowadziła jego praca. Ruszył szybkim krokiem wąskim, spowitym półmrokiem przejściem pomiędzy stołami i krzesłami, komodami i kredensami.

Fred, niech mu Bóg błogosławi, zaproponował, że powkłada figurki do pudełek, by w ten sposób mógł przenieść więcej niż jedną postać za jednym razem. Ten dobry człowiek był jego bożonarodzeniowym aniołem, najlepszym z możliwych.

Wciągnął gwałtownie powietrze i stanął nieruchomo w drzwiach.

Zobaczył pudełka...

A tam, na stole pośrodku pokoju, stała stajenka, w której schroniła się Święta Rodzina.

*Baczenie! Śpiewają anieli:
„Chwała nowo narodzonemu;
Pokój i łaska ziemi,
Bóg i grzesznicy pogodzeni!”*

— Zaczynają! — zawołała Mamy Phillips do swojego kota, Popeye.

Mamy, która mieszkała w małym domku obok Lord's Chapel, nie mogła zrozumieć, dlaczego ludziom się chce przychodzić do kościoła w środku nocy. Musiała jednak przyznać, że w miarę jak z wiekiem coraz gorzej spała, pasterka była wydarzeniem, którego zaczynała wyczekiwać, ponieważ — bez względu na to, jak niewyraźny był śpiew, zawsze jednak do niej dochodził.

*O, małe miasto Betlejem, jakże ciche jesteś tej nocy!
Nad twym głębokim i twardym snem cicho mkną gwiazdy.
Na twych ciemnych ulicach jednak wieczne Światło łśni;
Nadzieje i obawy wszystkich lat w tobie spotkają się dziś.*

*Bo Chrystus narodził się z Maryi, i wszelkiej świętości,
Podczas gdy śmiertelni śpią, anioły strzegą cudu miłości.
Poranne gwiazdy wraz narodziny święte głoszą,
I chwałę Bogu Królowi śpiewają,
A pokój ludziom na ziemi.*

Mamy opuściła górną połowę okna o jakieś dwa czy trzy centymetry. Następnie, przykładając do prawego ucha zwinętą w trąbkę dłoń i wstrzymując na długie chwile oddech, wychwytywała każde słowo, które niosło się po lodowatym powietrzu.

*Gdy pasterze nocą trzód swych strzegli,
Na ziemi siedząc dookoła,*

*Anioł Pański na nich zstąpił,
I chwała wobec zajaśniała...*

Gdy kongregacja wysypała się przez czerwone drzwi na ciemną noc, z góry spadały świeże, puszyste płatki śniegu, znacząc kołnierze i czapki, szale i rękawice. Dwoje ludzi odchyliło do tyłu głowy i wysunęło języki, aby poczuć jak szybko śnieżynki będą topnieć.

— Wesołych Świąt, ojciec!

— Wesołych Świąt, Esther, Gene! Niech was Bóg błogosławi! A oto i Hessie, Wesołych Świąt, Hessie!

— Toż to Tom Bradshaw! Wesołych Świąt! Co cię sprowadza na prowincję?

Śmiech. Parujący oddech. Zapach zgaszonych świec unoszący się na wietrze...

— Wesołych Świąt, Cynthio!

— Wesołych Świąt, Hope, jak ślicznie wyglądasz! J Scott, mój drogi — Wesołych Świąt!

#

— Idą teraz do domu — powiedziała Mamy Phillips do Popeye. — Mają już dość śpiewania, przypuszczam.

Prawdę powiedziawszy, odczuwała ulgę, ponieważ nawet przy opuszczonym oknie próba wysłuchania każdego słowa przez kamienny murek i żywopłot była prawdziwym wysiłkiem. Wiele razy zapraszali ją, żeby przychodziła na nabożeństwa w tym kościele, ale ona nadal się zastanawiała.

Zamknęła okno i poszła do kuchni, gdzie pokruszyła, a następnie wysypała do szklanki mleka krakersy. Podała potem spodek mleka Popeye, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zrozumie, jak to jest z tym całym chodzeniem do kościoła.

Siedzieli na sofie w pracowni, usiłując złapać oddech.

— Jestem wyczerpana! — wyznała, ujmując jego dłoń.

— Jak wyżej. Całkowicie.

— Radowanie się jest bardzo męczące.

— Zgadzam się!

Dzięki Bogu za szlafrok i pantofle. Szaleństwo się skończyło; nadeszło Boże Narodzenie!

Oparła mu głowę na ramieniu.

— Drzewo Aniołów było jedną z najwspanialszych rzeczy, jakie kiedykolwiek zrobiłam. Tak wiele rodzin przyszło po swoje torby z żywnością... Podobno więcej ludzi usiadzie do bożonarodzeniowej kolacji w Mitford i Wesley niż kiedykolwiek przedtem.

— Brawo — odparł, ściskając jej dłoń. — j e s t e m z c i e b i e dumny.

— Dziękuję. Wszyscy tak ciężko pracowali. Chciałabym to zrobić jeszcze raz za rok, i za rok.

Pocałował ją w czubek głowy.

— Czy opowiadałam ci o małej dziewczynce, która przeszła osiem kilometrów, żeby zabrać dwie torby zakupów dla swojej rodziny?

— Opowiedz mi.

Odchylił do tyłu głowę i zamknął oczy, delektując się spokojem i przywilejem braku dalszych obowiązków.

— Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że będzie w stanie zanieść je do domu, więc ją zawiozłam; nie umiem ci powiedzieć, w jakich strasznych warunkach żyje to dziecko. Timothy, gdybyśmy byli młodszy, bardzo chciałabym, żebyśmy podjęli decyzję o adopcji.

— Być może spełni się twoje marzenie. Dooley zastanawia się nad zmianą nazwiska na Kavanagh.

— Ach.

— Poprosiłem go, żeby się jeszcze nad tym zastanowił.
To poważny krok.

— Jesteś zawsze taki mądry, Timothy.

— Nie zawsze.

— A kiedy zamierzasz mu powiedzieć o pieniądzach od panny Sadie?

— Nie wiem. Skończy dwadzieścia jeden lat w lutym, być może wtedy. W liście panna Sadie prosi nas, żebyśmy nie mówili mu, zanim nie będzie w stanie wziąć na siebie odpowiedzialności.

— Będziesz wiedział, kiedy. Bóg ci podpowie.

Spojrzał na zegar nad półką nad kominkiem. Wielkie nieba!

— Zaczynamy?

— Tak!

Zerwali się z sofy i pobiegli korytarzem.

— No dobrze — powiedział, gdy dotarli do stolika z lampą. — Stań i zamknij oczy. Obiecuj, że nie będziesz patrzeć.

— Obiecuję!

Wziął ją za rękę i zaprowadził pod drzwi salonu. Mimo że osobiście ustawiał każdą figurkę, a potem rozmieścił je w pobliżu żłóbka u stóp choinki, oczami pełnymi zachwytu zobaczył wszystko na nowo. Być może to zasługa światła, bogatszego i bardziej promiennego w głębi nocy.

— Teraz — powiedział.

Zrobił to wszystko, żeby zobaczyć jej twarz i — natychmiast — sprawiła, że cały trud opłacił się po tysiąc kroć.

— Timothy — wyszeptała. — Och!

Otoczył ją w pasie ramieniem i przyciągnął do siebie.

— Wesołych Świąt — rzucił nieśmiało i z powagą.

— Och! — powtórzyła. — Brak mi słów...

Barnaba przyczłapał korytarzem i stał przy nich, machając ogonem.

— Czy ta cudowna szopka ma coś wspólnego z długimi tygodniami, które spędziłeś w Oksfordzkich Antykach?

— Tak.

Łzy popłynęły jej po policzkach.

— Czy ty w jakiś sposób... to znaczy, co zrobiłeś, dokładnie?

— Pomalowałem wszystko.

— Pomalowałeś wszystko?

— Pomógł mi Fred. Tepował owce. Tu i tam dorobiliśmy ucho. I dłoń. Pomógł mi też przy wielbłądzie.

— Przy wielbłądzie!

— Tam z tyłu. W krzakach.

Przycupnęła na rękach oraz kolanach i dokładnie przyjrzała się małej grupce pasterzy, mędrców i zwierząt, pełnym czci i zdziwienia rodzicom klęczącym przy Dzieciątku. Wyciągnęła do niego dłoń, a on ujął ją i ukląkł obok niej.

— Nie wierzę własnym oczom, Timothy. Wszystko, każde stworzenie jest takie śliczne, takie... prawdziwe.

— Bardzo się martwiłem, czy uda mi się to zrobić, czy wszystko zrobię dobrze. Przecież to ty jesteś artystką w rodzinie.

Przyglądała się uważnie każdej twarzy.

— Ten anioł jest śliczny! Jak zdecydowałaś się na te cudowne kolory jego peleryny i szaty?

— Sprawdzaliśmy wszystko w książce — odparł, czując się jak uczeń.

— I ten kochany, stary pasterz ze śliczną, łysą głową...

— Wątek autobiograficzny!

— Ale oczy tego wielbłąda! — Roześmiała się na głos. — Jakby spoglądał w górę, nie wydaje ci się?

— Ten wielbłąd był ostatnią kroplą, która nieomal przeleciała czarę! Usiłowaliśmy poprawić oczy, ale niestety, co mogę powiedzieć? Ani Fred, ani ja nie jestem Leonardem da Vinci.

— To takie ekscytujące! Odkrywam zupełnie nowe oblicze mojego męża.

Wzruszył ramionami, nie mogąc wypowiedzieć słowa, przejęty do głębi jej pochwałami.

Podniosła się i nadal klęcząc, otoczyła ramionami jego szyję i spojrzała na niego, promieniejąc.

— Odkryłeś w sobie coś nowego i cudownego; Bóg podarował ci zupełnie nowy talent.

— Nie, nie talent. — Zarumienił się. — Ale rzeczywiście pomógł mi to zrobić. To było trudne.

— Jeszcze nie wszystko do mnie dotarło. Będę chodzić na czworaka pod tą choinką przez wiele dni.

Znowu klęcząc, oparła się na rękach; Barnaba przyczłapał i położył się obok anioła.

— Jeszcze jeden wędrowiec, który przybył do stajenki! — obwieściła.

— Gdzie, u licha, jest Violet?

— Na lodówce. Szczęśliwa, że wszyscy dali jej spokój.

Na lodówce!

— Jestem głodnyjak wilk! — zawołał. — Zrobię nam coś do jedzenia; co powiesz na płatki na mleku?

— Nie mogę się już doczekać, kiedy dam ci twój prezent, Timothy. Potem zrobię płatki dla nas obydwójga. Pomóż mi wstać!

— Ach, ale kto pomoże mnie?

Kolana skrzypiały mu jak zawiasy poluzowanej okiennicy.

— Nie wolno ci patrzeć — poleciała, gdy pomagał jej wstać.

— Obiecuję.

Uwielbiał, gdy ktoś chciał mu podarować sekretny prezent i prosił, aby nie patrzył, a on musiał obiecać, że tego nie zrobi.

— Przy okazji, anioł jest wspaniały. Czy był tylko jeden, który miał spoglądać na tę cudowną gromadkę?

Spojrzał na choinkę i dla pewności zamknął oczy.

— Były dwa, ale... upuściłem jednego i rozbił się.

Nawet teraz sama myśl o tym zdarzeniu była okropna.

Usłyszał szelest jej pantofli, gdy oddalała się korytarzem, a potem wracała.

— Timothy...

— Tak?

— Mówiłeś, że rozbiłeś anioła?

— Tak — odparł, czując się dziwnie smutny i pełen winy.

— Czy to może ten? — zapytała.

Odwrócił się i zobaczył anioła, z jego spokojnym wyrazem twarzy i szczupłymi stopami złączonymi razem, całego w ramionach Cynthii.

Przez chwilę nie mógł oddychać.

— Twój anioł znowu jest cały — powiedziała.



10



Była to ta chwila przed wschodem słońca, którą starsi ludzie w dolinach wokół Mitford nadal nazywali „pierwszym światłem”. Słońce w całości pozostawało niewidoczne; zimowe niebo i pokryte śniegiem góry w dole były szare jak kamień.

W miejskim muzeum wujaszek Billy w szlafroku posuwał się wolno wzdłuż ciemnego korytarza, niosąc pod pachą tacę i dziękując Dobremu Panu, że farba wyschła przez noc. Przygotuje jej mikołaja, zrobi ciasto na naleśniki i za chwilę pójdzie ją obudzić.

Serce biło mu z emocji.

— Serce tak mi wali — szepnął — że rząd może sobie pogratulować pieniędzy zainwestowanych w moje tabletki.

Usiłował namacać palcami włącznik za drzwiami w kuchni. Gdy trzysta wat rozbłysło z pełną mocą, niewiele brakowało, a dostałby zawału.

— Na Boga! — wykrzyknął zdziwiony widokiem swojej żony, ponieważ był przekonany, że ta nadal śpi.

Siedziała na krześle, wyglądając na wściekłą jak osa, a jej białe, nieuczesane włosy sterczały na wszystkie strony.

— Rose! — zawołał, chowając tacę za plecami.

— Co?

— Nie wiedziałem, że już wstałaś!

Postanowił, że tego dnia będzie mówił bardzo głośno, by mogła zrozumieć każde słowo. Było przecież Boże Narodzenie.

Spojrzała na niego gniewnie, ściągając razem ciemne, grube brwi, które wyglądały jak dwie kosmate gaśienice.

— Proszę bardzo, jest już nieomal środek dnia — pisała. — A tu ani widu, ani słyhu świętego Mikołaja!

Widział ją wściekłą wiele razy, ale jej dzisiejsze niezadowolenie było wręcz niewiarygodne. Miał ochotę pobiec korytarzem i w samych skarpetach wyskoczyć przez okno.

— Pada śnieg! — Zamierzał za wszelką cenę zachować dzisiaj spokój. — Przyjdzie niedługo!

— Każdy wie, że Mikołaj nigdy nie przychodzi za dnia!

— Każdy wie, że nie przychodzi w ogóle, jeśli się siedzi i czeka, aby go zobaczyć!

— Dopiero tu usiadłam, Billu Watson. Schowałam się za klimatyzatorem i wyszłam dopiero minutę temu.

— Przypuszczam, że musiał cię jakoś zauważyć.

Wszyscy święci, jeśli to prawda, to dobry Mikołaj wziął nogi za pas i w tej chwili jest już po drugiej stronie góry.

Nadal trzymał tacę za plecami, chociaż wysiłek sprawiał, że drżała mu ręka.

— Po prostu w ogóle się nie pokazał, tak jak już od dawna twierdzą ludzie. Pomyśleć, że wkładałeś kij do komina i narobiłeś takiego strasznego bałaganu!

Nadal zwrócony twarzą do żony, zręcznie przesunął się w miejsce, gdzie stał stół, od którego rozpoczynali wspólne gospodarzenie, stół z drewna wiśniowego, który sam wykonał wiele lat temu. Wsunął tacę na stół, nie czyniąc żadnego hałasu, potem odwrócił się i spojrzał na nią — leżała na ceratowym obrusie w kratkę, z czerwoną kokardą zawiązaną na uchwycie. Odwrócony plecami do żony, szybkim ruchem wyjął z kieszeni kopertę i położył ją na tacy.

— Ojej, Rose, spójrz no tutaj!

— Co?

— Tutaj, na stole! — krzyknął przez ramię, głosem łamiącym się ze wzruszenia. — Twój Mikołaj!

Taca była przepiękna, naprawdę, a uchwyty po obu stronach były prawdziwym cackiem, za które można było ją pod-

nieść i nosić. Miał nadzieję, że nie rozpozna pod warstwą zielonej farby uchwytów do otwierania drzwiczek.

— Co to?

— Cóż, wydaje mi się, że to taca na kolczyki, broszki i takie tam, dokładnie taka, jakiej potrzebowałeś.

Podszedł do niej, opierając się na lasce i niosąc tacę. Jej twarz się rozpromieniła.

— Taca na biżuterię! Słowo daję, że zawsze chciałam mieć tacę na biżuterię!

— Mikołaj musiał przyjść, gdy spałaś.

Stał obok jej krzesła, pokazując tacę. Jego prawa dłoń drżała, sprawiając, że kokarda podskakiwała.

— No cóż, Billu Watson! Jest naprawdę ładna — mówię szczerze!

— Dobry Mikołaj naprawdę się postarał.

Jego serce rozpierała duma.

— Co na niej leży?

— Na tacy jest list, na to wygląda.

Ostrożnie pochyliwszy się, umieścił tacę na jej kolanach i — przez chwilę — wcale nie odczuwał swojego artretyzmu.

Jemu pozostał doskonały słuch, a jego żonie równie dobry wzrok. Wzięła do rąk kopertę i spoglądając przez używane okulary z Lion's Club, przyjrzała się uważnie napisowi.

Wstrzymała oddech.

— Zrobię nam naleśniki — powiedział, z trudem przełykając.

Nie mógł się jednak ruszyć. W zamian przyglądał się swojej towarzyszce życia od ponad pięćdziesięciu lat, róży, przy której on był cierniem. Patrzył, jak łzy szczęścia płyną po jej pooranych zmarszczkami policzkach.

Wyjęła list z koperty, rozłożyła go i czytała na głos, delektując się słowami, jakby każde z nich było samo w sobie podarunkiem.

— „Moja... Droga... Mała... Siostrzyczko...”

Gdy jego żona wymawiała te słowa, odkrył cudowną rzecz — że już nie jest zazdrosny, ani trochę.

— „Sprawiasz... mi... ogromną... przyjemność... swą... sztuką... czytania...”

Wytańczał oczy w rękaw, zawstydzony, że kiedykolwiek odczuwał jakiś żal do Willarda Portera, i na miejscu, bez wygłaszania tego na głos, poprosił Dobrego Boga, by mu wybaczył.

#

W małym domku pośród sosen na końcu drogi ekspres do kawy włączył się i przygotował cztery filiżanki kawy śniadaniowej z Wal-Mart's, podczas gdy Lew Boyd spał obok swojej żony, rozkoszując się ciepłem łóżka. Za oknem padał śnieg, a jego płatki wirowały jak w szklanej zabawce.

Zachrapał głośno, co wyrwało go ze snu, i rozejrzał się dookoła, jakby nie bardzo wiedząc, co się z nim dzieje. Wtedy zobaczył Earlene ułożoną wygodnie w zagłębieniu jego prawego ramienia.

Serce przepełniło się mu radością, jakiej nigdy wcześniej nie zaznał, nawet w czasie ich sekretnej podróży poślubnej do Dollywood. Spojrzał na srebrne pasemka w jej kasztanowych włosach i niewielkie kreseczki wokół oczu i ust, poczuł, jak wzbiera w nim miłość i uczucie wdzięczności. Nie przeszkadzało mu, że jego ramię zdrętwiało i było jak kłoda — o nie, nie zakłóciłyby tej chwili za nic na świecie.

Przypomniał sobie wczorajszy wieczór, gdy poszli do kościoła baptystów i jak nie mógł uwierzyć, że stoi obok niej, śpiewając z całego serca i słysząc, jak jej głos pokonuje wysokie nuty. Ten dźwięk wzruszał go tak bardzo, że z trudem powstrzymywał łzy.

Był strasznie dumny, mogąc przedstawić wszystkim Earlene, i nigdy wcześniej nie widział takiego tłumy osłupiałych

ze zdziwienia ludzi. Niektórzy od razu ściskali ją i wszyscy mówili, że bardzo cieszą się jego szczęściem. Kilka osób napomknęło, że tak im się wydawało, iż te wizyty u jego starszej ciotki w Tennessee nie są przypadkowe.

Potem pojechali szybko do Wesley, gdzie w chińskiej restauracji kupili posiłek na wynos, wrócili do domu i usiedli przy kuchennym stole jak zwyczajna rodzina, żeby go zjeść. O ile sobie przypominał, odkąd odeszła Juanita, najczęściej pochłaniał kolację przy zlewozmywaku w kuchni.

Następnie wytargali sztuczną choinkę z kątą jadalni, gdzie stała pod ścianą przez siedem lat, w efekcie czego jej jedna strona była zupełnie spłaszczona.

Osadzili drzewko na stojaku przed frontowym oknem i rzucili się na nie jak szaleni, wieszając na gałęziach sześć sznurów kolorowych światełek i dekorując wszystkim, co udało im się znaleźć w dawno zapomnianych pudełkach. W czasie gdy to robili, spłaszczona strona wróciła do pierwotnego kształtu — plastikowe gałęzie, jedna po drugiej, opadły na swoje miejsce, aż choinka zaczęła wyglądać jak nowa. Stali przy niej jak małe dzieci i bili brawo.

Na samą tę myśl na twarzy pojawił mu się szeroki uśmiech. Odwrócił głowę, zanurzył twarz we włosach żony i odmówił cichą modlitwę.

„Dziękuję Ci...”

Nie wiedział, czy ma powiedzieć: „Dziękuję Ci, Boże” czy „Dziękuję Ci, Panie”, czy „Dziękuję Ci, Ojcze”. W kościele kaznodzieja Sprouse używał każdego z tych zwrotów, czasami mówił nawet „Jahwe”. Harley Welch nazywał go „Bogiem i Panem”, czasami mówiąc o Nim, jakby stał tuż obok, a ojciec Tim modlił się tak, jakby on i Bóg byli starymi przyjaciółmi, coś w stylu: „Hej, kolego, jak leci?”

Trudno mu było myśleć o czymś nowym, na przykład, jak się zwracać do Wszzechmogącego. To nie było tak, że się wyłączał w kościele, ale nie słuchał też ze zbyt dużą uwagą;

siedząc w ławce, często myślał o interesach — czy cena benzyny pójdzie do góry, czy też spadnie? Dlaczego ten kraj nie może znaleźć własnej ropy, zamiast polegać na Bliskim Wschodzie? I dlaczego tak trudno zadowolić klientów?

Była też Agencja Ochrony Środowiska — najgorsza rzecz, jaka się mogła człowiekowi przytrafić w życiu. Potrafili urządzać piekło na ziemi, przy którym to prawdziwe wydawało się pestką! Co każde dziesięć lat — z dokładnością co do minuty — sprawdzali go, a dziesięć lat temu rozpruli jego zbiorniki i rozbili wiertarką betonowe płyty, kopali tak, jakby się chcieli przekopać na drugi koniec ziemi, a śmieci, które znaleźli, kosztowały go trzydzieści tysięcy dolców.

Myślał, że to będzie koniec całego przekłętego interesu, ale zacisnął zęby. Starał się z całych sił i jakoś mu się udało przetrwać. Inni nie mieli tyle szczęścia; widział, jak agencja zamyka jego konkurencję, aż pozostał jedyną otwartą stacją benzynową w promieniu trzynastu kilometrów na północ i dziesięć na południe. Problem w tym, że zaledwie za trzy miesiące kończy się dekada i znowu zapukają do jego drzwi.

Czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach na samą myśl o rzadzie... Nie, nie chciał tego robić, ciśnienie tak mu podskoczy, że obudzi Earlene i sprawi, iż psy sąsiadów zaczną szczekać.

Doszedł do wniosku, że w kościele skupiał uwagę jedynie w czasie śpiewów. Słyszał już dość nauczania, żeby wiedzieć, iż duma prowadzi do upadku, a był dumny ze swojego głosu, musiał to przyznać. Ponieważ był jedynym basem w kościele baptystów, jego śpiew wyróżniał się, sprawiając, że ludzie odwracali głowy, by go zobaczyć, i czasami nawet się do niego uśmiechali albo wyrażali aprobatę, unosząc do góry kciuki.

Jednak nie był w porządku wobec Boga. Albo Pana. Albo Ojca Niebieskiego. Nie, żeby kogoś zabił czy pożył cudzej żony, czy coś takiego, ale — jak dotąd — żył sobie beztro-

sko, robiąc to, na co miał ochotę. Prawdę powiedziawszy, chciałby dać to wszystko komuś większemu i mądrzejszemu niż on.

Któregoś dnia być może odmówi tę modlitwę, mimo wszystko. Coś głęboko się w nim poruszyło w sposób, którego nie potrafił wytłumaczyć. Nie pamiętał wszystkich słów, które wypowiedział ojciec Kavanagh, z wyjątkiem części o zawierzeniu życia. Teraz nie wydawało mu się to tak przerażające, z Earlene leżącą u jego boku i śniegiem muskającym okno, pokrywającym poręcz coraz grubsza warstwą.

Nie mógł po prostu zrozumieć, dlaczego Bóg Wszechmogący miałby być zainteresowany jego życiem... ale...

Leżał nieruchomo przez długą chwilę, prawie nie oddychając, zanim dokończył myśl.

...ale jeśli chce je mieć, to bardzo proszę.

#

Hope stała przy oknie wychodzącym na Main Street. Prawdę powiedziawszy, trudno było się domyślić, że jest tam ulica. Ślady, jakie zostawił pług zaledwie godzinę temu, znikwały pod świeżym śniegiem.

— Dziękuję Ci, Panie! — wyszeptała wdzięczna za piękno i spokój tego ranka.

Odkąd odmówiła tę modlitwę we wrześnie, wiele rzeczy się zmieniło. Coraz łatwiej przychodziło jej otworzyć się przed Bogiem albo poprosić go o wskazówkę, albo — na miejscu — podziękować mu za najzwyklejsze rzeczy.

Pasterka w Lord's Chapel była niesamowitym przeżyciem. Zapach cedru i sosny... śliczne i poruszające głosy chóru, często śpiewającego a cappella w oświetlonym świecami kościele... i jej ciepła dłoń w dłoni Scotta...

Wiedziała, że nigdy nie zrobiła nic, by na to zasłużyć, co

sprawiło, że miłość Boga do niej wydawała się jeszcze bardziej zadziwiająca i niewytłumaczalna.

Idąc w stronę kuchenki, na której przygotowuje wkrótce swoje pierwsze bożonarodzeniowe śniadanie, które będzie spożywała w towarzystwie, poczuła głębokie zmęczenie spowodowane tygodniami oczekiwania w napięciu, brakiem pomocy przy sprzedaży rzadkich książek i utratą... Ale jest Boże Narodzenie i nie powinna myśleć o stracie.

Bezwiednie odwróciła się i spojrzała na światło przedostające się do pokoju przez koronkowe firanki.

— Mamo!

Ból był ostry, gwałtowny, schowała głowę w dłoniach i zapłakała, czując — nawet w swoim smutku — wsparcie, którego nie potrafiła nazwać.

#

— Potrzebna nam marchewka!

— Nie mamy żadnych marchewek, patrzyłem!

— Sprawdziłem, słuchaj Dooleya!

— Możemy zrobić mu nos z patyka. Wydaje mi się, że w pobliżu musi być mnóstwo patyków.

— Tak, ale jak dostrzeżesz je pod śniegiem?

Na podwórku małego domku otoczonego drzewami laurowymi, Poo i Jessie Barlowe robili bałwana, którego planowali zwieńczyć żółtym kaskiem ochronnym ich ojcyma. Dooley zjawi się dzisiaj i pójda z nim do domu karnodziei na kolację bożonarodzeniową, gdzie zobaczą swojego jeszcze jednego brata, Sammy'ego, i dostaną prezenty. Potem, być może, wszyscy przyjadą pod ich dom i obejrzą bałwana. Sama myśl o tym była tak ekscytująca, że nie mogli zjeść śniadania, chociaż każde z nich wyszło z domu w ten zimny i śnieżny poranek z kieszeniami pełnymi cukierków M&M's.

— Z czego zrobimy mu uśmiech?

— Z małych kamyczków, takich jak na podjeździe. Moglibyśmy wbić je w śnieg, tak żeby tworzyły mały łuk.

— Nie mamy podjazdu.

Jessie myślała intensywnie, a jej oddech tworzył na powietrzu małe obłoczki.

— Możemy użyć naszych cukierków.

— Ja swoich nie dam.

— Nie mogę uwierzyć, że jesteś taki samolubny! Nie wiesz, że jest Boże Narodzenie? Poza tym wszyscy mogą przyjechać, by zobaczyć.

— No dobrze — zgodził się Poo, opróżniając kieszeń.

#

Nigdy nie robiła omletu na dwupalnikowej kuchence, ale Scott dodał jej odwagi, i z salsą, tostem, dżemem śliwkowym i herbatą, smakował niebiańsko. Siedząc ze Scottem w swoim nowym domu, z jego psami śpiącymi na starym dywanie, który kochała, poczuła się nagle dorosła i niepokonana, a nawet wyższa.

— Wesołych Świąt! — powiedziała przepełniona szczęściem, widząc go po drugiej stronie małego stolika.

— Wesołych Świąt — odparł, ujmując jej dłoń.

Z pewnością miewała romantyczne sny, czasami nawet głupie sny, w których na wrzosowiskach pojawiali się — zazwyczaj konno — mężczyźni; ich kapelusze zwiewał jakiś silny, wyżynny wiatr. Ale nigdy nie śniła nawet, że pozna kogoś tak spokojnego i dobrego, tak prawdomównego i prawdziwego. Ucisnęła jego dłoń, nie będąc w stanie się odezwać i znowu poczuła, że w jej oczach błyszczą łzy.

Scott oparł się wygodnie na krzesło, wyglądając na zadowolonego i zrelaksowanego.

— Powiedz mi, czego byś chciała najbardziej dla Księgarni Szczęśliwych Zakończeń?

Myślała przez chwilę.

— Chciałabym, żeby moja księgarnia była miejscem, w którym ludzie czują się jak w domu.

Uśmiechnął się.

— Twoja księgarnia.

— Tak! — odparła z zachwytem. — Moja księgarnia!

— Wiesz co?

— Co?

— Nazwa twojej księgarni jest najlepszym potwierdzeniem tego, co się stało.

Roześmiała się z radością; miała wrażenie, że śmiech dobywał się z nowej osoby, którą bardzo chciała poznać. Psy zerwały się i podbiegły do niej natychmiast, jakby przywołane jej śmiechem.

Spojrzała w ich brązowe i inteligentne oczy.

— Czy mogę dać im kawałek tostu z dżemem?

— Byłyby bardzo zadowolone.

Poczuła miękki dotyk nozdrzy, gdy brały przysmak z jej dłoni.

— Samo piękno! — powiedział Scott ze szczególną czułością. — Olśniewające!

Dotknęła małych, diamentowych kolczyków w swych uszach.

— Są śliczne, tak bardzo mi się podobają!

Uśmiechnął się.

— Nie miałem na myśli kolczyków — odparł.

#

Na tarasie zielonego domku Esther i Gene'a Bolicków, usytuowanego na północ od Main Street, czternaście doniczek z terakoty wypełniło się śniegiem — śnieżna czapa na każdej z nich sprawiała, że wyglądały jak lody w waflowym kubku.

Za rozsuwanymi drzwiami Esther i Gene siedzieli przy

kominku na swoich bliźniaczych, rozkładanych fotelach, pijąc kawę i otwierając prezenty. Sztuczny kominek, który Gene podarował jej dziesięć lat temu, miał czterdziestowatową żarówkę świecącą poprzez obracający się arkusz czerwonego celofanu. Było to rozwiązanie, które Esther często określała mianem „przytulnego”.

— Nie do wiary! — zawołała Esther.

— Co?

Gene otworzył właśnie puszkę orzeszków od kolegi ze związku weteranów wojennych i szukał nerkowca.

— Ten worek na brudną bieliznę z monogramem B! Od Hessie Mayhew!

— Tak?

Esther z niedowierzaniem uniosła do góry podarunek.

— Dałam tę starość na wentę dobroczynną całe wieki temu!

— A niech mnie — odparł Gene, udając zainteresowanie.

Esther upuściła worek na brudną bieliznę na kolana i siedziała zupełnie oniemiała.

— Tylko pomyśleć, że ja dałam jej dwuwarstwowe ciasto pomarańczowe.

— Ta biedna kobieta kuleje na jedną nogę, Esther, co na pewno nie ułatwia jej zakupów. Poza tym, dlaczego dałaś go na wentę dobroczynną? Według mnie jest w bardzo dobrym stanie.

— No cóż, tak — zgodziła się Esther, przyglądając mu się dokładniej. — Potem żałowałam.

— No widzisz? — powiedziała jej mąż, zjadając ze smakiem kilka nerkowców. — W przyrodzie nic nie ginie.

#

W Domu Nadziei Louella Baxter Marshall przewróciła się na drugi bok, podniosła się i usiadła na brzegu łóżka.

— Wesołych Świąt, panno Sadie! Wesołych Świąt, Moses, kochanie. Wesołych Świąt, mój słodki chłopcze w niebie! Wesołych Świąt, mamó!

Sznur światełek mrugał na czerwonej poinsecji stojącej na parapecie; trzydzieści dwie pocztówki były przyklejone taśmą klejącą do framugi drzwi. To były miłe święta Bożego Narodzenia, o tak, około trzeciej pomaluje usta nową kredką w kolorze wiśniowym i nałoży na powieki odrobinę cienia w kolorze, który pasuje do jej cery, a siostra pomoże jej zapiąć błękitną sukienkę z długimi rękawami. Potem zapakuje ten drobiazg, który kupiła dla ojca Tima i panny Cynthia, którzy byli jej tak bliscy jak rodzina, a ich młody kaznodzieja — Scott Murphy — zawiezie ją do Kavanaghów na elegancką kolację.

— Panno Louello, czy dzisiaj rano mówi pani sama do siebie?

— Staram się obudzić. Wesołych Świąt!

— Wesołych Świąt! W nocy spadł duży śnieg i wciąż sypie.

Louella nie przepadała za śniegiem i postanowiła zignorować tę uwagę.

— Czy jest pani gotowa na smaczne śniadanie dzisiejszego ranka?

— Co to będzie, słonko?

Wiedziała, że bardzo się starają, ale nie miała zbyt dobrego zdania na temat posiłków w domu opieki panny Sadie.

— Kiełbasa z indyka z jajecznicą i smaczna bułeczka pani wyrobu.

— Poproszę o jajecznicę z bułeczką, bez kiełbasy.

Kiełbasa z indyka! Do czego ten świat zmierza?

— A gdy będzie pani szła do panny Pattie, czy mogłaby pani jej to zanieść? — Louella położyła na tacy mały upominek przewiązany czerwoną wstążką. — Dzisiaj starczy mi energii na tylko jedną wizytę.

— Tak, panno Louello.

— I proszę przypilnować, żebym wyjeżdżając, nie zapomniała zabrać z kuchni blachy moich bułeczek.

— Tak, proszę pani, przypilnuję. Czy chciałaby pani, by wyłączyć ten sznur światełek?

— Nie, nie chcę. Niech się świecą, aż skończy się Boże Narodzenie.

— To już jutro — odparła siostra Austin, która nie cierpiała marnowania energii elektrycznej w biały dzień.

— Nie, słonko, Boże Narodzenie kończy się dopiero szóstego stycznia o północy.

— Doprawdy?! — odparła siostra Austin, która była przyzwyczajona do pacjentów cierpiących na kłopoty z pamięcią i ogólne problemy z głową.

Niecałe dwa kilometry na północ od pomnika w Mitford stary Mueller siedział przy stole w swoim niemalowanym domu pośród kukurydzy i — w czasie gdy jego szczęka moczyła się w słoiku obok łóżka — zjadał z apetytem duży kawałek ciasta, które Esther i Gene Bolick przywieźli mu w Wigilię.

Nie miał pojęcia, dlaczego przynosili mu na każde Boże Narodzenie ciasto, ponieważ prawie w ogóle ich nie znał, podobnie jak wszystkich innych z kamiennego kościoła przy Main Street. Wiedział tylko, że gdyby któregoś roku zapomnieli i nie pojawili się, usiadłby i rozpłakałby się jak dziecko.

Jego pies, Luther, który słyszał z tego, że na brzuchu miał dokładnie 241 piegów, podniósł się i oparł na stole łapy, spoglądając poważnie na swojego pana.

— Nie patrz na mnie tak żałośnie — powiedział stary Mueller.

Przyciągnął do siebie pudełko z ciastem, ukroił spory

kawałek, wrzucił go do metalowej foremki na ciasto i postawił ją na podłodze.

— Proszę! — zawołał. — I Wesołych Świąt, ty nędzne stworzenie!

#

— Bill Watson!

— Zgadza się, tak mnie nazywają.

— Jesteś najlepszym świętym Mikołajem na tym świecie.

— Nie jestem żadnym Mikołajem! Co też przyszło ci do głowy?

— Mam oczy i rozum!

Nie wiedział, co odpowiedzieć na takie stwierdzenie.

W szlafroku i pantoflach panna Rose podeszła do krzesła, na którym siedział z laską pomiędzy kolanami, obserwując przez okno, jak płatki śniegu powoli przykrywają pomnik.

Pochyliła się i oparła swoją głowę na jego, otoczyła ramionami jego szyję.

— Zawsze byłeś moim dobrym Mikołajem — powiedziała.

Z niewymownym szczęściem poklepał jej kościste ramię.

— I zawsze będę — odparł. — Zawsze będę.

#

W pracowni żółtego domku na Wisteria Lane do skrzynki ojca Tima dotarł e-mail.

<Emma Catherine Grayson

<3 kg 250 g

<Dzisiaj 4 rano

<Wszystko w porządku.

<Wesołych Świąt i alleluja!

<Serdeczne pozdrowienia, Emma

Nawet w ten szary, śnieżny poranek, jadalnia w żółtym domku wyglądała uroczyście i obiecująco. Na grubym, lnia-
nym obrusie stał niski flakon z żółtymi różami i ozdobionymi
egzotycznymi ptakami półmisek na szynkę, który Cynthia
znalazła dawno temu podczas swojej podróży po Nowej
Anglii. Na kredensie rodowe srebro Kavanaghów lśniło
w promieniach porannego światła.

Ojciec Tim już nie spał, podobnie jego żona, mimo że
obydwoje znaleźli się w łóżku dopiero po trzeciej nad ranem.

— Myślałam, że nigdy nie zasnę — wyznała Cynthia.

— To z emocji — wyjaśnił ojciec Tim.

— I przez kofeinę! Piłam kawę wczoraj po południu
z metodystami. Czy ja nigdy się nie nauczę?

Ziewnęła.

— Poczekaj, aż wlejemy w ciebie trochę kawy po ir-
landzku.

— Jak myślisz, Timothy, kto to był?

— Nie rozumiem?

— Kto zrobił szopkę?

— Nie wiem. Wydaje mi się, że wolę nie wiedzieć.

Leżeli razem, szczęśliwi i wyczerpani, jak para pantofli.

— To cud — szepnęła.

— Tak! — zgodził się. — I pomyśleć, że przyszłaś zabrać
mnie na lunch, tuż po tym, jak Fred wyniósł pudełko z rozbi-
tym aniołem! Rzeczywistość czasami przerasta fikcję.

Teraz ona ziewnęła.

— Zaparkowałam za Oksfordzkimi Antykami, a idąc do
sklepu — ja k zawsze ciekawska — zagładnęłam do pudełka,
które stało na koszu na śmieci. Gdy zobaczyłam śliczną

twarz anioła, od razu wiedziałam, że chcę go mieć. Wiele lat temu miałam do czynienia z gipsem i pomyślałam, że będę potrafiła go skleić. Przyniosłam go do domu i pomyślałam: „Timothy dał Helene pięknego anioła z brązu, chcę to zrobić dla niego. Ponieważ, gdyby mi się udało, najlepiej zobrazowałyby to powód, dla którego narodził się Chrystus. Przyszędł, żeby nas odnowić, abyśmy stali się całością”.

— Boże Narodzenie jest rzeczywistością — powiedziała.
— To wszystko prawda.

— Tak — odparła. — To wszystko prawda.

— Wesołych Świąt, moja kochana.

— Wesołych Świąt, najdroższy.

— Przy okazji — powiedział. — Co to był za obrzydliwy zapach, który dochodził z twojej pracowni?

— Samoformujący się kit! Najlepszy sposób na sklejenie tych wszystkich drobnych części. — Wtuliła głowę w zagłębienie jego ramienia. — Wiesz, Timothy, ponieważ stół jest już nakryty, a większość potraw przygotowana i ponieważ położyliśmy się spać tak późno, i wciąż jest tak wcześnie, i ponieważ nikt nie przyjdzie przed czwartą, i ponieważ prawie nigdy tego nie robię...

— Wyrzuć to z siebie, Kavanagh.

— ...zamierzam jeszcze pospać!

— Wspaniały pomysł. I ponieważ Barnaba wychodził na zewnątrz o drugiej trzydzieści, i ponieważ szynka została już polana polewą, i drzewo na kominku jest już przygotowane, i ajerkoniak jest zrobiony, i schody frontowe są posypane solą, dołączę do ciebie!

Poklepał poduszkę, naciągnął kołdrę aż pod ich podbródki i przytulił do siebie żonę.

Jest przecież Boże Narodzenie.

Dziecię zaś rosło i nabierało mocy, napełniając się
mądrością, a łaska Boża spoczywała na nim.

Ewangelia według św. Łukasza 2, 40